

Eliza Sarnacka-Mahoney
Jak zagłusuje amerykańska Polonia**Kto zarabia na omijaniu**
zachodnich sankcji**Głuchołazy**
– gdy woda opadła**Dr Tomasz Makowski**
Skarby Biblioteki Narodowej

100-lecie urodzin

Prof. Andrzej Werblan o:

- Gomułce
- Dmowskim
- Piłsudskim
- Jaruzelskim

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



TEATR **rampa** NA TARGÓWKU × POŻAR W BURDELU

RASPUTIN



REŻYSERIA **MICHAŁ WALCZAK**
SCENARIUSZ **MAX ŁUBIEŃSKI, MICHAŁ WALCZAK**

PREMIERA 2 LISTOPADA

TEATR RAMPA NA TARGÓWKU, UL. KOŁOWA 20, WARSZAWA, BIURO OBSŁUGI WIDZÓW TEL.: +48 22 679 89 76, +48 573 801 004,
SPRZEDAŻ BILETÓW ONLINE: BILETY.TEATR-RAMPA.PL ORAZ WWW.EBILET.PL, WWW.KICKET.COM, TEATR-RAMPA.PL



Kłamał, kłamie i będzie kłamał

Nie ma słowa nadającego się do druku, którym mógłbym opisać demolkę dokonywaną od dziesięcioleci w naszej wspólnocie narodowej przez Antoniego Macierewicza. Patrzymy na jego łajdactwa i jesteśmy bezradni. Przyzwoici ludzie nie nadążają za kolejnymi woltami tej cynicznej kanalii.

Trzeba więc robić to, co pokazali wicepremier i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz oraz jego zastępca Cezary Tomczyk. Warto docenić pracę grona najlepszych w Polsce ekspertów, z płk. Leszkiem Błachem na czele, którzy obiektywnie, konkretnie i szczegółowo opisali i ocenili działania podkomisji smoleńskiej Macierewicza.

Raport MON jest lekturą mocno depresyjną. Pokazuje, jak można było na tragedii rodzin ofiar katastrofy lotniczej przez 14 lat uprawiać politykę. Dokumentuje danse macabre na grobach uczestników feralnego lotu. Macierewicz kłamał tysiące razy. Niszczył, fałszował, ukrywał i gubił dokumenty z katastrofy. I tak tym wszystkim manipulował, że uwierzyły mu miliony Polaków. Uwierzyły, bo ciągle trudno pojąć, że to nie był żaden zamach, lecz splot wielu błędów popełnionych przez konkretnych ludzi. Łatwiej było myśleć, że ktoś nam to zrobił. I zostać wyznawcą religii smoleńskiej Kaczyńskiego i Macierewicza.

Macierewiczem zajmie się teraz prokuratura. To przed nią będzie zeznawał, dlaczego w raporcie za

wszelką cenę chciał udowodnić coś, czego nie było. Dlaczego na to, czego nie było, wydano 81 mln zł, w tym 1 mln na jego osobistą ochronę. Przed prokuratorami staną też ludzie, którzy za sowitą opłatę, sięgającą 800 tys. zł, brali udział w tej maskaradzie. Macierewicz w świetle raportu MON to fałszerz i szantażysta. Ale czy to odkrycie jest jakąś sensacją? Przecież w ciągu 14 lat wszystko, co teraz potwierdzili eksperci, o Macierewiczu napisano i powiedziano. Z wyjątkiem TVP Kurskiego i wielkiego frontu mediów będących w dyspozycji PiS.

Czegóż innego można było się spodziewać po kimś, kto zaprzecza prawom fizyki? Eksperymenty z parówkami i puszkami przedstawiane przez pisowskie media jako poważne testy naukowe znajdują się na czołowych miejscach list niebywałej głupoty.

Jaki będzie los kłamstw Macierewicza? Nietrudno przewidzieć. Raport MON zostanie odrzucony przez Kaczyńskiego, który tą katastrofą od początku manipuluje osobiście. I bez skrupułów. Dla korzyści politycznych. Po 14 latach i po tylu miesięcznicach jest to tylko cyniczna kalkulacja. Nieustające ogłupianie ludzi w przekonaniu, że kłamstwo powtórzone tysiące razy rośnie, a rozum maleje. Szalbirze mają prawdziwy raj.

Miejsce Macierewicza jest w więzieniu.

Jeżeli chcecie wesprzeć nasz tygodnik, proszę o wpłaty na: Fundacja Oratio Recta Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BAKOWSKI



Ukazał się nowy numer
ZDANIA (3/2024)



9 zł

„Troje na jedną”

z SYLWIĄ CHUTNIK

„Feminizm to niezgoda na dyskryminowanie mnie tylko dlatego, że jestem kobietą”

W wersji elektronicznej dostępny na sklep.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Na 100-lecie urodzin**
– rozmowa z prof. Andrzejem Werblanem
- 16 Krajobraz po wielkiej wodzie**
Mozolna odbudowa Głucholazów i Bodzanowa
- 19 Pierwsza dama PiS**
Jakie plany ma Patrycja Kotecka-Ziobro
- 36 Polskie znaczy lepsze**
Wyzwania i sukcesy w rozwoju rolnictwa

ZAGRANICA

- 22 Flota cieni i inne sztuczki**
Omijanie sankcji wobec Rosji
- 26 Polski głos w amerykańskich wyborach**
Korespondencja z USA
- 30 Austria według Kickla**
Apetyt FPÖ na urząd kanclerza

OPINIE

- 32 Andrzej Kytsul**
Zapaść w sądach powszechnych

KULTURA

- 40 Wśród przyjaciół książek**
Czytelnik obchodzi 80-lecie
- 40 Kowadło dla prof. Majchrowskiego**
- 42 Skarby w pancernych gablotach**
– rozmowa z dr. Tomaszem Makowskim
- 46 Punk rock według Donalda Trumpa**
– rozmowa z Alim Abbasim
- 48 Kulturalia**
- 66 Ottó Szabó**
Komentarze. Malarstwo

SPORT

- 50 Profesorowie bez dyplomów**
Dokonania piłkarskie i pozaboiskowe

OBSERWACJE

- 52 Cmentarze przyszłości**
Skromniej i bardziej ekologicznie

PSYCHOLOGIA

- 56 Zaczęło się od rysunków o śmierci**
Osoby w kryzysie samobójczym

ZWIERZĘTA

- 60 Ginący gatunek**
Pandziątka bliźniaki z Berlina

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Kłamał, kłamie i będzie kłamał
- 25 Jan Widacki**
Psycholog po kursach
- 35 Andrzej Romanowski**
Wyspa mojej siostry
- 39 Roman Kurkiewicz**
Inteligencja może sztuczna, zwolnienia prawdziwe
- 41 Tomasz Jastrun**
Ścięcie Lipy
- 45 Wojciech Kuczok**
Pan Tupecik, terminator diabła

16

KRAJ

KRAJOBRAZ PO WIELKIEJ WODZIE

Mozolna odbudowa
Głucholazów
i Bodzanowa



30

ZAGRANICA

AUSTRIA WEDŁUG KICKLA

Apetyt FPÖ na urząd kanclerza



60

ZWIERZĘTA

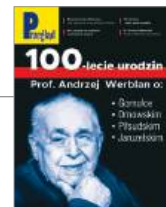
GINĄCY GATUNEK

Pandziątka bliźniaki z Berlina

Projekt okładki: Krzysztof Kettner

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 3073421b89



✉ Morze sromoty

Wojciech Kuczok w tekście „Morze sromoty” (nr 40) stwierdził, że zaczęło się od Gwardii Warszawa, która w 1955 r. w Pucharze Europy odpadła po dwumeczu z zespołem Djurgårdens, „choć w pierwszym meczu w Sztokholmie padł remis. Gwardia nie wywalczyła sobie w żaden sportowy sposób prawa do gry w pucharze, aktualnym mistrzem Polski była Polonia Bytom, ale w tamtym czasie to władza ludowa decydowała, kto dostanie paszport, więc wysłała w delegację »Harpagony« jako klub milicyjny”. Otóż w książce „Od Realu do Ajaxu” Gowarzewskiego, Gryszczyka i Koniecznego (Śląsk, 1975, s. 21) napisane jest, że przeciwnikiem klubu Djurgårdens miała być Chelsea, ale się wycofała. Prezes UEFA sir Ebbe Schwartz zwrócił się do Szwedów z pytaniem, z kim chcą grać: z mistrzem Rumunii, Bułgarii lub Gwardią Warszawa! Mógł też być walkower dla Szwedów. Jak podają autorzy, Szwedzi sami wybrali Gwardię. Polecam książkę.

Zenon Lewiński

✉ Punkty za pochodzenie

Przy okazji ciekawego wywiadu z dr Agatą Zysiąk „Punkty za pochodzenie” pozwalałam sobie przywołać moje spostrzeżenia dotyczące ich stosowania w procesie rekrutacyjnym na studia. Jako młody asystent w latach 1977 i 1978 byłem sekretarzem komisji rekrutacyjnej dla

kierunku historia na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Limit przyjęć pozostawał na poziomie 50 osób. Kandydatów było za każdym razem dwuipół-, trzykrotnie więcej. Pamiętam dobrze moje zaskoczenie, gdy po przeprowadzeniu egzaminu wstępnego przyszło do układania listy osób przyjętych na studia, w tym do doliczania do dorobku punktowego poszczególnych kandydatów właśnie punktów za pochodzenie. Otóż te punkty miały całkowicie drugorzędne znaczenie; przeważały szale przy podejmowaniu decyzji o przyjęciu na studia może w dwóch, trzech przypadkach na ok. 50. Pamiętam też, że punkty za pochodzenie nie budziły głębszej niechęci w środowisku naukowym. Studiowałem pięć lat, a bliskie, nawet często koleżeńskie kontakty zachowywałem z licznymi studentami mojego kierunku jeszcze przez parę pierwszych lat po ukończeniu studiów. Nie odnotowałem w tym czasie żadnych manifestacji niechęci czy lekceważenia wobec kolegów, którzy byli nimi dzięki swojemu „bonusowi” punktowemu.

Prof. Krzysztof Kuk

W latach 1965-1970 byłem studentem wyższej uczelni. W 1965 r. komisja rekrutacyjna przyznała mi trzy punkty za pochodzenie. Już w 1964 r. obowiązywała ta zasada. (...) Pozdrawiam wszystkich, którym punkty za pochodzenie trochę pomogły dostać się na studia. To zmieniło całe nasze życie.

Andrzej Niebrzydowski



ZDJĘCIE TYGODNIA



Kamala Harris i Barack Obama podczas spotkania z wyborcami w Clarkson w stanie Georgia, 24 października 2024 r.

41 zawiadomień do prokuratury, w tym 24 dotyczące Antoniego Macierewicza, skierował zespół ds. oceny funkcjonowania podkomisji smoleńskiej. 790-stronicowy raport zespołu został przygotowany na podstawie analizy 200 tys. stron dokumentów. **Podkomisja Macierewicza kosztowała podatników 81 mln zł.**

Kancelaria prezydenta Dudy chce w 2025 r. wydać jeszcze więcej niż w tym roku. Żąda **312 mln zł**, czyli dodatkowo 38 mln zł. Na większe pensje, na 10 nowych etatów i podróże służbowe. A może zamiast na to rozpasanie kasa pójdzie na powodzian?

182 zakłady zgłosiły zwolnienia grupowe, które obejmują ponad 28 tys. osób. W tym roku **pracę straciło już ok. 18 tys. zatrudnionych.**

Młodzi ludzie, którzy marzą o własnym mieszkaniu, po radę, jak odmienić swój los, mogą pójść do: **Roberta Kropiwnickiego (PO)** – 12 mieszkań, **Dariusza Wieczorka (Lewica)** – 6 mieszkań, **Macieja Maleckiego (PiS)** – 5 mieszkań lub **Romana Fritza (Konfederacja)** – 4 mieszkania.

Ponad **2,5 mld zł rocznie** kosztuje Polskę utrzymanie granicy z Białorusią, budowa muru, całodobowa ochrona, sprzęt, służba 8 tys. żołnierzy i policjantów oraz utrzymanie ośrodków dla imigrantów.

Hanna Gronkiewicz-Waltz, była prezydent Warszawy, objęła mandat europosłanki po Marcinie Kierwińskim, który jest pełnomocnikiem rządu

ds. odbudowy po powodzi. W wyborach do Parlamentu Europejskiego otrzymała 94 474 głosy.

Prokurator Krzysztof Parchimowicz, były prezes Stowarzyszenia Lex Super Omnia, w czasach ministra Ziobry był objęty rekordową liczbą postępowań dyscyplinarnych. W 9 postępowaniach przedstawiono mu 23 zarzuty związane z krytycznymi wypowiedziami na temat działań prokuratury. Po zmianie prokuratora generalnego kolejne postępowania (7) zostały już prawomocnie umorzone.

Prof. Michał Bilewicz wygrał spór z kancelarią prezydenta Dudy, która od 2018 r. nie podejmuje decyzji w sprawie nominacji profesorskiej dla Bilewicza. Po wyroku Naczelnego Sądu Administracyjnego ma ona na to miesiąc.

Pięć z sześciu polityczek opuściło partię Razem. Powodem są fundamentalne różnice co do tego, jak chcą działać w polityce. Pozostaną w klubie lewicy, ale jako bezpartyjne.

Firma Cinkciarz ma coraz większe kłopoty ze zwrotem pieniędzy, które powierzyli jej klienci do przewalutowania. W grę wchodzi kwoty od kilkudziesięciu do kilkuset tysięcy złotych. W sumie może chodzić o ponad 100 mln zł.

W Warszawie otwarto **Muzeum Sztuki Współczesnej** zaprojektowane przez nowojorskiego architekta Thomasa Phifera. Obiekt o powierzchni 19 788 m kw. ma przetrwać na wystawy ponad 4,5 tys. m kw.

PRZEBŁYSKI

Matecki – leśnik wykłęty

Fanatyczny wyznawca dojnej zmiany Dariusz Matecki, poseł PiS ze Szczecina, nie szczędzi razów każdemu, kto krytykuje tę złodziejską szajkę. Poluje na jej wrogów przy użyciu najpodlejszych metod.

Wiecznie z siebie zadowolony Matecki zapomniał o starej maksymie: kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Poluje Matecki, to i polują na Mateckiego. Lasy Państwowe zawiadomiły prokuraturę, że przez trzy lata dostał 320 tys. zł za to, że NIC nie robił. Przyjęto go do pracy w Lasach Państwowych w maju 2020 r. na stanowisko specjalisty ds. komunikacji. Dostał etat i miał pracować w warszawskiej centrali Lasów. Audyt wykazał, że żadnej pracy tam nie wykonywał. Poza trudem przeliczenia tych 320 tys. zł. Po bojkotowaniu pracy w Warszawie Matecki robił to samo w Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Szczecinie. Gęba pełna patriotycznych sloganów. A czyny haniebne.



Mastalerek, oddaj 100 mln zł

Prawie (wice) prezydent Marcin Mastalerek co i rusz sugeruje, że może być kandydatem na pełnego prezydenta. Ma nawet pomysł na kampanię: „Dajcie 312 baniek”. Bo aż tyle chcą Duda z Mastalerkiem na końcówkę tej tak szkodliwej kadencji. Jak się bawić, to się bawić. Za nasze. O kolegach też pamiętają. Chcą 10 nowych etatów. Ma to być „dar” Dudy dla nowego gospodarza pałacu przy Krakowskim Przedmieściu. Ale zanim prezydenta wyprowadzą, będzie korzystał z życia. Czekają go atrakcyjne wyjazdy zagraniczne. Będzie służył Polsce na bogato. W Tatrach i na Bałtyku. Jak marnie zaczął, tak marnie kończy. Okazuje się, że są ludzie, którym nawet taki mitoman jak Mastalerek nie potrafi pomóc. A kasa na Kancelarię Prezydenta? Obciąć ją o 100 mln zł, które warto wysłać powodzianom.

Nie malował ich scenarzystą

Serial „Ranczo” jest powszechnie znany. Niezwykle popularny. I jakże trafnie opisuje nasze narodowe przyzwyczajenia. Z jakichś jednak powodów wiedza o ekipie, która zrobiła ten ponadczasowy hit, nie przyjęła się w Springerowskim „Fakcie”. Może to wina sztucznej inteligencji? A może korekta zaspala? Zmarłego niedawno Janusza Sosnowskiego, wybitnego scenografa, który jest także autorem scenografii wydarzeń w Wilkowyjach, opisano w „Fakcie” jako scenarzystę. Począwszy od tytułu: „Malował je scenarzystą”. Bo faktycznie obrazy Kusego wyszły spod ręki Sosnowskiego. W kuriozalnym tekście jakiegoś AZ Sosnowski cztery razy był przedstawiany jako scenarzysta, a trzy jako scenograf. Takie to smutne czasy. Do pisania biorą się półanalfabeci.



Mój tata ksiądz

Ktoś musiał donieść na ks. Pawła Gronowskiego, bo w jednej chwili stracił robotę i sutannę. Poszło o złamanie celibatu. Mała wieś Zdziechow pod Gnieznem straciła proboszcza parafii pw. NMP Nieustającej Pomocy, Radio Plus Gniezno – dyrektora, którym Gronowski był od 2002 r., a spółka Radio Plus Polska, gdzie ksiądz rządził od 2006 r., nie ma już prezesa. Prymas abp Wojciech Polak odwołał go z tych funkcji i nałożył karę suspensy. Teraz były już ksiądz będzie mógł się zająć wychowaniem dwójki dzieci. Bez ukrywania się i stresu, który na pewno mu przez lata ciążył.



PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego tak mało osób spisuje testament?

PROF. JACEK WASILEWSKI,
badacz narracji kulturowych, UW

Mamy takie powiedzenie: „Nie wywołuj wilka z lasu”, a ponieważ jesteśmy społeczeństwem dosyć emocjonalnym, które nie cechuje się szczególnym usystematyzowaniem życia, rzadko spisujemy testamenty. Również nieczęsto rozwiązujemy za życia sprawy, które dotyczą tego, co będzie po śmierci. Polacy mają skłonność do działań doraźnych. Solidaryzujemy się w sytuacji nieszczęść, zamiast starać się im zapobiegać. Jednym z niewielu przykładów takiej zapobiegliwości są ubezpieczenia na życie w kontekście kredytów. Jest to jednak procedura niejako wymuszona. Tymczasem unika się mówienia o śmierci. To ten magiczny strach, że jak zaczniemy o czymś myśleć, być może to przyjdzie. Można też zażartować, że Bolesław Krzywousty, żeby zapobiec nieszczęściu, spisał testament, ale właśnie ta zapobiegliwość była przyczyną późniejszych problemów Polski.

PROF. JACEK WÓDZ,
*socjolog, Akademia WSB
w Dąbrowie Górniczej*

Mamy jako społeczeństwo niską kulturę formalnego załatwiania spraw związanych z naszym odejściem. Z tego wynika zaś, że mamy ogólnie małą kulturę dziedziczenia i spadków. To ciągle jest sfera uważana w jakimś sensie za bardzo intymną. Nie chcemy rozmawiać o śmierci nawet w kontekście testamentu. Gdy ktoś między znajomymi mówi, że spisał testament, niezależnie od wieku słyszy pytanie: „A co, wybierasz się już na tamtą stronę?”. Dla porównania we Francji wiele osób już około czterdziestki spisuje ostatnią wolę. Nikt nie chce po śmierci wywoływać konfliktu między bliskimi. Testament to w takim kontekście formalność, którą się załatwia, aby pewne rzeczy działały się z automatu. W Polsce tymczasem rodziny kłócą się często o majątek po bliskich.

EDYTA PIETREWICZ,
notariusz

Z jednej strony, pokutuje przekonanie, że ostatnią wolę wyraża się na łożu śmierci, a do tego raczej nikomu się nie śpieszy. Z drugiej zaś, po prostu brakuje wiedzy, dlaczego warto testament mieć. A warto, np. gdy mamy małoletnie dzieci – jeśli one odziedziczą majątek, to do zarządu nim będzie potrzebna zgoda sądu. A także gdy są pełnoletnie i chcą np. założyć własny biznes – gdy biznes upadnie, wierzyciel może ściągnąć długi z odziedziczonego majątku. Warto i wtedy, gdy dzieci nie mamy – wówczas dziedziczą małżonka i rodzice, co nie zawsze jest dobrym połączeniem. Również przy związku nieformalnym – bez testamentu bliska nam osoba po nas nie dziedziczy. Testamentem możemy takie sytuacje uregulować. Warto zatem o tym wiedzieć i świadomie z takiej możliwości korzystać.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Na 100-lecie urodzin O Gomułce, Dmowskim, Piłsudskim i Jaruzelskim

PROF. ANDRZEJ WERBLAN

W Polsce jest ok. 5 tys. osób, które mają 100 i więcej lat. 30 października do tego grona dołączy prof. Andrzej Werblan. Będzie wśród nich jedynym z takim życiorysem i takim doświadczeniem zawodowym. Biografia urodzonego w 1924 r. w Tarnopolu Andrzeja Werblana jest gotowym scenariuszem filmowym. Zesłany wraz z rodziną w 1940 r. na Syberię pracował w radzieckich kołchozach. Po podpisaniu układu Sikorski-Majski w 1941 r. chciał się znaleźć w armii gen. Andersa, ale choroba (tyfus) stanęła tym planom na przeszkodzie. Dwa lata później wstąpił do Wojska Polskiego, dowodzonego przez gen. Berlinga, i służył w nim do 1947 r. Jako czołgista walczył pod Studziankami, a szlak bojowy zakończył pod Gdańskiem.

W 1948 r. został członkiem Rady Naczelnej PPS (jest ostatnim z żyjących), a po zjednoczeniu tej partii z PPR piastował w PZPR wysokie funkcje. Był kierownikiem Wydziału Propagandy (1956-1960), potem, do 1971 r., kierownikiem Wydziału Nauki i Oświaty. W latach 1974-1980 był sekretarzem KC, a w 1980 r. członkiem Biura Politycznego KC. Był też wicemarszałkiem Sejmu (1971-1982). W czasie karnawału Solidarności współtworzył tzw. struktury poziome w partii.

Od 1982 r. skupił się na pracy naukowej, czego efektem są liczne prace poświęcone głównie Władysławowi Gomułce i stalinizmowi. W opinii historyków jest najlepszym w kraju znawcą tych zagadnień. Choć z końcem lat 70. przestał być czynnym politykiem, to w polu jego widzenia zawsze były bieżące wydarzenia w Polsce i na świecie. Jego list do premiera Rakowskiego z czasów Okrągłego Stołu, zapowiadający, że w wyborach do Senatu partia poniesie całkowitą klęskę, wszedł do kanonu opisu minionych wydarzeń, dokonywanego przez badaczy historii najnowszej.

Nie zaprzestał działalności publicystycznej, kierując swoje teksty do „Przeglądu”, „Nie” i „Dziś”. Jego bieżące artykuły dowodzą niebywalej pamięci i umiejętności analizy. Wybór najważniejszych tekstów publicystycznych prof. Werblana z ostatnich dziesięcioleci ukazał się w wydany przez „Przegląd” dwutomowym dziele „Prawda i realizm”.

Rozmawiają Jerzy Domański,
Paweł Dybicz, Robert Walenciak

Poznał pan prawie wszystkich powojennych polskich polityków. Każdy działał w innych okolicznościach, miał inne pole manewru. Którzy są godni przypomnienia? O kim ma pan najlepsze zdanie?

– Wśród tych polityków są tacy, których znam tylko z lektur, i tacy, których znałem bardzo blisko. W mej pamięci najwybitniejszą postacią był Władysław Gomułka. Ale nie ważyłbym między nim a np. Piłsudskim, bo to inne postacie.

Bo żyli i działali w innych epokach?

– Nie ulega wątpliwości, że Piłsudski był najwybitniejszą postacią okresu przedwojennego. Sprzed I wojny i po I wojnie światowej. Na złe i na dobre. Bo on i tak, i tak się zapisał. W ogóle Polska przedwojenna miała tak naprawdę dwie wybitne postacie: Piłsudskiego i Dmowskiego. Pozostali to już nie to.

Dmowski był jednym z najwybitniejszych pisarzy politycznych w historii Polski. Jego teksty są porażające, można powiedzieć, doskonałością, precyzją. Dmowski był nacjonalistą. Dość brzydkim. Nienawidził Żydów, w pogardzie miał Ukraińców, szanował Rosjan, bał się Niemców. Ale jego wielkość polegała nie na nacjonalizmie, bo byli bardziej zajadli od niego, lecz na tym, że wniósł do Polski nowoczesną myśl

realizmu politycznego. I takie różne określenia – że gardzi takimi patriotami polskimi, którzy myślą przede wszystkim o tym, jak zaszkodzić Moskwie, a nie o tym, jak wspomóc Polskę. Albo gdy słuchał fragmentu „Warszawianki”: „Powstań Polsko, skrusz kajdany, dziś twój triumf albo zgon”, pisał, że fragment ten zawsze budził w nim najgłębszy sprzeciw moralny. Że ten, kto myślałby tak, jak śpiewa, byłby przestępcą.

Bo życiem narodu nie można frymarzyć, że albo się uda, albo nie.

– Potem jest rozwinięcie tej myśli, sprowadza się do tego, że ci, którzy wywoływali powstania, zwłaszcza styczniowe, byli przestępcami. To się zaczyna od takich słów: wolno każdemu zaryzykować wszystkim, co ma, życiem nawet, w osobistej sprawie. Ale zaryzykować dobrem narodu to przestępstwo!

Był w swoich analizach chłodny. Dość precyzyjnie oceniał interesy innych narodów. Jak mówił o interesach, wyzywał się uczuć. Nawet o Żydach pisał spokojnie i z szacunkiem, kiedy rozważał, co leży w ich interesie.

A o Ukraińcach?

– Jest jego duży tekst, napisany w 1930 r., w książce poświęconej polityce międzynarodowej. Proroczy! Zaczyna się od myśli: Ukraina jest teraz częścią Rosji radzieckiej. Ale Ukraina odzyska niepodległość. To wielki, 40-milionowy naród, oni odzyskają niepodległość. I będzie to bardzo ważna zmiana w Europie. Czy



Prof. Andrzej Werblan oraz autorzy rozmowy: (od lewej) Robert Walenciak, Jerzy Domański i Paweł Dybicz.

ona będzie dobra dla Ukraińców? Odpowiedział: tego nie wiem. I prawie proroczo przewidział to wszystko, co się dzieje, i wojnę rosyjsko-ukraińską. Odniośł się do niej z chłodem. Powiedział, że Rosjanie musieliby być najniechętniejszym w świecie narodem, gdyby spokojnie pogodzili się z utratą Ukrainy. Przewidział nawet takie rzeczy, że Ukraińcy będą mieli kłopot z rządzeniem się, że będą zatrudniać obcokrajowców do rządzenia. Zaraz mi się Saakaszwili przypomina i ten nasz minister od zegarków... A zakończył to, cały ten tekst, że radzi Polsce, choć tego nie dożyje, bo minie parę dziesięcioleci, zanim Ukraina odzyska niepodległość, by nie mieszać się do tego.

To jest w ogóle interesujące, że Polska, ani międzywojenna, ani powojenna, ja nie mówię o Polsce Ludowej, bo Polska Ludowa miała hyzja na punkcie antysemityzmu i Dmowski był wyklęty, ale ta Polska, III RP, która stawia mu pomniki i czci go jako ojca niepodległości, żadnej rady Dmowskiego nie realizuje. Żadnej! Ona wielbi wszystkie powstania, a on organizatorów tych powstań potępiał jako przestępców. Ona na całego się miesza do Ukrainy, a on całą książeczkę napisał, że by Polsce radzić: nie mieszajcie się, panowie, do tego.

Piłsudski i Gomułka. Mieli jakieś wspólne cechy?

– A teraz Piłsudski a Gomułka... Piłsudski jako wzór polityka był dla wielu pociągający. Myślę, że Gomułka też pociągał, jako pewien typ polityka. Piłsudski był samotnikiem i lubił kierować z tylnego siedzenia. Nigdy nie chciał być premierem. A mógł! Nie chciał być prezydentem. Też mógł.

mnie załatwiającie. I odchodził. Bo u niego w Żuławie sprawy gospodarcze były żydowskie. Gomułka też lubił kierować z tylnego siedzenia. Dlatego jego współpracownicy po pewnym czasie stawali się takimi podręcznymi. A on, kierując z tylnego siedzenia, chciał, żeby oni zgadywali jego myśli. Żeby postępowali tak, jak on chciał, niekoniecznie tak, jak on im mówił. Mieli to zgadywać. U Piłsudskiego było dokładnie to samo. Była taka sytuacja – rządem kierował Aleksander Prystor, jego wierny podwładny, uczestnik zamachu w Bezdanach. I Piłsudski któregoś dnia powiedział: straciłem do niego zaufanie. Jak powiedział, że stracił zaufanie, to Prystor ustąpił. Pozostali mandatariusze Piłsudskiego debatowali przez parę miesięcy, usiłując odgadnąć, o co mu chodzi. Bo on nie powiedział, z jakiego powodu stracił zaufanie. Gomułka w dużym stopniu miał coś z tego. Co ich jeszcze łączyło – jeden i drugi byli umiarkowanymi dyktatorami.

Co to znaczy „umiarkowanymi”?

– Piłsudski nie był takim dyktatorem, który o wszystkim chciałby decydować. Na przykład długo się opierał, zanim się zgodził, rok przed śmiercią, na zorganizowanie obozu w Berezie Kartuskiej. Nie chciał tego, a otoczenie nalegało. W końcu ustą-

Dostojnemu Jubilatowi,
Panu Profesorowi Andrzejowi Werblanowi,
na 100-lecie urodzin życzymy jak najlepszego zdrowia i dalszego potwierdzenia, że mądrość przedłuża życie i nie przemija z wiekiem.
Zespół „Przeglądu”

Premierem był. Krótko.

– Piłsudski był premierem przez rok. I zostawił po sobie wiele zabawnych anegdot. Układał porządek dzienny posiedzenia rządu. Miał metodę. Najpierw były, jeśli były, sprawy wojskowe. Potem były sprawy zagraniczne. A potem dopiero sprawy gospodarcze. I nigdy nie przewodniczył Radzie Ministrów, jak doszło do spraw gospodarczych.

Wychodził.

– Wychodził. Mówił: a teraz te żydowskie sprawy to sami sobie beze

pił, mówiąc: no, wreszcie będziecie mieli tę swoją czerezwycajkę! A ten obóz piłsudzczy zorganizowali nie przeciwko komunistom, tylko przeciwko ONR-owcom. Piłsudski był realistą. Nie bał się komunistów, wiedział, że w Polsce do władzy nie dojdą. Chyba że ich zwycięska Armia Czerwona do tej władzy doprowadzi. Natomiast ONR-owców u władzy nie wykluczał. A dyktatury typu Mussoliniego nie chciał. Uważał, tu mi też przypominał Gomułkę, że w Polsce pełnej dyktatury nie trzeba. ►

► Ale normalnej demokracji zorganizować się nie da. On to wypróbował, przecież pod jego okiem ustanowiono demokrację, uchwalono Konstytucję marcową. I on pierwszego prezydenta, wybranego z mocy tej konstytucji, witając, stojąc na baczność i salutując: jest pan jedynym człowiekiem, któremu oddaję honory. I zawołał na koniec: niech żyje Prezydent Rzeczypospolitej!

A potem Narutowicz został zabity.

– Piłsudski ogromnie przeżył ten zamach. Jego nienawiść do endeków po tym została zwielokrotniona. Uważał więc, że naród polski do demokracji jeszcze nie dojrzał. Że musi być trochę trzymany za mordę. Nie za bardzo, ale jednak. Takie wnioski miał na podstawie pierwszych pięciu lat II RP.

A Gomułka?

– Zapytałem go o to. Wracaliśmy z Moskwy samolotem, po tej wielkiej naradzie w 1960 r. 70 partii robotniczych i komunistycznych. Gomułka był tak zmęczony jałowością takiego dwutygodniowego posiedzenia, że gdy ono się zakończyło, to nie czekał na żadne przyjęcie, żadne pożegnania, tylko tego dnia wsiadł do samolotu. Całą delegację zostawił, zabrał ze sobą Cyrankiewicza i mnie. Cyrankiewicza dlatego, że były jakieś sprawy niemieckie, które trzeba było w Warszawie pilnie załatwić, a mnie, bo chciałem, żebym się zajął zorganizowaniem wydziału nauki w KC. W trójkę lecieliśmy item-14, to są cztery godziny lotu. Gomułka był odprężony, bo nareszcie wracał. Na dodatek wypił kieliszek koniaku, zrobił się wylewny i o różnych rzeczach gadaliśmy. A parę miesięcy wcześniej byłem na Kubie i napisałem duże sprawozdanie z pobytu. Gomułka przypomniał sobie to sprawozdanie, bo miał jechać do Ameryki, na ONZ, i mówił, że chyba tam się zobaczymy z Castro. Zagadnął mnie: wy tam piszecie, że naród jest zachwycony Castro. Chyba tak jest... Więc ja nie mogę zrozumieć, dlaczego ten Castro nie robi wyborów. Przecież w takiej sytuacji wygraliby je w cuglach i miałby na 10 lat zafatwioną legitymizację. To ja wykorzystałem okazję i go

zapytałem: słuchajcie, a dlaczego wy po Październiku nie zrobiliście normalnych wyborów? Przecież byście je wygrali w cuglach. Dzisiaj też jeszcze wygralibyście, już może nie w cuglach, ale wygralibyście, a nie robicie.

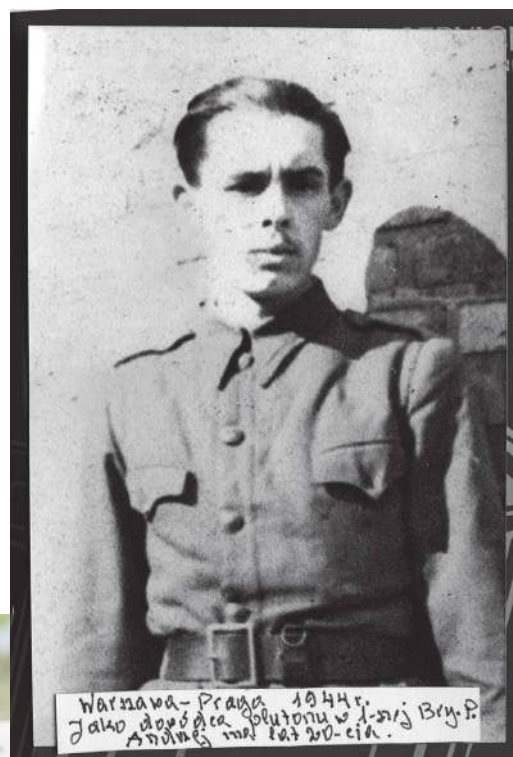
I co on na to?

– Zaczął od słów: wy niczego nie rozumiecie, towarzyszu Werblan... A potem wyjaśnił: my nie możemy zrobić takich wyborów, o jakich wy myślicie. I to nawet nie dlatego, że my je moglibyśmy przegrać. Parę razy tak było, że wygralibyśmy. A jednak nie możemy. I zrobił taki wykład: nasz naród nie miał swego państwa przez 120 lat. Odzyskał je. I po 20 latach stracił połowę



terytorium. Taki naród tego demokratycznie nie zaakceptuje. Przynajmniej przez dwa albo trzy pokolenia. Każde demokratyczne wybory w Polsce byłyby więc antyradzieckie. A każde antyradzieckie wybory to byłaby utrata Ziemi Zachodnich. Nie odzyskalibyśmy ani Lwowa, ani Wilna, ale Wrocław i Szczecin zapewne stracilibyśmy. I dlatego, mówił, nie można tego zrobić. Można dużo wolności w Polsce ustanowić, wszystkich więźniów politycznych uwolnić. Do ostatniego. A wyborów, takich, jak wy myślicie, zrobić się nie da... Coś podobnego było w myśleniu i Gomułki, i Piłsudskiego.

Dlaczego Gomułka po Październiku dokręcał śrubę? Dlaczego z każdym rokiem jego rządu były coraz bardziej autorytarne? Musiało tak być?



– Nie. To był jego błąd. To była przesada w ocenie sytuacji. Gomułka patrzył na sytuację Polski przez bardzo czarne okulary. Potrafił w przemówieniach wygłaszać panegiriki, jak to jest dobrze, ale tak nie myślał. On negatywnie myślał też o swoim otoczeniu. Byłem świadkiem różnych bluzgów pod adresem najbliższych mu ludzi. Do Kliszki przy jakiejś okazji: a ty to lepiej byś milczał! Jak już coś powiesz, to słuchać się nie chce... Kliszko bał się go jak ptak węża.

Pamiętam też, jak powiedział do Spychalskiego na Biurze Politycznym, gdy ten zaproponował, że wygłosi przemówienie w telewizji, w rocznicę PKWN. Całe Biuro przy tym było i kilka osób zaproszonych, a Gomułka do niego: ty znowu do tego telewizora się pchasz! Nie możesz zrozumieć, że patrzeć na ciebie nie mogą! Myślałem, że Spychalski zemdleje. Ale żadnego z nich nie odsunął...

Dlaczego ich nie odsunął?

– Dlatego, że było bardzo niewielu ludzi, do których miał pełne zaufanie. A do nich miał. Nie do ich mądrości,

Andrzej Werblan
jako dowódca plu-
tonu w 1. Brygadzie
Pancernej. Warsza-
wa, Praga, 1944 r.

1. Brygada
Pancerna WP.
Berlin, 1945 r.



bo tego od nich nie oczekiwał, ale do ich wierności.

Na czym polega wielkość Gomułki? Czy na tym, że potrafił z niskiej pozycji społecznej wybić się na człowieka, który rządzi krajem?

– Tak. Wielkość Gomułki polega na tym, że on potrafił poprawnie odczytać interes narodu. I potrafił tym się kierować. Miał taki talent, że wiedział, co w danym momencie jest Polsce potrzebne. To w różnych chwilach się ujawniało. Odczytać sytuację z reguły potrafił trafnie.

Na przykład?

– Kilka rzeczy wymienię. On, bardzo komunistyczny entuzjasta Związku Radzieckiego, jak tam pojechał i z tamtejszym życiem się zapoznał, to natychmiast nabrał bardzo krytycznego stosunku. Do kołchozów na całe życie. Ale także do policyjności państwa. Do tamtejszego sądownictwa. A równocześnie zawsze uważał, że sojusz z tym Związkiem Radzieckim będzie Polsce potrzebny. Że Polska bez tego sojuszu na państwo silne, nowoczesne się nie wybije. Nie miał zaufania do Niemiec. Uważał, że są w stosunku do Polski bardziej zaborcze niż Rosja radziecka. A po

wojnie to oczywiście zastanawiał się, dlaczego Stalin dał Polsce tak duży kawał Niemiec.

Nie spodziewał się tego?

– Spodziewał się pewnego urobku na zachodzie, ale nie aż takiego. Z miejsca zrozumiał, co to dla Polski znaczy. Wbrew Stalinowi został ministrem Ziem Odzyskanych. Stalin odradzał mu to. Gomułka jak zwykle

chyba jedyny, poprawnie znaczenie tych ziem dla Polski. On, syn chłopski bardziej niż robotniczy, był głęboko przejęty problemem, który uważał za nierozwiązywalny – przeludnieniem wsi w Polsce. I z miejsca odgadł, że tak duże Ziemie Odzyskane i opróżnione z ludności niemieckiej pozwolą ten problem rozwiązać w ciągu kilku lat.

Polska przedwojenna miała tak naprawdę dwie wybitne postacie: Piłsudskiego i Dmowskiego.

ze Stalinem kiwał głową i robił swoje. Został tym ministrem.

Dlaczego Stalin mu odradzał?

– Stalin chciał te ziemie Polsce oddać, a równocześnie je ograbić. I wiedział, że z Gomułką to nie wyjdzie, że Gomułka będzie się klócić, handryczyć o wszystko i on będzie musiał ustępować. Do Chruszczowa mówił, a Chruszczow to zapisał: co on tak na mnie patrzy, ten Gomułka... jakby chciał mnie zabić! Otóż Gomułka nie z powodu Stalina chciał zostać ministrem Ziem Odzyskanych, ale z zupełnie innego. Odczytał, jako

Dla polityków II RP utrata wschodnich ziem była katastrofą, amputacją, zachodnie ziemie lekceważyli. Gomułka odwrotnie – zobaczył w nich wielką szansę dla milionów Polaków?

– Przed wojną mieszkało tam 7 mln Niemców, oni wyjechali. Ze Związku Radzieckiego repatriowało się 2 mln Polaków. 5 mln wolnych miejsc! Całe przeludnienie wsi! To nie znaczy, że całe to przeludnienie wyjechało na Ziemie Zachodnie. Nawet kto inny wyjeżdżał. Ale w Polsce zostawiał wtedy miejsce. To ▶

► Gomułka nadał Ziemiom Odzyskanym kierunek. Sprzeciwił się pomysłowi, który pojawił się w ówczesnym rządzie – żeby w całości ziemie przekształcić w PGR-y. Sprzeciwił się temu. Dla PGR-ów tyle, ile zostanie po rozwiązaniu problemu chłopskiego w Polsce. I tak zostało sporo...

Jego konikiem były sprawy niemieckie.

– Miał do nich wybitnego nosa. Byłem przy rozmowie z Maxem Reimannem, przewodniczącym Komunistycznej Partii Niemiec, tej działającej w zachodnich Niemczech. Gomułka mówi do Reimanna: dlaczego wy mieszkacie w Berlinie Wschodnim? Wy powinniście mieszkać tam, gdzie wasi członkowie! A nie w NRD. Dlaczego wy za takiego NRD-owca się robicie? Przecież kiedyś, jak Niemcy będą się jednoczyć, a będą się jednoczyć, to wy będziecie musieli mieć tam posłuch, u robotników! Mieszkając w Berlinie Wschodnim, wy na to nie zasłujecie. A Reimann mu na to odpowiada: my nie będziemy się jednoczyć z Niemcami Zachodnimi. Nas zjednoczy Armia Czerwona, jak

W mej pamięci najwybitniejszą postacią był Władysław Gomułka.

będzie zdobywać Niemcy Zachodnie. A! – mówi na to Gomułka – to wy przewidujecie, że będzie zdobywać? A tak – Reimann na to – przecież 300 tys. najlepszego wojska radzieckiego w naszym małym kraju stoi. To po co? I Gomułka wtedy aż się uniół z krzesła, nad tym stolikiem pochylił się w jego stronę i pyta: a wy myślicie, że oni co, wiecznie tam będą stali? Reimann był zbulwersowany. A Gomułka oczywiście przewidywał, że oni się stamtąd wyprowadzą, gdy Niemcy będą się jednoczyć. I wiedział, że te Ziemie Odzyskane, takie nadspodziewanie duże, trzeba zabezpieczyć nie tylko przed Niemcami. Przed



Z Władysławem Gomułką, 1967 r.

Po zjeździe PZPR w 1979 r.:
(od prawej) Edward Gierek, Edward Babiuch, Stanisław Kowalczyk, N.N. i Andrzej Werblan.

Związkiem Radzieckim też, żeby ich nie przehandlował.

Niemcom... Jak sondował Adżubę, zięć Chruszczowa.

– Nawet są rzeczy, których ludzie nie zauważali. List biskupów polskich do biskupów niemieckich i dyskusja nad tym listem na Froncie Narodowym, na którą to dyskusję Gomułka poszedł i wygłosił przemówienie, improwizowane. Nie zamierzał tam przemawiać, więc nie miał nic przygotowanego, do zabrania głosu skłoniła go atmosfera. Wszyscy mówcy przed Gomułką atakowali biskupów, że chcą

Ziemie Zachodnie oddać Niemcom. A pierwsze zdania przemówienia Gomułki brzmiały: tu była mowa o tym, że biskupi chcą Ziemie Zachodnie oddać Niemcom. To fałszywy zarzut. Biskupi są Polakami. Żaden Polak nie chce oddać tych ziem. Nie o to powinniśmy do biskupów mieć pretensje, ale o to, że chcą wyprzedzić w tej sprawie właściwą władzę w Polsce. Że mogą w ten sposób zaszkodzić niezbędnemu porozumieniu w sprawie Ziem Zachodnich, a nie dlatego, że chcą je oddać. Oni chcą je utrzymać. Ale to, co robią, temu nie służy. W Gomułce coś takiego było. Potępił biskupów, ale nie przyłączył się do tego wrzasku. Poszedł pod prąd.

Potrafił iść pod prąd nawet szerokiej opinii. Niestety, potrafił ją też lekceważyć. Pewnych subtelności nie chwycił.

Dlaczego?

– Moim zdaniem brało się to z tego, że czym człowiek za młodu nasiąknie, to mu na starość też zostaje. Gomułka wychował się w takiej Polsce, z której ludzie uciekali. Jego wszyscy wujkowie, wszyscy tam bracia jego ojca, uciekli z tej Polski do Ameryki. To byli chłoporobotnicy, ale uciekli, bo nie widzieli żadnego życia przed sobą. Na pogrzeb Gomułki przystali wieniec jak wieża ogromny, samochód go przywiózł. Z wielkim napisem: od amerykańskich Gomułków. Amerykańskich Gomułków było 27 osób, cztery razy więcej niż w Polsce. On się wychował w takiej Polsce i trochę kategoriami szczęścia wyobraźni przez jego bliskich z tamtej Polski żył. Dlatego kazał budować skromne mieszkania, ale więcej. Nie raziło go, że ubikacja będzie jedna na klatkę schodową, bo uważał, że to lepiej, niż w ogóle być bez dachu nad głową. W wielu sprawach nie chwycił sposobu myślenia współczesnych mu Polaków. Myślenia, do którego sam się przyczynił. Właśnie tymi Ziemiami Odzyskanymi, likwidacją przeludnienia wsi, edukacją. To zmieniło Polskę.



Polska się zmieniała, a on mniej.

– Miał mniejsze wymagania niż wielu jego kolegów. Zajmował dwupokojowe mieszkanie na Saskiej Kępie. Bezpieka naciskała, żeby przeprowadził się na lewą stronę Wisły. Mówili, że dwa razy dziennie jeździ tym samym mostem, więc gdyby ktoś chciał zamach zrobić na niego, to nie ma lepszego miejsca, bo do minuty można policzyć, kiedy będzie jechać. Naciskali na niego, zwłaszcza

Warszawa śmiała i chodziła oglądać, jak mieszkam! A może i Polska! Wy tam zamieszkajcie! I bez żartów – Szlachcic się tam wprowadził. Wreszcie Wieczorek z URM wpadł na pomysł, że na skarpie wiślanej, blisko budynków rządowych, wybuduje dwa niewielkie dwupiętrowe domy mieszkalne. Każdy będzie miał po sześć mieszkań. Gomułce proponowano jedno, podwójne. Na to się zgodził, bo mógł stamtąd przejść

Wielkość Gomułki polega na tym, że potrafił poprawnie odczytać interes narodu. I potrafił tym się kierować. Miał taki talent, że wiedział, co w danym momencie jest Polsce potrzebne.

po zamachu na Chruszczowa w czasie wizyty w Polsce, na Śląsku, gdy wybuchła bomba umieszczona w paliku przydrożnym. I nie zrobiła tego żadna organizacja, lecz samotnik, inżynier górniczy, który to sobie wymyślił.

Po tym zamachu wreszcie Gomułkę przekonali, że trzeba zmienić mieszkanie. Zgodził się. I wybudowali na Mokotowie willę z dwoma dużymi mieszkaniami. Jedno z nich miał zająć Gomułka. Zawieźli go tam, Gomułka obejrzał... Milczał. Wrócił, wezwał Szlachcica, który tym się zajmował, kierował tym, i wybuchnął: sami sobie weźcie to mieszkanie! Chcecie, żeby się ze mnie cała

piechotą do KC. Poza tym miał blisko na spacer. Miał więc takie różne wycucia, a jednocześnie ich nie miał i robił podwyżkę cen mięsa dwa tygodnie przed Wigilią.

A gdyby tak porównać ekipy, które rządziły?

– To dość dziwna sprawa... Sądzę, że jeśli idzie o poziom, kwalifikacje, najwyższe chyba miała pierwsza ekipa, która rządziła Polską Ludową. Ta do 1947 r.

Stalinowska?

– Niezupełnie. Później się zmieniła w kierunku stalinowskim, ale jeszcze nie była taka w roku 1947. Tę ekipę symbolizowali Gomułka,

Bierut, Berman, Zambrowski i Minc. Myślę, że takiej piątki nie dałoby się złożyć z żadnej z późniejszych ekip, z obecnych także. Pod względem przygotowania, talentów... Poczucia odpowiedzialności, jakie miał Gomułka, talentu organizacyjnego, jaki miał Zambrowski, czy wykształcenia, jakie miał Berman. Minc też... Tamtej ekipie, w tej części KPP-owskiej, nie brakowało kwalifikacji, brakowało im charakteru. Oni byli wiernymi uczniami Stalina. Byli zakochani w Związku Radzieckim, poza Gomułką, wszyscy pozostali. I to ich pętało. Ale jeśli chodzi o czyste kwalifikacje, to były najlepsze kadry. A jeszcze do tego dodać Cyrankiewicza! Mało kto był równie inteligentny jak Józef Cyrankiewicz. On potem przez Gomułkę został jakby zmarginalizowany, pogodził się z tym i przestał do polityki za bardzo się mieszać.

Dość prymitywna, a z kolei najlepsza w skutkach działania była ekipa gierkowska. Ta przyjęła koncepcję realistyczną, wyzbyła się ideologii, tej komunistycznej, która resztkami przy Gomułce jeszcze się trzymała.

Ta KPP trzymała się Gomułki mocno?

– Gomułka sporo swej ideologicznej postawy zachował. Jego pretensje do Związku Radzieckiego, że zrywa z Chinami! Pisał do Chruszczowa w osobistym liście: weźmiecie na swoje sumienie ciężką odpowiedzialność, jak dojdzie do zerwania z Chinami, to będzie początek końca naszego obozu! Takie były jego myśli. W sprawach polskich wyzbył się KPP-owskiego myślenia, a w sprawach światowych – nie. Wyzbył się tego myślenia w sprawie kolektywizacji, w sprawie Kościoła. W sprawach polskich on był narodowy komunistą. Jemu zarzucano odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne. Gomułka przed tym zarzutem się bronił, bo wiedział, że za nim stoi szubienica. Ale w rzeczywistości był odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym! I jemu to zaszczyt przynosi. Bo się wyzbył myślenia komunistycznego o Polsce. On za Polskę czuł się naprawdę odpowiedzialny. A za świat czuł się odpowiedzialny na niby.

W Polsce dominuje jego czarna legenda. Pokazywany jako nieuk,

► **prymityw, który krzyczał, na niczym się nie znał. Na dodatek antysemita. Pan ma głęboką wiedzę o Gomułce i jednocześnie obserwuje pan, jak to funkcjonuje w obiegu publicznym. Jak te światy zbliżyć?**

– Jestem dobrej myśli. Gomułka będzie miał należne mu miejsce w historii Polski. Im bardziej oddalimy się od tamtych czasów, tym lepiej będzie postrzegany. Czarna legenda Gomułki – to dość prymitywny antykomunizm polski tak się na nim odgrywał. To także pewne złudzenia naszej demokratycznej opozycji. Złudzenia! Bo po braciach Kaczyńskich, po rządach PiS, wiemy, że to były złudzenia, że ta opozycja nie była wcale demokratyczna.

Dziś widzimy, jak ważna nie tylko dla państwa, ale i dla partii jest polityka historyczna. Każda partia mająca jakieś ambicje musi mieć własną politykę historyczną.

– Moim zdaniem Polska bez poprawnej wizji swej historii nie zdoła być normalnym państwem. Ale tutaj też jestem dość spokojny. Czytam nowe prace, młodych historyków, o dziejach Polski Ludowej. One w większości nie reprezentują linii IPN. Wręcz przeciwnie! Rehabilitują Polskę Ludową. To pierwszy krok do normalnej historii i normalnego państwa.

Cały naród stał się piśmienny, ale nie dorastał jeszcze do rozumienia polityki. Dlatego każde zachwianie sytuacji chwiało nastrojami.

Wiemy, wiemy... Dopiero takie społeczeństwo potrafi czytać politykę. Nie przeżywa chwilejności nastrojów.

– To prawda. Spójrzcie na czasy Gomułki, jak tracił popularność. Także dlatego, że narastało rozczarowanie polskiej młodej klasy robotniczej załamaniem się sytuacji gospodarczej w drugiej połowie lat 60. Przyczyny tego załamania raczej były światowe... Naród, taki młody, który niedawno przeniósł się ze wsi i w ogóle zaczął cokolwiek o polityce myśleć, łatwo się rozczarowuje. Zwróćcie uwagę – dopóki nie było tego załamania, przez pięć lat Gomułka był

całkiem dobry! A z Gierkiem jak było do 1976 r.? Przecież był ubóstwiany. A jak to się skończyło? To chwiejność politycznych nastrojów narodu, młodego, próbującego się stać narodem dojrzałym, którego znaczna część właściwie dopiero w Polsce Ludowej nabierała tożsamości. Przed wojną połowa społeczeństwa w polityce w ogóle nie brała udziału, bo była niepiśmienna. I szczerze

III RP, która pomniki Dmowskiemu stawia i jako ojca niepodległości go czci, żadnej jego rady nie realizuje. Żadnej!

powiedziawszy, polityką się nie interesowała. Wokół polityki obracała się jedna trzecia. Strajkowali robotnicy, a ich było w Polsce tyle co kot napłakał. W Polsce Ludowej to się szybko zmieniało.

Powstała wielkoprzemysłowa klasa robotnicza. Awans społeczny milionów.

– Cały naród stał się piśmienny, ale nie dorastał jeszcze do rozumienia polityki. Dlatego każde zachwianie sytuacji chwiało nastrojami. A ponadto ta nasza władza, to dobrze i szczęśliwie dla nas, dla niej – mniej, nie była za bardzo dyktatorska. Była to dyktatura dość słaba, łagodna. W związku z tym łatwo

i dość bezpiecznie było przeciw niej agitować. Zbierali się więc różni dość prymitywni agitatorzy, którzy grali na dość prymitywnych nastrojach. I teraz, wracam do najlepszej ekipy, intelektualnie dość średniej, ale jej wielkość polegała na tym, że wpadła na pomysł, żeby prowadzić politykę bardzo realistyczną, i realizowała ją, ile tylko się dało, na ile warunki pozwoliły. To ekipa Gierka! W społeczeństwie do dziś zachował on dobrą opinię. Słusznie! Bo to było dźwignięcie kraju w tym samym kierunku, w którym go dźwigał w październiku 1956 r. Gomułka, tylko z nowymi impulsami.

Ludzie temu przyklaskiwali.

– A jak pomyśleć, że wywiad rzeka z Gierkiem „Przerwana dekada”, wydany rok po upadku Polski Ludowej, sprzedany został w 900 tys. egzemplarzy! Żadna książka polityczna w historii Polski nawet nie zbliżyła się do tego nakładu. A niedawno ukazała się książka Zaremby, która dostała premię „Polityki”, o epoce Gierka. Jej sens jest taki: oto Gierek,

prymitywny nieuk, wysunięty przez partię! Nieuk, który nic nie rozumiał! Rozczarowany solidarnościowiec tak pisze! A ja bym napisał książkę, jak miałbym jeszcze siły: najbardziej szkodliwy w swych konsekwencjach ruch w Polsce to Solidarność. Nie ta z karnawału, raczej utopijnie socjalistyczna, lecz polityczna po niej pozostałość. Ciemna, ponura, wszystkie obecne nieszczęścia III Rzeczypospolitej są przez nią. Jeden z najmądrzejszych Polaków, Andrzej Walicki, uciekł z Polski przed tą Solidarnością! Nie chciał się kłócić ze swoim środowiskiem, które ubóstwiała i tę Solidarność, ale też nie chciał przyklasnąć temu ruchowi, uważał go za ciemnogród. I spodziewał się po nim rzeczy najgorszych. Sprawdziło się! A do dziś klasa polityczna nie wyzbywa się admiracji dla tego ruchu. Nie dla samego ruchu, bo on sam to dość płytka sprawa, ale dla całej jego aktywnej części. Tusk też temu przyklaskuje. Też jest z tego dumny, choć żadnej roli tam nie odgrywał.

To jest dla nich legitymacja do sprawowania władzy.

– Uważają, że to daje im prawo do rządzenia. Oni się legitymizują w zasadzie nie Solidarnością, ale antykomunizmem. Który to antykomunizm nie wygrał w Polsce. W Polsce wygrała zwycięska strona zimnej wojny. Zachód! Ani Solidarność, ani antykomuniści w Polsce nie wywalczyli żadnej władzy w 1989 r. Oni tę władzę otrzymali. Na talerzu. Od darczyńców. Tych darczyńców było trzech. Każdy ma imię i nazwisko.

Jeden na imię ma Michał, na nazwisko Gorbaczow. Drugi ma na imię Ronald. Reagan. A trzeci ma na imię Wojciech. Jaruzelski.

Bo doprowadził do Okrągłego Stołu i go obronił.

– Jaruzelski prawidłowo odczytał to, co Stomma nazywał mądrością etapu. Wiedział, że porozumienie radziecko-amerykańskie, to znaczy swoisty traktat pokojowy po zimnej wojnie zwycięskiej dla Ameryki, musi oznaczać likwidację Jałty. Dlatego, że musi oznaczać zjednoczenie Niemiec. A zjednoczenie Niemiec wymaga bufora między Niemcami a Związkiem Radzieckim. Takim buforem nie mogą być państwa zależne od Związku Radzieckiego. Muszą być niezależne. A to jest upadek Jałty. Sądzieli oni, że to będzie upadek ewolucyjny, bez przelewu krwi i po części kompromisowy. Ale, zawierając to porozumienie, nie przewidywali upadku Związku Radzieckiego. Amerykanie też nie przewidywali. Bush senior, kiedy pojechał na Ukrainę, żeby odradzać im ogłoszenie niepodległości, w 1989 r., miał taki argument: nie należy zabijać Związku Radzieckiego. Należy go zachować.

A dlaczego Związek Radziecki upadł?

– Związek Radziecki upadł sam z siebie. Zabiła go klęska poniesiona w zimnej wojnie połączona z próbą naprawy. Gorbaczow był za małym

kalibrem. To nie był Deng Xiaoping. Nie umiał naprawić Związku Radzieckiego, nie narażając go na upadek. I naraził. A Deng Xiaoping zmienił Chiny dramatycznie! A nie upadły. Kluczowy moment, niestety, to jest plac Tiananmen i czołgi, które jadą po studentach i po ich namiotach. Deng Xiaoping w pewnym momencie napuścił ciemną część Chin na tę najświatlejszą, która chciała zdemokratyzować kraj. Bo

Czytam nowe prace, młodych historyków, o dziejach Polski Ludowej. One w większości nie reprezentują linii IPN. Wręcz przeciwnie! Rehabilitują Polskę Ludową.

zrozumiał, że próba zdemokratyzowania będzie upadkiem tego kraju. Że do tej próby trzeba iść przez parę pokoleń. I wprowadził Chiny na tę drogę. Bo Chiny zaczynają do tego dojrzywać, ale już ze społeczeństwem wykształconym i stosunkowo zamożnym.

Czy obecna wojna na Ukrainie to będzie punkt zwrotny w historii Europy? Czy ona coś zmieni?

– Niczego nie zmieni. Ukraina tę wojnę przegra.

A Europa? Wróci do dobrych stosunków z Rosją?

– Wróci. Bo przede wszystkim Ameryka wróci. To i Europa wróci.

Dzisiaj Ameryka gra na osłabienie Rosji.

– Dzisiaj tak gra. Bo Ameryka, nawet ta trumpowska, chce wrócić do poprawnych stosunków z Rosją, jednak znacznie słabszą. Rosja putińska nie jest normalnym krajem. Ona po tej wojnie też będzie musiała się zmienić. Rosja była potęgą militarną i zacofanym poradzieckim krajem w pozostałych dziedzinach. Gospodarczo żyła z surowców. Chiny udowodniły, że można gospodarczo dźwignąć się dzięki pracy, a nie dzięki

surowcom. A ci głupi Słowianie doszli do wniosku, że dopóki ziemia im naftą sika, to po co się nad pracą zastanawiać? Ale ta obecna wojna czegoś ich nauczy. Ta wojna zakończy się klęską Ukrainy, nie taką całkowitą, bo wynegocjowaną przez Zachód. To on podyktuje warunki. A Zachód, ten amerykański, ze strachu przed Chinami będzie chciał załatwić połowicznie wojnę rosyjsko-ukraińską, bo Zachodowi potrzebna jest Rosja.

Czego Polskę ta wojna nauczy?

– Obawiam się, że niczego. Polska ma złą rękę do uczenia się. Zarówno na błędach własnych, jak i cudzych.

*Jerzy Domański, Paweł Dybicz,
Robert Walenciak*

KSIĄŻKA ROKU TYGODNIKA PRZEGLĄD



Warto poznać historię Polski Ludowej autorstwa prof. Andrzeja Werblana.

„Prawda i realizm” to dwa tomy pozwalające lepiej zrozumieć te ciekawe czasy. I wiele ważnych argumentów w obronie Polski Ludowej.



Tom I 78 zł



Tom II 79 zł

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl

lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. **Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Krajobraz po wielkiej wodzie

Wrześniowa powódź już nie zajmuje czołówek mediów. Ale trwa, chociaż woda ustąpiła

Beata Dżon-Ozimek

Widok ze wzgórza nad Głuchotązami zachwyca wielobarwną jesienią, charakterystycznymi wieżami barokowego kościoła ponad miastem; w tle polsko-czeskie Góry Opawskie. A i tak na plan pierwszy pchają się wszechobecne kurz i pył, mimo upływu sześciu tygodni od powodzi. W mieście już nie czuć zaskakująco wodą i śmieciami z mułem. Śmierdzą za to mokre mury i podłogi na klatkach schodowych, mieszkania, wnętrza małych zakładów usługowych przyduszają zapachem mimo pracy osuszaczy. Auta z terenów powodziowych można poznać po zapyłonych karoseriach i szybach jak po burzy błotnej. Krajobraz po powodzi ciągle znaczą hałdy mułu, śmieci, mebli, sprzętów, zabawek, najdziwniejszych zastętych w błocie przedmiotów.

Pozorny spokój po zalaniu jest jak obraz wojenny bez śladów kul. Trafiam na wybebeszone mieszkania, sklepy, knajpki. Ulicami pędzą potężne pojazdy wojskowe, ciężarówki WOT ze zmęczonymi chłopakami i dziewczynami. Kierowcy jeżdżą mało delikatnie, wojskowe auta dyktują warunki, wszyscy schodzimy im z drogi.

Atmosfera stanu wyjątkowego udziela się w niektórych częściach Głuchotązów, np. w Zdroju, gdzie rzeka Biała Głuchotaska (Białka) wylała jakiś metr ponad stan powodzi z 1997 r. Przy ulicy Jana Pawła, prowadzącej do parku zdrojowego i na trasy spacerowe, teraz poszarpane przez rzekę, ktoś zaznaczył długopisem na jasnej ścianie budynku z wciąż wyraźnym mokrym fragmentem linii wysokości wody z datą „15.09.2024”. Około pół metra powyżej pamiątkowej tabliczki



Głuchotązy dziękują za pomoc.

z poziomem wody z 1997 r. To będzie kolejna pamiątka po sile natury i bezsilne człowieka.

Pomocownia w Muzycznej

Im bliżej Zdroju, tym bardziej pyli i dusi. Do powodzi tu była enklawa zdrowego mikroklimatu, tutaj leczyło się pioniersko gruźlicę od początków XX w. Na ulicy kartony z darmową odzieżą, rzeczami do domu, chemią.

(m.in. emerytka ze służby zdrowia, opiekunka starszych ludzi czy była przewodnicząca po Górach Opawskich) zorganizowały się same. – Do pomagania trzeba mieć tę chęć, trzeba lubić ludzi. Mamy szczęście, że nas nie zalało. W ten sposób damy coś od siebie – mówi Iwona.

Wielkim powodzeniem cieszyły się okulary ochronne, ale przydaje się wszystko: chemia, odzież, obuwie, żywność; pytano też

Ten czas jest najtrudniejszy, bo pomagającym zapał częściowo minął, firmy ubezpieczeniowe piętrzą problemy, a potrzeba pieniędzy na prace popowodziowe.

Mieszkanki Głuchotązów skrzyknęły się i pod wiatą popularnej restauracji Muzyczna, zupełnie zalanej przez powódź, prowadzą od czterech tygodni punkt wydawania pomocy rzeczowej. Iwona, Ola, Julia i Ewa

o pościel. Niedaleko znajduje się wojskowy punkt wydawania pomocy, tutaj też ustawiają się kolejki. Cały czas jest gotowość i wciąż są chętni do udzielania wsparcia rzeczowego.



Pozostałości zabytkowego mostku w Głuchołazach.



Krajobraz po powodzi pełen mułu, śmieci, mebli i innych zastętych w błocie przedmiotów.

– Jestem szczęśliwcem, mnie nie zalało, mam ciepło i dach nad głową, prąd, wodę. Powtarzam sobie to codziennie po obudzeniu się – mówi Kuba, nauczyciel ze Śląska. Pomaga z przyjaciółmi od początku powodzi. Sam był powodzianinem w 1997 r., wszystko wtedy stracił, został w tym,

co miał na sobie. Wie, co znaczy taka sytuacja.

Samopomoc, zbiórki i media pomagają ruszyć życiowe sprawy zalanych ludzi, wyrzecz presję na lokalną administrację. Często dopiero publikacje są dla urzędników źródłem informacji, ale to dla wszystkich stan wyjątkowy. Zapewne nikt, żadne władze ani urzędnicy nie są gotowi na powódź, do tego na taką skalę – o wiele potężniejszą niż w pamiętnym 1997 r. Brakuje schematów działań. W takiej sytuacji wojsko i służby mundurowe są nie do przecenienia. Logistyka i jasność ruchów jest konieczna i uspokaja w pobojowisku po wielkiej wodzie.

Zszywanie miasta

Każdy tydzień przynosi efekty prac nad przywracaniem miasta do życia. Straty materialne są szacowane na kosmiczne 3 mld zł. Jak wyliczał w Radiu Opole burmistrz Paweł Szymkowicz, straty w mieniu komunalnym gminnym razem z mieniem komunalnym zarządzanym przez powiat

Niektóre budynki nie nadają się do zamieszkania, trzeba będzie je rozebrać.

i województwo dają ok. 1 mld zł, w tym są drogi, mosty i budynki. Drugi miliard to straty przedsiębiorców, trzeci to przy tej skali zniszczeń straty poniesione przez mieszkańców. Roczny budżet gminy wynosi 120 mln zł.

Piękne, nowoczesne boisko sportowe z bieżnią tuż przy rzece zginęło pod tonami mułu. Jest już oczyszczane, wyrównane, lecz to dopiero początek. Po drugiej stronie rzeki ulubiony basen miejski też „popłynął”. Lokale usługowe i sklepy na rynku częściowo wracają do życia, ale zniszczona księgarnia i optyk z tradycjami, kultowe dla mieszkańców i wiernych turystów, są zamknięte. Nie wiadomo, czy wrócą na swoje miejsca.

Na rynku stoi żółty van z wielkim sercem i napisem: „Dziękujemy służbom, straży, wojsku, policji, darczyńcom”. Jednak najważniejszym punktem miasta podzielonego przez rzekę jest most. Pieczętowanie budowany nowy, podobnie jak tymczasowy, zerwała i wchłonęła Biała Głuchołaska. Rozdarła Głuchołazy na dwie części, pozostały kładka piesza naprzeciwko boiska oraz droga dookoła przez Czechy.

2. Inowrocławski Pułk Inżynierijny przystąpił do budowy nowej przeprawy, jezdni i chodników ▶



► – stalowego mostu DMS-65, w zamyśle do celów militarnych, a tutaj na rzecz miasta. Nad Białą Głuchołaską stanęły dwie konstrukcje, każda po 36 m długości i o wadze 48 ton. Miasto zostaje połączone, „zsyte” stałą przez wojsko na nowo. Obok będzie powstawał most docelowy, ważne dla mieszkańców po kolejnych doświadczeniach powodzi, by miał łukową konstrukcję, bez filara w rzece, bo ten staje się kolejną zaporą dla wody i niesionych przez nią przedmiotów, może powodować dodatkowe wezbrania.

Wiszą za to fragmenty przebranego w połowie września zabytkowego, XIX-wiecznego mostku „huśtanego” w Zdroju (tuż obok przetrwał wiadukt kolejowy). Huśtanego, bo drewniana kładka o długości ok. 25 m była efektownie podwieszona na żeliwnych prętach, dzięki temu, idąc, czuło się sprężynowanie, dla innych huśtanie. Był ulubionym traktem kuracjuszy i miejscowych, jednym z symboli Głuchołazów, uroczym przejściem z miasta do części zdrojowej. Dziś przychodzi tam wiele osób, stoją nad rzeką, patrzą z bólem na ruinkę pięknej konstrukcji. Przeważnie starsze osoby, które mają sentyment do „huśtanego”, miejsca pierwszych randek, pocałunków...

Biedny Bodzanów i inne miejsca

Miasto i wieś obok, jak straszliwie doświadczony Bodzanów, ożywają. Ale boją się chłódów jesieni, zimy. Mury nie schną na życzenie. To wymaga czasu, sprzętu i pieniędzy na pokrycie kosztów energii. Niektóre budynki nie nadają się do zamieszkania, trzeba będzie je rozebrać. Na razie mowa o dziesięciu adresach. Potrzebne są piece do domów, bo te zalane podczas powodzi już się nie nadają, a można by wspomagać osuszanie domów grzejnikami.

Siostry Anna i Magdalena Gumienne ratują przy pomocy bliskich

rodzinny dom w Bodzanowie. Ciężko chora mama pod tlenem, tata w szpitalu. Trudno wymazać obrazy zalewanego domostwa, samochodu, trzech dni oczekiwania w zalanym budynku na podjęcie przez helikopter lub pojazd wojskowy,



Siostry Anna i Magdalena Gumienne ratują przy pomocy bliskich rodzinny dom w Bodzanowie.

nieskuteczne próby. Za nimi przymusowa wyprowadzka do wynajętego mieszkania. Osuszają surowe ściany, dach przecieka po wrześniowych deszczach, zimno, wilgotno, bez łazienki, kuchni, mebli, które otrzymali po powodzi w 1997 r. Nie ma ulubionego rodzinnego stołu Janiny, Jerzego i ich córek. Tylko poniemiecka solidna posadzka pokazuje swoje kolory.

Na piętrze skromna kuchnia, pokój. Kto wiedział, że od zimna można mieć uczulenie? Tego doświadczyła córka Magdy, też schorowanej młodej kobiety. Przed ich domem w pierwszych dniach po powodzi piętrzyły się hałdy zniszczonych sprzętów. Na jednej ktoś posadził

powodziowego krasnala w czerwonej czapce. Teraz przed domem jest pusto i czysto, ale co z tego, skoro – jak dziesiątki innych – nie nadaje się do zamieszkania.

– Gdyby był piec, grzejniki, bo też zostały zalane, ogrzałibyśmy dom, zrobilibyśmy go do zimy na tyle, żeby sprowadzić rodziców. Może by się udało. Oni bardzo cierpią poza tym swoim miejscem – mówią siostry. Nie chcą płakać, ale są momenty, że się nie da. Nikt tu jednak nie narzeka. Wszyscy są nastawieni na przyszłość, trzeba coś robić, notować postępy, to daje nadzieję i siłę. Zainteresowani ich losem ludzie też dodają nadziei. – Tatę nazywali tu „nasz pan dziadek”. Pomagał, jak mógł. Podczas powodzi w 1997 r. organizował pomoc dla innych, nie byliśmy tak zalani jak teraz – wspomina Magda, wówczas dziewczynka.

Punkt orientacyjny dla niosących pomoc dla Bodzanowa stanowił przystanek. Trudno go było wtedy dostrzec wśród stosów darów, błota, pojazdów i krążących ludzi. Teraz murowany przystanek wyrósł na nowo. Jest dojmująco cicho i pusto. Co najwyżej przejedzie koparka z kolejną porcją powodziowego błota.

A walka ze skutkami żywiołu trwa, tylko bez kamer i efektowych pód przy przekazywaniu darów. Samotnie trwa odzyskiwanie każdego domu, zakładu pracy. Ten czas jest najtrudniejszy, bo pomagającym zapał częściowo minął, firmy ubezpieczeniowe piętrzą problemy i zadają pytania, które nie są konieczne, a potrzeba pieniędzy na kolejne prace. Nie zdziwią depresję, załamania, próby samobójcze. Trzeba pobyć w tym wilgotnym zimnie, zapachu, kiedy zajdzie słońce, żeby odrobinę popowodziowego stanu poczuć. I spojrzeć w oczy jednej czy drugiemu w Głuchołazach, Bodzanowie, Kłodzku. Albo usłyszeć: „Dziękuję za zainteresowanie”. Pomagajmy.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Żona byłego ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, która dotychczas pozostawała w cieniu, ma ambicje polityczne.



Pierwsza dama PiS

Czy Patrycja Kotecka-Ziobro zawalczy o schedę po Jarosławie Kaczyńskim?

Andrzej Sikorski

„Ufam, że to środowisko, które jest pełne znakomitych polityków, przetrwa. Zachęcam do tego szczególnie, aby pojawił się prawdziwy przywódca tej formacji. Myślę, że taką osobą jest Patrycja Kotecka-Ziobro, która w mojej ocenie ma predyspozycje do bycia najtwardszym politykiem w Polsce, jeśli chodzi o obronę przeciwko temu bezprawiu”, stwierdził kilka miesięcy temu poseł Janusz Kowalski, odpowiadając na pytanie, kto powinien zastąpić schorowanego Zbigniewa Ziobrę w roli lidera Suwerennej Polski.

Po wchłonięciu partii Ziobry przez PiS temat jest już nieaktualny, ale – jak usłyszałem od dobrze zorientowanych osób – żona byłego ministra

sprawiedliwości i prokuratora generalnego, która dotychczas pozostawała w cieniu, ma ambicje polityczne. Czy zawalczy o przewodzenie polskiej prawicy, nie wiadomo, ale taki scenariusz wcale nie byłby z gatunku political fiction.

Mroczna przeszłość

Historia znajomości Patrycji Koteckiej i Zbigniewa Ziobry ma dwie wersje. W tej serwowanej w prasie bulwarowej i na portalach plotkarskich poznali się w 2003 r. w czasie obrad sejmowej komisji śledczej badającej tzw. aferę Rywina. Ona – dociekliwa i ambitna dziennikarka śledcza, on – polityk walczący z bezprawiem.

„Szczególną uwagę zwróciłem na Patrycję, kiedy przesłuchiwałem Leszka Millera. Tamtego dnia

miałem już tak wszystkiego dosyć i... spojrzałem w kierunku stołu, przy którym siedzieli dziennikarze. Patrycja miała na sobie jakiś niebieski żakiet. Po siedmiu godzinach słuchania i patrzenia na Leszka Millera zobaczyłem, w końcu, piękną kobietę, która się uśmiechała”, wspominał Ziobro w jednym z wywiadów.

Według drugiej wersji Kotecka została „podstawiona” Ziobrze przez gangsterów. „Gazeta Wyborcza” ujawniła sensacyjne zeznania jednego z bossów mafijnych, Piotra K. „Brody”, który poszedł na współpracę z prokuraturą. Przesłuchiwany w 2009 r. „Broda” opowiedział śledczym o związkach Koteckiej ze środowiskiem przestępczym, a trwały one do połowy 2006 r. „Kotecka (...) wykonywała dla nas wiele działań, a w szczególności z uwagi na

► jej charakterystyczną urodę podrzucaliśmy ją różnym osobom, także z kręgu polityki, biznesu, ale także funkcjonariuszom policji”, zeznał gangster. Kotecka miała też być zamieszana w spalenie pizzerii i zlecenie porwania.

Jak było naprawdę, nie wiadomo, ale dziennikarz śledczy Wojciech Czuchnowski potwierdził, że Kotecka obracała się wśród przestępców.

Coś musiało być na rzeczy, bo z kolei „Newsweek” napisał, że w 2006 r. Ziobro, bojąc się prowokacji ze strony mafii, udał się do ówczesnego szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego Bogdana Święczkowskiego (teraz ulokowanego w Trybunale Konstytucyjnym Julii Przyłębskiej) z prośbą, aby podległe mu służby sprawdziły Kotecką, którą przedstawił jako swoją narzeczoną. Podjęto inwigilację, a w archiwum ABW pozostały dwie opaste teczek z materiałami.

Ziobro i Kotecka długo ukrywali swój związek, choć huczało od plotek. Latem 2007 r. Kotecka została zastępcą szefa Agencji Informacji TVP – nadzorowała wszystkie programy informacyjne, ze sztyndarowymi „Wiadomościami” włącznie. Zdaniem Janusza Kaczmarskiego, prokuratora krajowego i szefa MSWiA w pierwszym rządzie PiS, o stanowisko dla Koteckiej Zbigniew Ziobro zabiegał u ówczesnego prezesa TVP Andrzeja Urbańskiego, argumentując, że zdolna dziennikarka będzie „działała na rzecz PiS”. I rzeczywiście, Kotecka miała cenzurować materiały nieprzychylne partii rządzącej. Wówczas nadano jej przezwisko „komisarz”. Poza tym wyszło na jaw, że korzystała ze służbowego laptopa Ziobry. Na zniszczonym (prawdopodobnie celowo) urządzeniu znaleziono zapisane scenariusze programów telewizyjnych, m.in. o dr. Mirosławie G., którego Ziobro fałszywie oskarżył o mordowanie pacjentów. Wybuchł skandal, bo wskazywało to, że członek rządu redagował czołowy program informacyjny.

W imieniu męża

Znajomi Patrycji Koteckiej-Ziobro mówią o niej „baba z jajami”, co jest

wyrazem podziwu. Porównują ją też do wyrachowanej Claire Underwood, bohaterki serialu politycznego „House of Cards”. W małżeństwie to ona jest szefem, a Zbigniew niczym pantoflarz wszystko z nią uzgadnia. I chodzi tu nie o kolor ręczników, rodzaj pościeli czy zakup pralki, ale o podejmowane przez niego decyzje polityczne. To „Pati Koti” dba o wizerunek męża. W 2014 r. podczas wieczoru wyborczego w dniu wyborów europejskich jedna z działaczek zaatakowała Ziobrę, wypominając mu, że jest tchórzem. Wtedy do akcji wkroczyła Kotecka, która zaczęła krzyczeć: „Ta pani jest pod wpływem

Patrycja Kotecka ma stać za kreowaniem męża jako ofiary zbrodniczego reżimu Tuska.

alkoholu!”. W 2018 r. w przerwie programu „Kawa na ławę” (TVN 24) zadzwoniła do prowadzącego i zaprzeczyła temu, że jej mąż zna radcę prawnego, którego nazwisko pojawiło się w aferze z Komisją Nadzoru Finansowego. To Kotecka ma stać za kreowaniem męża jako ofiary zbrodniczego reżimu Tuska.

Jeszcze przed kilkoma miesiącami choroba Ziobry wzbudzała spore współczucie, ale teraz już coraz częściej poirytowanie. Dała temu wyraz nawet przewodnicząca komisji śledczej ds. Pegasusa Magdalena Sroka. Pośtanka po opublikowaniu przez Ziobrę w mediach społecznościowych kolejnego zdjęcia mającego ilustrować ciężki stan zdrowia polityka stwierdziła, że „Zbigniew Ziobro cynicznie gra na emocjach Polek i Polaków”. Wiele wskazuje, że zdjęcia obłożnie chorego Ziobry to medialne wrzutki, a były minister widywany był m.in. w galerii handlowej, w sklepie i na lotnisku.

Kotecka pracuje teraz w Parlamencie Europejskim, oficjalnie jako asystentka i doradczyni Daniela Obajtka, Patryka Jakiego oraz Jacka Ozdoby. Podobno zarabia maksymalną stawkę, czyli ok. 10 tys. euro. „Doświadczona dziennikarka, później przez lata kierowała działem marketingu dużej spółki. Znakomity ekspert i wzmocnienie pracy europosłów.

Cieszę się, że będzie mogła z nami współpracować”, zachwalał Ozdoba. Jednak według moich informacji rolą Koteckiej jest kontrolowanie europosłów, do których Ziobro nie ma pełnego zaufania. Kotecka ma również – w imieniu męża – utrzymywać kontakty z sojusznikami politycznymi w grupie Europejskich Konserwatystów i Reformatorów.

Nadużycia i hojna pensja

Ostatnio o Koteckiej zrobiło się głośno przy okazji ogłoszenia audytu przez PZU. Straty narodowego ubezpieczyciela pod rządami PiS

wyniosły 700 mln zł, a spółka złożyła w prokuraturze kilka zawiadomień o popełnieniu przestępstwa przez pisowskich menedżerów, kilkanaście kolejnych jest zaś w przygotowaniu. Jeden z wątków dotyczy Link4, spółki zależnej od PZU, gdzie Kotecka była dyrektorką i członkiem zarządu. W komunikacie z audytu napisano, że Link4 „skoncentrował się jedynie na ślepym zdobywaniu udziałów w rynku, co w połączeniu z niekompetencją i licznymi błędami menedżerskimi doprowadziło do strat w segmencie ubezpieczeń komunikacyjnych”. Mowa jest też o tym, że menedżerowie Link4 „dopuszczali się licznych nieprawidłowości, które doprowadziły do powstania szkód w wielkich rozmiarach”, co „spowodowane było względami politycznymi i leżało w interesie osób związanych z partią rządzącą”. Według doniesień medialnych Kotecka w Link4 zarobiła 4,5 mln zł. Na tak gigantyczne wynagrodzenie oprócz stałej pensji wynoszącej kilkadziesiąt tysięcy złotych złożyły się coroczne premie po ok. 100 tys. zł; odchodząc zaś z Link4, już po przegranych przez PiS wyborach, Kotecka miała otrzymać 400 tys. zł w ramach odszkodowania i 65 tys. zł ekwiwalentu.

Żona byłego ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego przewija się także w aferze związanej

z Funduszem Sprawiedliwości. Z taśm Tomasza Mraza, byłego dyrektora Departamentu Funduszu Sprawiedliwości, który poszedł na współpracę z prokuraturą i który potajemnie nagrywał rozmowy m.in. z Marcinem Romanowskim oraz urzędniczką resortu Urszulą D. (kobieta przebywa w areszcie), wynika, że Patrycja Kotecka wpływała na rozdział dotacji, a ludziom Ziobry zależało, by jej rola nie wyszła na jaw. Urszula D. zastanawiała się, co robić, gdy w razie wpadki padną pytania o Kotecką. „O kontakty z panią Patrycją? Co robić? Na ile ingerowała w różne rzeczy? Ja się wszystkiego wyprę, chyba że mają na Pegasusie moją czułą korespondencję z nią”, mówiła urzędniczka.

Kotecka odegrała kluczową rolę w jednej z największych afer w polskich mediach. W 2020 r. OKO.press ujawniło, że na portalu Wirtualna Polska pojawiają się teksty wychwalające Zbigniewa Ziobrę i Ministerstwo Sprawiedliwości. Jako autor podpisany był nieistniejący Krzysztof Suwart. Jak wynika z ujawnionych nagrań, pod tym pseudonimem krył się Krzysztof Mirończuk, dziennikarz WP, który potem znalazł zatrudnienie w Ministerstwie Sprawiedliwości. Jego żona Aneta Jakubiak-Mirończuk kierowała tam Departamentem Funduszy Europejskich. Kotecka nie tylko podrzucała tematy, ale też ingerowała w teksty przygotowywane przez dziennikarzy i usuwała wszelkie negatywne informacje, które mogłyby uderzyć w jej męża. Dzięki takiej „współpracy” WP zarobiła ok. 7 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości.

Znajomy z dzieciństwa

W 2018 r. Jarosław Kaczyński dostał list. „Szanowny Panie Prezesie. Zwracam się do Pana z prośbą o zapewnienie mi bezpieczeństwa i mojemu dziecku. Jestem w trakcie sprawy rozwodowej i zdecydowałam się na zeznawanie w sprawie korupcji dotyczącej branży medycznej, w której uczestniczyłam razem z mężem. (...) Chciałam zeznawać w Prokuraturze Okręgowej w Warszawie (...), ale niestety prokurator przyjął tylko zawiadomienie dotyczące

spraw osobistych. Obawiam się, że bezpośrednia znajomość mojego męża (...) i bliska przyjaźń z Patrycją (żoną ministra Ziobry) poskutkowa- ła nieprzyjęciem zawiadomienia. Patrycja i mój mąż przyjaźnią się od dzieciństwa. Mój mąż wielokrotnie pomagał jako informatyk i nie tylko w sprawach pana Ministra. Jestem obecnie w trakcie zeznań w CBA, ale również tam zauważyłam, że przesłuchujący muszą się konsultować przy moich zeznaniach z przełożonymi (...). Moja wiedza dotyczy ustawiania przetargów w okresie od 2011 do 2016 roku. Posiadam wydruki z kopii zapasowych telefonu mojego męża, listy kontaktów, treści wiadomości sms/e-mail, nazwiska i funkcje publiczne osób uczestniczących w procederze, kontakty telefoniczne tych osób (...) oraz inne dokumenty. Mam wiedzę o kwotach przekazywanych, sposobach i miejscach przekazywania korzyści majątkowych (...). Ponieważ mój mąż wielokrotnie groził mi i dziecku, że po ujawnieniu przestępstw, w których uczestniczył, mam zagrożone życie, dlatego

Kotecka pracuje teraz w europarlamencie jako asystentka i doradczyni Daniela Obajtka, Patryka Jakiego oraz Jacka Ozdoby. Podobno zarabia ok. 10 tys. euro.

proszę o osobiste potraktowanie mojej sprawy i błyskawiczne zajęcie się moim problemem (...). Obecnie ukrywam także swoje miejsce pobytu wraz z dzieckiem, gdyż jestem nękana telefonicznie oraz śledzona. (...) Bardzo proszę o interwencję i pomoc z Pana strony”.

Autorką listu była Katarzyna C. Jej mąż pracował na stanowisku menedżera w firmie zajmującej się sprzedażą sprzętu medycznego oraz wykonywaniem projektów instalacji gazów medycznych dla szpitali. W zamian za łapówki firma otrzymywała intratne zlecenia.

List musiał zrobić wrażenie na prezesie Kaczyńskim. Kobieta dostała odpowiedź od Marcina Palusiaka z Biura Prezydzialnego PiS: „W odpowiedzi na korespondencję (...), w której przedstawiła Pani informacje

odnoszące się do postępowania karnego i składanych zeznań odnośnie korupcji przy organizacji przetargów na sprzęt medyczny, odpowiadając z upoważnienia Pana Prezesa Jarosława Kaczyńskiego, uprzejmie informujemy, że z uwagi na podniesione wątki prawno-karne oraz nawiązania do kwestii bezpieczeństwa Pani i małoletniego syna, Pan Prezes Jarosław Kaczyński wystąpił do Ministra Sprawiedliwości, Prokuratora Generalnego”.

Zbigniew Ziobro zignorował prezesa PiS, bo kilka miesięcy później zrozpaczona Katarzyna zwróciła się o pomoc do Patrycji Koteckiej, ale ta również nie zareagowała.

Katarzyna opowiedziała mi swoją wstrząsającą historię o wielkiej miłości, potem przemocy domowej, przestępczym procederze i o tym, że ani prokuratura, ani CBA nie wykazują zainteresowania jej zeznaniami. Było to zdumiewające, bo przecież kobieta chciała się przyznać do popełnionych przestępstw. Czyżby chodziło o znajomość jej męża z małżeństwem Ziobrów?

Losy kobiety potoczyły się tragicznie. Damian C. wywiózł syna do Niemiec. Aby być blisko dziecka, Katarzyna przeprowadziła się w okolice miasta Schwedt, niedaleko granicy z Polską. Jesienią 2022 r. w wynajmowanym mieszkaniu znaleziono jej zwłoki. Według moich informacji były w stanie znacznego rozkładu i leżały około dwóch tygodni. Uznano, że śmierć nastąpiła naturalnie, chociaż 38-latkę cieszyła się dobrym zdrowiem i nie narzekała na żadne dolegliwości. Damian C., który groził żonie pozbawieniem życia, w wiadomości SMS do jej koleżanki napisał, że „zmarła w spokoju” i „nie zastrzyła aż na śmierć”. Polska prokuratura, mimo że miała taką możliwość, nie wszczęła śledztwa w sprawie śmierci Katarzyny.

Andrzej Sikorski

Flota cieni i inne sztuczki

Kto zarabia na omijaniu zachodnich sankcji

Transportem rosyjskiej ropy naftowej do Chin czy Indii zajmuje się flota cieni, czyli zakupione przez pośredników kilkunastoletnie tankowce. Ma ich być od 600 do 1000.



Grzegorz Rudnik

W 2023 r. kupiliśmy w Rosji towary za 2,4 mld euro. W tym samym roku państwa Unii Europejskiej zaimportowały ze Wschodu towary o wartości ponad 50 mld euro. Nieźle, jak na warunki wojenne.

Po agresji Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. Zachód obłożył Moskwę bezprecedensową liczbą sankcji ekonomicznych. Ich celem było złamanie rosyjskiej gospodarki i wywołanie kryzysu społecznego, a w konsekwencji politycznego, który doprowadziłby do upadku prezydenta Putina. W lutym 2023 r. podczas wizyty w Polsce prezydent Stanów Zjednoczonych Joe Biden w przemówieniu do Polaków stwierdził: „Obecnie 200 rubli to tylko 1 dol. Gospodarka Rosji rozpadnie się na części. To Władimir Putin jest za to odpowiedzialny”.

Nic podobnego się nie stało. Dziś kurs dolara w Rosji oscyluje wokół 100 rubli, półki sklepowe są pełne towarów, także tych z importu, a Kreml w 2023 r. odnotował wzrost PKB o 3,6%. Dla porównania – wzrost

PKB w państwach strefy euro wyniósł 0,5%.

Objęta sankcjami i przestawiona na wojenne tory gospodarka rosyjska okazała się bardziej odporna, niż sądzono. Zachodnie sankcje nie zadziałały również dlatego, że rosyjskie koncerny znalazły partnerów handlowych w Azji, Afryce i Ameryce Południowej, a niektóre francuskie, niemieckie, brytyjskie i amerykańskie przedsiębiorstwa postanowiły wykorzystać okazję do zarobku na omijaniu sankcji. Wiele wskazuje na to, że i polskie firmy przyłączyły się do owego procederu.

Stacja benzynowa z bronią atomową

W sierpniu 2023 r. w wywiadzie udzielonym hiszpańskiemu dziennikowi „El País” szef dyplomacji unijnej Josep Borrell powiedział: „Rosja jest ekonomicznym karłem i przypomina stację benzynową, której właściciel posiada bombę atomową”. Zapewne przez grzeczność polityk nie wspominał, że na owej stacji zachodnie koncerny chętnie tankują paliwa i gaz. Między styczniem a lipcem 2023 r. dochody Rosji z eksportu

ropy naftowej i gazu wzrosły o 61,1% w porównaniu z analogicznym okresem roku poprzedniego. We wrześniu zeszłego roku dochody tylko z eksportu ropy naftowej wyniosły 18,8 mld dol. i były wyższe niż przed wprowadzeniem sankcji.

Największymi importerami rosyjskiej ropy naftowej są Chiny i Indie, lecz głównym rynkiem zbytu dla rosyjskich produktów ropopochodnych (czyli np. benzyny) jest dziś członek NATO – Turcja!

Zachodnie sankcje nie obejmują benzyny i oleju napędowego wyprodukowanych z rosyjskiej ropy w krajach trzecich. I oto według danych Federalnego Urzędu Statystycznego w pierwszych siedmiu miesiącach 2023 r. spółki niemieckie kupiły i sprowadziły z Indii do Niemiec produkty naftowe o wartości 451 mln euro. Czyli 12 razy więcej niż w tym samym okresie 2022 r. Tak nasi zachodni sąsiedzi „piorą” rosyjską ropę. I trudno im się dziwić, gdyż niemiecka gospodarka odcięta od tanich rosyjskich surowców energetycznych powoli osuwa się w recesję. W tej sytuacji każda okazja, by „zdywersyfikować dostawy” i legalnie zarobić, jest dobra.

Gwoli usprawiedliwienia Niemców należy dodać, że tanią indyjską benzyną nie gardzą też inne państwa zachodnie. Przy czym na subkontynencie działają 24 rafinerie ropy naftowej, w tym największa na świecie rafineria Jamnagar w stanie Gudźarat o mocy przerobowej 1,4 mln baryłek dziennie. Dla porównania – należąca do Orlenu rafineria w Płocku może przerobić dziennie 276 tys. baryłek ropy. Pięć razy mniej niż Hindusi.

Problemem, który musiała rozwiązać Rosja po wprowadzeniu sankcji, było znalezienie sposobu dostarczenia ropy naftowej do indyjskich rafinerii oraz wygodnej metody wzajemnych rozliczeń. Moskwa zgodziła się, by Delhi płaciło za ropę nie w dolarach, lecz w rupiach. Z kolei władze indyjskie nieoficjalnie postanowiły przymknąć oko na niektóre transakcje, dotyczące reeksportu przez tamtejsze firmy do Rosji amerykańskich towarów objętych sankcjami.

Transportem rosyjskiej ropy naftowej do Chin, Indii oraz innych państw zajmuje się tzw. flota cieni, czyli – jak dowodzą zachodnie media – zakupione przez pośredników kilkunastoletnie tankowce. Ma ich

obchodzić sankcje, utrudnia pracę obowiązujące w tych rajach prawo. Zgodnie z nim nie można bowiem udzielać informacji o udziałowcach spółek w nich zarejestrowanych. Nie znaczy to, że nie można ustalić, kto się kryje za tym czy innym podmiotem gospodarczym, lecz jest to bardzo skomplikowane i kosztowne.

Rosjanie, korzystając z usług często renomowanych kancelarii prawnych, tworzą łańcuchy pośredników, co uniemożliwia ustalenie rzeczywistych właścicieli i dysponentów statków oraz przewożonych nimi ładunków. Skutecznym sposobem obejścia sankcji jest też handel mieszankami ropy. Na przykład handel oraz transport kazachskiej ropy zmieszanej z rosyjską w proporcjach 10% kazachskiej i 90% rosyjskiej jest legalny.

Skoro część państw Unii zrezygnowała z zakupów rosyjskiego gazu ziemnego, Kreml zaczął sprzedawać więcej nawozów azotowych – do produkcji których niezbędny jest gaz ziemny – po promocyjnych cenach lub z kazachskimi dokumentami. Zwiększył też sprzedaż aluminium, do produkcji którego potrzeba dużo energii. A tej w Rosji nie brakuje.

Kurs dolara w Rosji oscyluje wokół 100 rubli, półki sklepowe są pełne towarów, także z importu, a PKB wzrósł o 3,6%.

być od 600 do 1000. Jak przekonują zachodni eksperci, statki te zagrażają środowisku naturalnemu, gdyż mogą ulec katastrofie, a wtedy ropa wyleje się do morza. Koszty ratowania zatrutych ekosystemów spadną zaś nie na Rosję, lecz na inne państwa. Na razie nic złego się nie stało.

Szacunki mówią, że owe jednostki przewożą obecnie ponad 4 mln baryłek ropy dziennie, dwa razy więcej niż rok temu. Oznacza to, że dochody Kremla ze sprzedaży ropy naftowej mogą być wyższe, niż oczekiwano.

Rosji byłoby znacznie trudniej, gdyby nie pomoc zachodniego sektora bankowego, osób wiedzących, jak wykorzystać możliwości stwarzane przez raje podatkowe. Instytucjom i osobom, które zajmują się śledzeniem firm pomagających Rosjanom

I żeby była jasność: największym importerem rosyjskich nawozów sztucznych w Europie jest dziś... Polska! W minionym roku sprowadziliśmy ze Wschodu 857 tys. ton. Ponad dwa razy więcej niż Francja (380 tys. ton) i Niemcy (375 tys. ton). Powinniśmy dodać do tego jeszcze ponad 38 tys. ton nawozów sztucznych sprowadzonych z Kazachstanu.

W tych okolicznościach ani zadłużona na 10 mld zł Grupa Azoty, w skład której wchodzi produkujący nawozy azotowe zakład w Puławach, ani kontrolowany przez Orlen Anwil nie mają szans. Ich nawozy są za drogie jak na możliwości finansowe polskiego rolnika. Stąd pomysły wprowadzenia w Unii embarga na rosyjskie nawozy sztuczne. Jeśli do tego dojdzie, będzie to potężny

cios nie tylko w nasze rolnictwo, ale i w europejskie. Bo koszty produkcji zbóż niepomniernie wzrosną.

Polski ślad

„Polacy prowadzą obłudną politykę. Krytykują nas za nasze stosunki z Rosją, a prowadzą z nią interesy przez pośredników. Takiej hipokryzji ze strony państwa nigdy nie widziałem”, oświadczył ostatnio w Brukseli przyjaciel Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego, premier Węgier Viktor Orbán. Reakcja naszej dyplomacji była zdecydowana, lecz prawdopodobnie mało skuteczna. Bo kto jak nie Budapeszt ma być zorientowany, jakie Warszawa kręci biznes z Kremlem. Wiedzą o tym Rosjanie sprzedający nam bezpośrednio nawozy sztuczne i ci, od których Orlen jako właściciel czeskich rafinerii w Kralupach i Litwinovie chętnie kupi ropę naftową.

Magazyn Politico podał ostatnio, że należąca do Orlenu spółka Orlen Unipetrol zarobiła ponad 1,2 mld euro na imporcie tańszej rosyjskiej ropy naftowej. Czyli zarobił też nasz narodowy producent paliw. Cześć – jak twierdzi Politico – wydali na kremłowską ropę 7 mld euro. Nie ma więc co się dziwić Orbánowi, że zarzuca nam hipokryzję. Tak jak nie ma nic dziwnego w tym, że Orlen Unipetrol chciał zarobić i zarobił.

W tym kontekście warto przyrzeć się bliżej poczynaniom kadry kierowniczej Orlenu z czasów, gdy prezesem koncernu był Daniel Obajtek. 22 sierpnia 2022 r., już po agresji Rosji na Ukrainę, PKN Orlen założył w pięknym szwajcarskim mieście Bar w kantonie Zug spółkę OTS Switzerland GmbH, która miała się zająć handlem ropą naftową i produktami ropopochodnymi. Kanton Zug to raj podatkowy w europejskim raju podatkowym, jakim jest Szwajcaria. Mają w nim siedziby spółki – także rosyjskie – trudniące się handlem ropą naftową, paliwami, gazem ziemnym itp. Musimy wiedzieć, że nawet dziś handel rosyjskimi nośnikami energii jest w Szwajcarii całkowicie legalny i niezwykle dochodowy.

Prezesem Orlenowskiej GmbH (Gesellschaft mit beschränkter

► Haftung – czyli spółki z ograniczoną odpowiedzialnością) został Libañczyk z polskim paszportem Samer A., mający podobno ogromne doświadczenie i znakomite kontakty w świecie obracających ropą naftową i paliwami. Pikanterii sprawie dodawał fakt, że przeciwna jego kandydaturze była wewnętrzna służba bezpieczeństwa Orlenu. Podobno zdobyła ona dowody, że Samer A. robił interesy z libańskimi członkami Hezbollahu. A to byli terroryści!

Kompromaty na nic się zdały, władze Orlenu klepnęły kandydaturę Samera A. i OTS Switzerland GmbH ruszyła z kopyta. I być może biznes kręciłby się po cichu, gdyby nie wybory do Sejmu i Senatu z 15 października, które PiS przegrało, co dla prezesa Daniela Obajtka oznaczało koniec pewnego etapu kariery. Jak szybko się okazało, dla Samera A. również. Na jaw wyszło, że kierowana przez niego spółka na handlu ropą straciła ok. 1,5 mld zł. Sprawa trafiła na czołówki mediów i do prokuratury.

Po przeszło półrocznym zamieszaniu wokół jej kierownictwa 9 października br. Polska Agencja Prasowa doniosła: „Są zarzuty dla byłych członków zarządu spółki ORLEN Trading Switzerland GmbH”.



Cytowany przez PAP prokurator Mateusz Martyniuk z Prokuratury Regionalnej w Warszawie wyjaśnił, że wystąpiono do sądu z wnioskiem o zastosowanie wobec Samera A. i byłego członka zarządu szwajcarskiej spółki, Marcina O., tymczasowego aresztowania na okres trzech miesięcy od dnia zatrzymania.

W toku śledztwa prokuratura zgromadziła dowody wskazujące na to, że Samer A. i Marcin O. wyrazili spółkom OTS Switzerland GmbH i Orlen SA szkody w kwocie ok. 378 mln dol., czyli ok. 1,5 mld zł.

Scenariusz był prosty. Szwajcarska spółka Orlenu między 21 sierpnia 2023 r. a 21 grudnia 2023 r. zawarła trzy kontrakty na zakup wenezuelskiej ropy naftowej. Pieniądze trafiły

Niemcy były potęgą gospodarczą, lecz w czasie wojny nie dały rady zaspokoić potrzeb ani walczącej armii, ani społeczeństwa. Stało się tak, gdyż alianci dwukrotnie odcięli ten kraj od dostaw z zewnątrz i pozbawili go możliwości handlu z innymi państwami. Zresztą co Niemcy, poza uzbrojeniem, mieli do zaoferowania? Nic. A potrzebowali wszystkiego.

Dziś jest inaczej. Zachodowi nie udało się odciąć Rosji od rynków światowych. Moskwa jak handlowała surowcami energetycznymi, tak handluje. Nawet z tymi, którzy nałożyli na nią sankcje. Wiemy już, że one nie działają albo wywołują odwrotne efekty. Na przykład niemieccy politycy od lat przekonywali, że gospodarka ich kraju powinna się przestawić

Niektóre francuskie, niemieckie, brytyjskie i amerykańskie przedsiębiorstwa postanowiły wykorzystać okazję do zarobku na omijaniu sankcji.

na rachunek firmy należącej do młodego Chińczyka. Ten się zmył i kasa przepadła. Teraz okazało się też, że panowie Samer A. i Marcin O. znajdują się poza zasięgiem naszej prokuratury, dlatego wystawiono za nimi list gończy. Jest nadzieja, że kiedyś policjanci ich dopadną.

Jeden z moich rozmówców znających sprawę tłumaczył, że Orlenowska spółka miała także handlować rosyjską ropą, bo zapewniało jej to spory zysk. Nie było w tym nic nielegalnego, ponieważ Szwajcaria nie wprowadziła wobec Rosji sankcji w tej dziedzinie.

Wątpię, byśmy dowiedzieli się czegoś więcej o interesach Orlenu z rosyjskimi firmami. Byłaby to bowiem krępująca okoliczność dla polskiego rządu i wizerunku naszego kraju. Wszak dzielnie stoimy po stronie Ukrainy i nie wypadamy na boku kręcić lodów z ludźmi Putina.

Nic osobistego, tylko biznes

Historycy wiedzą, że jednym z powodów klęsk Niemiec w obu wojnach światowych było skuteczne odcięcie gospodarki tego państwa od światowych rynków. Na początku XX w.

na odnawialne źródła energii, bo jest to słuszne i potrzebne ludziom. Wojna w Ukrainie przyspieszyła tę decyzję, lecz wkrótce okazało się, rezygnacja z tanich rosyjskich surowców energetycznych, zwłaszcza z gazu ziemnego, zepchnęła niemieckie koncerny chemiczne i samochodowe w przepaść.

Część obywateli, która poczuła na własnej skórze, jak działają sankcje, zaczęła się rozglądać za alternatywą. Znalazła ją i w ostatnich wyborach przeprowadzonych w kilku landach zdecydowała się oddać głos na partię domagającą się wstrzymania pomocy udzielanej Ukrainie i szybkiego zakończenia wojny.

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że Berlin odetchnąłby z ulgą, gdyby mógł wrócić do robienia normalnych interesów z Moskwą zgodnie ze schematem: wy nam ropę i gaz plus inne cenne kopaliny za rozsądną cenę, my wam pieniądze, towary luksusowe i technologie.

Gdy wojna w Ukrainie się skończy, Warszawa nie będzie mogła liczyć na normalizację stosunków z Rosją. Za to Niemcy z pewnością skorzystają i w Rosji, i w Ukrainie.

Grzegorz Rudnik

Z Galicji



Jan Widacki

Psycholog po kursach

Zmiany cywilizacyjne spowodowały, że zawód psychologa stał się atrakcyjny i ciekawy. Psychologów potrzebują wszędzie. Od przedszkola i szkół, poprzez poradnie zawodowe, duże korporacje, wojsko, policję, instytucje wychowawcze i penitencjarne, po opiekę zdrowotną. Potrzebuje ich także reklama i biznes. Społeczeństwo też się nauczyło korzystać z pomocy psychologa.

Ten pomaga w sytuacjach kryzysowych, w wychodzeniu z traumy, doradza przy trudnościach wychowawczych i organizacji pracy. Jest potrzebny w klinice i na sali sądowej. Nie ma już prawie dziedziny życia społecznego, w której psycholog nie byłby przydatny.

Nic więc dziwnego, że popularność studiów psychologicznych jest teraz w Polsce ogromna. Każdego roku na uniwersytetach o jedno miejsce na tym kierunku ubiega się kilku, a nawet kilkunastu kandydatów. Używając języka ekonomii, można powiedzieć, że popyt na studia znacznie przewyższa podaż.

Odkąd nauka stała się towarem, natychmiast pojawiają się podmioty (uczelnie niepubliczne), które na tym korzystają – zaspokajają ten popyt i na tym zarabiają. Nie byłoby w tym nic złego, co więcej, ze społecznego punktu widzenia byłoby to nawet korzystne, ale pod kilkoma warunkami. Warunek pierwszy – „towarem”, który sprzedaje uczelnia niepubliczna, jest nauka, a nie dyplom. Warunek drugi – istnieje kompetentny, sprawny i skuteczny system kontroli państwa nad tym, jaki „towa” niepubliczna uczelnia sprzedaje, czy jest to właśnie nauka, czy niestety jedynie dyplom.

Śmiem twierdzić, że taki system nie istnieje. Kontrolę Polskiej Komisji Akredytacyjnej, pomijając ewidentne patologie, którymi już zajmuje się prokuratura, są w dużej mierze fikcją. Wiem o tym nawet z własnego doświadczenia, gdyż jako dziekan wydziału przeżyłem bodajże trzy kontrole PKA i przekonałem się, na co zwracają uwagę, czym się interesują, jak boleśnie nie odróżniają tego, co jest ważne, od tego, co nieważne.

Wracając zaś do kształcenia psychologów, przypadkiem natrafiłem na niepubliczną szkołę wyższą, która kształci na kierunku psychologia. Prowadzi na

nim studia licencjackie i magisterskie. I to nie tylko w mieście, w którym znajduje się główna siedziba szkoły, ale nadto w sześciu innych miastach rozsiadanych po całej Polsce, od Giżycka do Jaworzna. Ze stron internetowych szkoły można się dowiedzieć, że z całej stałej kadry ma ona zatrudnionego jednego psychologa (ściślej panią psycholog). W trzech wydziałach, w tym dwóch zamiejscowych, szkoła kształci nawet w unikatowej specjalności, jaką jest „psychologia dochodzeniowo-śledcza”. Nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, jak to robi, mając na etacie wspomnianego jednego psychologa (specjalistkę z zakresu psychologii klinicznej, zajmującą się opieką nad chorymi ze skoliozą...).

Trochę to może dziwne, ale z całą pewnością z formalnego punktu widzenia wszystko jest w porządku. Skoro takie kierunki studiów uruchomiono, najwyraźniej szkoła uzyskała pozytywną opinię wspomnianej Polskiej Komisji Akredytacyjnej oraz akceptację Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

System państwowego nadzoru nad szkolnictwem wyższym jest niewydolny i w interesie nas wszystkich wymaga pilnej naprawy!

Magister psychologii z Giżycka ma takie same uprawnienia jak magister psychologii absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego czy Uniwersytetu Warszawskiego. Mam jednak wątpliwości, czy jego kwalifikacje są takie same. Nie bardzo bym chciał, aby w razie czego udzielał mnie lub komuś z moich bliskich pomocy psychologicznej lub występował jako biegły w procesie, w którym jestem obrońcą. Piszę o kształceniu psychologów, ale równie dobrze można by pisać o kształceniu lekarzy czy prawników.

System państwowego nadzoru nad szkolnictwem wyższym jest niewydolny i w interesie nas wszystkich wymaga pilnej naprawy! ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeklad.pl

DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI



Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Instagramie, X, YouTube i LinkedIn



Polski głos w amerykańskich wyborach

Polonia w Stanach Zjednoczonych jako całość jest dla kraju swoich przodków enigmą

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Szałeństwo wybuchło 10 września. Podczas debaty prezydenckiej Kamala Harris kilka razy użyła słów *Polish* oraz *Polish Americans*, choć kontekst jej wypowiedzi raczej mroził krew w żyłach. Wytknęła Trumpowi, że Putin „zjadłby go na lunch”, a 800 tys. Amerykanów polskiego pochodzenia z Pensylwanii na pewno by się nie ucieszyło, gdyby amerykański prezydent wycofał Stany Zjednoczone z NATO i zostawił kraj ich przodków sam na sam z rosyjskim niedźwiedziem.

Pytanie, kogo poprą Amerykanie o polskich korzeniach, rozbrzmiewało wszędzie, bo zarówno w Pensylwanii, jak i w Michigan czy Wisconsin, stanach wahających się, które przesądzą o wyniku wyborów, takich osób jest sporo. W Michigan mniej więcej tyle, co w Pensylwanii, w Wisconsin około pół miliona. W 2016 r. Donald Trump zwyciężył w przeszło 12-milionowej Pensylwanii ledwie 3 tys. głosów.

O ile w sferze anglojęzycznej po stronie amerykańskiej dominowały pytania, czy coś takiego jak głos polskiego bloku wyborczego istnieje, o tyle przestrzeń polskojęzyczna puchła z dumy. Oto nas, Polaków, dostrzeżono i doceniono. Losy świata – stawka w tych wyborach jest wysoka – są w polskich rękach. Trafność tej konstatacji zdawały się potwierdzać dalsze działania samych kandydatów na prezydenta. Donald Trump udzielił wywiadu Telewizji Republika i podobno rozważał pomysł spotkania się z Andrzejem Dudą w Doylestown w Pensylwanii (do czego nie

doszło). Kamala Harris poprosiła o pomoc w kampanii legion demokratycznych polityków i celebrytów o polsko brzmiących nazwiskach. 17 października znana aktorka polskiego pochodzenia Christine Baranski wraz ze stanowym kongresmenem Eddiem Pashinskim odwiedzała domy w hrabstwie Luzerne w Pensylwanii, gdzie wielu mieszkańców ma środkowo- i wschodnioeuropejskie korzenie.

Polonia, o której nie myślicie

Niedługo po debacie prezydenckiej opublikowałam komentarz „Polonia, o której myślicie, nie przesądzi o wyborach” („Nowy Dziennik”, Nowy Jork, 21 września 2024 r.). Skłoniła mnie do tego wymiana opinii w polskojęzycznym internecie. „Czy ktoś jest w stanie mi wyjaśnić, dlaczego amerykańska Polonia popiera Trumpa? Tego człowieka mało obchodzi jego własny naród, a co dopiero inne?”, pytał ktoś spoza USA. Wylała się na niego fala hejtu, i to

stopniu niż przez wiadomości w mediach tradycyjnych. Co istotne, są to przekazy w języku polskim od Polonii polskojęzycznej, środowiska liczącego w USA niecałe pół miliona osób.

Dlaczego to takie ważne? Bo mówiąc o polskich Amerykanach, Kamala Harris zwracała się do grupy dużo większej – do niemal 9 mln amerykańskich wyborców, którzy przyznają się do polskich korzeni i stanowią 3% wszystkich wyborców w USA (spis powszechny z 2020 r.). Polonia polskojęzyczna, czyli w przeważającej części osoby urodzone w Polsce (emigranci pierwszego pokolenia), stanowi niecałe 3% tej grupy i 0,1% ogółu amerykańskich wyborców.

Polonia, którą przeceniacie

Z przyczyn oczywistych (język!) Polonią, do której uderzają podczas wizyt w USA polscy politycy i działacze i u której najczęściej zasięgają opinii polskojęzyczne media, również jest wspomniana społeczność

Głos polskich Amerykanów jako bloku wyborczego już nie istnieje. Ich postawy są kształtowane przez problemy, które dotyczą wszystkich białych Amerykanów.

z obu stron. Jedni się obrażali, że operuje szkodliwymi uogólnieniami, bo przecież nie wszyscy popierają. Drudzy stwierdzali, że jeśli nie rozumie, dlaczego należy popierać Trumpa, to ma zlasowany mózg. Tych ostatnich było znacznie więcej. Wyobraziłam sobie, że sama zadałam takie pytanie, bo moje opinie o tym, kim jest i jak głosuje amerykańska Polonia, są kształtowane przez media społecznościowe w nie mniejszym

polskojęzyczna. Ale przecież niecała. Widoczne i słyszalne są tylko osoby aktywne społecznie i udzielające się w polskojęzycznych organizacjach czy parafiach – ośrodkach życia polonijnego najłatwiejszych do namierzenia.

Przy okazji dyskusji o orientacji politycznej amerykańskiej Polonii osoba spoza USA zauważyła: „Odnoszę wrażenie, że wy się tam zatrzymaliście na czasach Reagana i wasza



Choć Amerykanie przyznają się do polskich korzeni, nie oznacza to, że wszyscy identyfikują się z ważnymi dla Polski wydarzeniami historycznymi. Nz. parada z okazji Dnia Pułaskiego, Nowy Jork, 6 października 2024 r.

wierność Partii Republikańskiej to wierność wciąż jego państwu. Trump nie jest i nigdy nie będzie Reaganem, a komunizm dawno upadł". Ta trafna obserwacja pomoże wyjaśnić obiegowe opinie o postawach politycznych amerykańskiej Polonii.

Po pierwsze, szefami polonijnych organizacji i instytucji kształtujących wyobrażenie Polaków o Polonii z USA są coraz leciwsi sierżanci i sierżantki Solidarności oraz Jana Pawła II. Ludzie ci są coraz bardziej oderwani od spraw młodszych pokoleń Polonii, nawet tej polskojęzycznej. Dla nich epoka Reagana pozostaje ważnym punktem odniesienia, patriotyzm zaś ma wymiar bogoojczyźniany. A że patent na bogoojczyźnę ma w USA Partia Republikańska, sprawa ich orientacji politycznej jest jasna. Choć nie da się logicznie wytłumaczyć, jak ktoś, kto narażał swoje życie i dobro najbliższych w „walce z komuną”, może

popierać amerykańskiego sojusznika Moskwy.

Po drugie, dlaczego Polacy spoza USA wyrabiają sobie opinię o amerykańskiej Polonii, bazując na głosach wspomnianej grupy? Bo pozostała część amerykańskiej Polonii, te 97%, które nie posługuje się polskim, jest w Polsce prawie nieznana. Nie prowadzimy bowiem na ten temat żadnych systematycznych, szeroko zakrojonych badań. Jako osoba mieszkająca w USA od kilkudziesięciu lat odnoszę wrażenie, że państwo polskie o swojej największej diaspory na świecie wie dzisiaj nawet mniej, niż wiedziało za czasów komunistycznych.

Polonia zdumiewająca

Kim więc są i jak najprawdopodobniej będą głosować ci nieznanani nam Amerykanie polskiego pochodzenia?

O wyjaśnienie zwróciłam się do Davida Jacksona, prawnuka emigrantów ze Starego Wiśnicza koło Krakowa. Jackson, politolog i historyk na uniwersytecie stanowym w Bowling Green w stanie Ohio, rozpoczął rozmowę od pytania, dlaczego mamy tak mało badań na temat amerykańskiej Polonii. I od razu zaznaczył, że będzie się opierał częściowo na informacjach zebranych przez politologa Dominika Stecutę (Uniwersytet Stanowy Ohio), który na kanwie raczej skromnych (względnie finansowe) badań przeprowadzonych z Instytutem Piast w Michigan wydał w 2022 r. książkę „Polish Americans Today” (Współcześni Amerykanie polskiego pochodzenia). Ta licząca niewiele stron praca z miejsca stała się najważniejszym kompendium wiedzy o polskiej diaspory w USA. O obrazku Polonii przedstawionym przez Dominika Stecutę pisałam m.in. w „Dzienniku Gazecie Prawnej” już kilka miesięcy po premierze tej publikacji, a wywiad wywołał nad Wisłą spore zdumienie. Bo kto by pomyślał,

► że Polish Americans jako grupa głosowali na Obamę oraz na Bidena? Z badań Stecuły wynika, że także na Hillary Clinton w 2016 r., choć tu zdania ekspertów są podzielone.

David Jackson przeprowadził w 2021 r. własne badania anglojęzycznej Polonii, które potwierdziły, że głosowała na Bidena oraz że Amerykanie z polskimi korzeniami z wyłączeniem pierwszego pokolenia mają długą historię głosowania na demokratów.

– Przed II wojną sympatie Polonii były podzielone między obie partie, ale potem zwróciły się ku prezydentowi Franklinowi Delano Rooseveltowi ze względu na jego poparcie dla związkowców, a później zaangażowanie w II wojnę światową. Polonijne niebieskie kołnierzyki entuzjastycznie popierały jego reformy Nowego Ładu. Po wojnie część Polonii przeszła do obozu republikańskiego prezydenta Dwighta Eisenhowera, choć przyczyny do dziś

Sondaż przeprowadzony przez Instytut Piast w 2013 r. wykazał, że w drugiej dekadzie nowego tysiąclecia ultrakonserwatystów było jednak wśród Amerykanów polskiego pochodzenia najmniej. Z republikanami identyfikowało się tylko 22,6% tej grupy. 36% uważało się za demokratów, 5,5% popierało inne partie, a 35,7% postrzegało siebie jako wyborców niezależnych. Ale tak wysoka przynależność do ostatniej z wymienionych kategorii nie jest niczym szczególnym. Wpisuje się w trend obserwowany wśród wszystkich amerykańskich wyborców. Według badań Gallupa z 2023 r. za wyborców niezależnych uważa się aż 43% Amerykanów.

Polskojęzyczni we własnym sosie

Środowisko polskojęzyczne, co podkreśla David Jackson, zajmuje wśród Polonii odrębne miejsce.

We wszystkich siedmiu stanach wahających się różnice między kandydatami są w granicach błędu statystycznego. To coś, z czym nie mieliśmy do czynienia od 60 lat.

są przedmiotem sporów. Zapewne zaważyły rozczarowanie konferencją w Jałcie i nastroje antykomunistyczne. Prezydentura katolika Johna F. Kennedy'ego i jego wiceprezydenta Lyndona B. Johnsona znów jednak przesunęła poparcie Polonii na stronę demokratów – wyjaśnia prof. David Jackson.

Polonia zmienna

Od lat 60. sytuacja w obrębie „polskiego bloku wyborczego” zaczęła się komplikować. Zaradni i przedsiębiorczy Amerykanie polskiego pochodzenia dogonili, a nierzadko przegonili majątnością i poziomem wykształcenia inne grupy etniczne i rasowe. Integracja Polonii z bogatszą warstwą amerykańskiego społeczeństwa na białych przedmieściach, jak również przymierze Ronalda Reagana z Solidarnością pchnęły w latach 80. część tego elektoratu bardziej ku Partii Republikańskiej.

W wyborach 2020 r. poparło ono Trumpa. Emigranci pierwszego pokolenia oddali na niego 72,7% głosów, drugiego – 52% głosów.

– Sprawa wymaga dodatkowych badań, w tych pokoleniach wciąż żywe są wspomnienia opłakanych warunków życia w komunistycznej Polsce. Dlatego ataki republikanów oskarżających demokratów o plany wprowadzania w Ameryce socjalizmu mogą w tej grupie rezonować – twierdzi politolog.

Polonia o wielu tożsamościach

Zdaniem prof. Jacksona kluczem do zrozumienia światopoglądu Polonii niepolskojęzycznej, zdomowionej w USA i od pokoleń wtopionej w tło, są dwie sprawy. Przede wszystkim głos polskich Amerykanów jako bloku wyborczego już nie istnieje. Ich postawy kształtują te same problemy, bóle i nadzieje, które dotyczą wszystkich innych białych Amerykanów.

Tym, co istnieje, jest tylko desperacja polityków. Jak trafnie zauważył komentator polityczny portalu Politico Charlie Mahtesian, „to zrozumiałe, że kandydaci w wyborach, o których wyniku przesądzi cienki jak żyletka margines głosów, dokładają starań, by przewrócić każdy, nawet najmniejszy kamień. Polsko-amerykański blok wyborczy, do którego apelują, to jednak tylko ułudą”.

Druga sprawa – choć Amerykanie przyznają się do polskich korzeni, nie oznacza to, że wciąż identyfikują się z ważnymi dla Polski wydarzeniami historycznymi i z polską polityką. Ich tożsamość etniczna jest w dużej mierze symbolem, do tego opcjonalnym. – Wszyscy biali Amerykanie w kolejnych pokoleniach mają po kilka tożsamości etnicznych i wybierają, co będą świętować. Jeśli ich korzenie są irlandzkie, to idą na paradę z okazji Dnia św. Patryka, jeśli niemieckie – odwiedzają Oktoberfest, a jeśli polskie, to oglądają na żywo Paradę Pułaskiego w Nowym Jorku – wyjaśnia prof. Jackson. I dodaje, że wykorzystywanie tych tożsamości w kampaniach politycznych może mieć negatywne skutki. – Jak efektywnie zaapelować do jakiejś grupy, jeśli jej poczucie przynależności etnicznej często nie wychodzi poza picie piwa, konsumpcję potraw regionalnych i ubieranie się kilka razy do roku w stroje ludowe, które nie muszą oznaczać głębszego związku z krajem?

Polonia, która czasem się wybudza

Istnieje jednak coś, co psychologia nazywa etniczną tożsamością uśpioną – *latent ethnicity*. W specjalnych okolicznościach może ona się uaktywnić i wywierać istotny wpływ na działanie i decyzje.

W 1976 r. Polonia w USA w geście solidarnego oburzenia zagłosowała na demokratę Jimmy'ego Cartera, choć cztery lata wcześniej poparła republikanina Richarda Nixona. Ukarła w ten sposób rywala Cartera, Geralda Forda, który wszystkim Amerykanom o korzeniach sięgających Europy Środkowo-Wschodniej nadepnął na odcisk. Mianowicie

ogłosił podczas debaty prezydenckiej, że „w Europie Wschodniej nie ma żadnej dominacji komunizmu”. Bill Clinton zdobył poparcie Europejczyków zza dawnej żelaznej kurtyny, obiecując w latach 90. inwestycje w regionie oraz wsparcie wysiłków państw dawnego bloku komunistycznego na rzecz przyjęcia do NATO. W kampanii prezydenckiej w 2016 r. czynnikiem prorepublikańskim mogła być zdaniem Dominika Stecuły zapowiedź Trumpa, że zniesie Polakom wizy do USA, co pozostawało punktem zapalnym w relacjach polsko-amerykańskich.

Pytanie, które powinniśmy sobie zadawać w związku z rolą Polonii w tegorocznych wyborach, brzmi: co – jeśli w ogóle – uruchamia obecnie ukrytą tożsamość etniczną Amerykanów polskiego pochodzenia?

Gdy pytam o to Pawła Grajnera, filmowca i społecznika z Beverly Shores w stanie Indiana, potomka uciekinierów przed represjami stalinowskimi, bez wahania odpowiada, że kluczową kwestią w wyborach jest dla niego bezpieczeństwo Polski i Europy. W znaczący sposób plasuje jednak tę troskę w szerszym, amerykańskim kontekście. – Za każdym razem, gdy Ameryka popadała w obsesję izolacjonizmu i wycofywała się z Europy, tak jak to zrobiła przed obiema wojnami, płaciliśmy za to ogromną cenę. Kończyło się tym, że na froncie w Europie walczyli nasi synowie i tam ginęli. Europa nas potrzebuje, świat nas potrzebuje, póki poza naszymi granicami jest nasz własny, strategiczny interes. Mam syna i nie chcę, żeby jechał na jakąkolwiek wojnę. Choć nikt mi nie da gwarancji, że Putin nie zaatakuje Polski, wiem, że Ameryka musi wspierać NATO, żeby zminimalizować to zagrożenie. Dla jednego z kandydatów w tych wyborach Putin jest serdecznym kolegą, dlatego nie mam wątpliwości, jak zagłosuję – podkreśla mój rozmówca.

Co ciekawe, w środowisku polskojęzycznym wojna w Ukrainie nie wysuwa się na plan pierwszy. Grzegorz Tokarski, informatyk z Wrocławia mieszkający w stanie Kolorado, gdzie i ja mieszkam, uważa, że tak

jak osiem i cztery lata temu jego polskojęzyczni znajomi w tym roku też poprą Trumpa. – Starsi ze względu na wiarę i aborcję, młodszy ze względu na sympatię do broni i ideę wolności, którą dla nich uosabia. Tę postawę napędza strach sterowany fake newsami i przekłamaniami: zabiorą wam broń, prawa i wasze tradycje. Wiele osób patrzy tylko na jedną kwestię, a nie na szerszy kontekst. Fakt, że Harris nie jest biała, również ma tutaj znaczenie.

Polonia, która może przesądzić o wyborach

To przywodzi nas do najważniejszego pytania. Czy jeśli Amerykanie o polskich korzeniach zagłosują tak, jak głosują od lat, czyli większością poprą kandydatkę demokratów, to podgrupa polskojęzyczna popierająca Trumpa może mimo wszystko zdecydować o wyniku wyborów? W Kolorado na pewno nie, bo nie jest to stan wahający się. Mało także prawdopodobne, że gdziekolwiek indziej. Polskojęzyczni najliczniej przecież zamieszkują regiony tradycyjnie „niebieskie”, a więc głosujące na demokratów: oba wybrzeża Ameryki, Chicago i okolice. Sama jednak dopuszczam tę możliwość. Od debaty prezydenckiej bój tylko się wzmógł,

a sondaże pokazują coś, z czym nie mieliśmy do czynienia od 60 lat – że we wszystkich siedmiu stanach wahających się różnice między kandydatami są w granicach błędu statystycznego. Jeśli popierająca Trumpa polskojęzyczna Polonia z Pensylwanii czy Michigan poszłaby do wyborów z rekordową frekwencją, to jej kilkumilionowa pula głosów mogłaby przechylić szalę na jego korzyść.

Bez względu jednak na to, czy głos Polonii przesądzi o wyborach, czy nie, zamieszanie wokół tego tematu ma szczególne znaczenie. Obnażyło bowiem tragiczną prawdę. Amerykańska Polonia jako całość jest dla kraju swoich przodków enigmą. I tak zostanie, jeśli nie będzie żadnych inwestycji w jej poznanie ani w rozwinięcie relacji wychodzących poza gest wyciągania w jej kierunku skarbonki czy poza pielgrzymki polskich oficjeli do konsulatów i pod pomniki. Przez tę nieznajomość tracą obie strony, choć ta polska dużo bardziej. Pokutujący w Polsce karykaturalny wizerunek Polonusa ze Stanów i brak systemowego włączania amerykańskiej Polonii niepolskojęzycznej w krwibieg polskich spraw i interesów przekładają się na pogłębiający się kryzys w obszarze jej aktywności na rzecz interesów Polski w USA.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Dobre Dzieciństwo Daje Dziecku Moc

WSPIERAJ DZIECIŃSTWO MOCY BEZ PRZEMOCY
dzieciństwobezprzemocy.pl

FUNDACJA DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ
WSPÓŁORGANIZACJA: Krajowa Koalicja na Rzecz Dzieci
PARTNER GŁÓWNY: RZĄDOWY URZĄD OŚWIECENIA
FINANSOWANIE: Fundacja Sprawiedliwości, Ministerstwo Sprawiedliwości, Save the Children

Beata Dżon-Ozimek

„Bądź wola Twoja” – to jedno z haseł minionej kampanii wyborczej do austriackiego parlamentu. Wola wolą, a względna większość Wolnościowej Partii Austrii (FPÖ) nie oznacza przejęcia steru rządów. Wygrana antyimigranckiego i nacjonalistycznego ugrupowania – taka była wola wyborców. 29 września zagłosowało na FPÖ 28,8%, o 13% więcej niż w poprzednich wyborach. Stan jej posiadania w izbie niższej, Nationalrat, zwiększył się z 31 mandatów do 57, to największa liczba posłów jednej partii w 183-osobowej izbie.

Nie tylko wola, ale i serce chciało. „Twoje serce mówi tak”, widniało na plakatach z przywódcą partii, Herbertem Kicklem. Wolnościowcom, przyjaciółom Putina i Orbána, formacji antyunijnej, kontestującej porządek europejski, kampania się udała. Sondáže przed wyborami dawały im pierwsze miejsce, mogą więc polegać na swoich wyborcach. Zadbali też, by nie odstraszyć od siebie tych, którzy rozważali ich wybór po raz pierwszy. 55-letni Kickl, agresywny, krzyczący, szczujący, na czas kampanii zamienił się w „oswojonego pana Kickla”. Małą prowokacją miało być tylko to hasło „Bądź wola Twoja”, oparte na modlitwie. FPÖ organizowała zresztą ostatnie kampanijne wydarzenia na placu św. Szczepana, przed wiedeńską katedrą. Zakończenie kampanii u wejścia do najważniejszej austriackiej świątyni uznano za szyderstwo.

Strach się bać

Jörg Haider, uważany za ojca europejskiego prawicowego populizmu, byłby dumny z FPÖ. Po skandalu z 2019 r., nazwanym Ibiza-Affäre, kiedy jako koalicjant współrządzający Austrią z ludowcami (ÖVP) z hukiem wypadł z gry w oparach alkoholu, podejrzanych geszeftów i rosyjskich kontaktów, zniknął też ze sceny politycznej Heinz-Christian Strache, lider wolnościowców. Średnio charyzmatyczny, ale dość

Austria według Kickla

Szef zwycięskich nacjonalistów chce obalić fundamenty liberalnej demokracji



55-letni Herbert Kickl, agresywny, szczujący, na czas kampanii zamienił się w „oswojonego pana Kickla”.

wyrazisty technik dentystyczny wypadł blado na tle nieżyjącego już Haidera. Jeszcze mizerniej wypada Kickl. Ale jest skuteczny – wyniki wyborcze ma najlepsze w historii tej partii. Podejrzliwy, nieufny, niespecjalnie lubiany zwolennik hasła „Twierdza Europa” dąży do likwidacji mediów publicznych. Wchodzi w spory z dziennikarzami, udziela wywiadów tylko zaufanym, nie wyklucza powrotu do kary śmierci. Czego chce, jak ustawia partię?

Praworządność oraz prawa człowieka i mniejszości mają być regulowane przez „ustawy nadzwyczajne”, zawieszające np. prawo do azylu. Kickl planuje arbitralnie odbierać obywatelstwo i wydalać ludzi, tworzyć „listy poszukiwanych”

„zdrajców narodu”, opozycji. Opieka medyczna ma przysługiwać jedynie obywatelom austriackim. Wobec nauczycieli mają być wprowadzone „środki cenzury”. Parlament zejdzie na drugi plan, uzupełniany poprzez stałe referenda. Publiczne media należy rozbić i otworzyć finansowanie dla prawicowych mediów ekstremistycznych. Ograniczony powinien być paragraf dotyczący podżegania do nienawiści, dla Kickla to wolność słowa. W planach ma on też zmianę konstytucji z faktycznym wystąpieniem z UE i być może powrót do dawnej waluty, szylinga.

Prezydent Austrii Alexander Van der Bellen, który wywodzi się z Zielonych, twierdzi, że Herbert Kickl chce obalić fundamenty liberalnej

demokracji, nie spełnia w dodatku żadnego z kryteriów, by powierzyć mu misję tworzenia rządu, czego Kickl się domaga po wygranych wyborach. Prezydent pełni aktualnie ważną funkcję twardego obrońcy demokracji, objaśniając obywatelom sytuację i swoje stanowisko, spotykając się ze wszystkimi przywódcami partii. Austria nie ma czasu do stracenia, nie stać jej na „puste przebiegi”, mówi Van der Bellen.

Poprzednie rządy FPÖ zakończyły się skandalem, pogrzały kilku polityków i wizerunek państwa. Bo ta partia jest niebezpieczna nie tylko dla Austrii. Nie opowiada się wyraźnie po stronie Ukrainy w kwestii wojny rozniesionej przez Rosję, jest przeciwna pomocy Ukrainie; dystansuje się od NATO, wspiera Orbána. Oraz serbską mniejszość, a ta jest jednym z jej wiernych wyborców.

Klasyczny pat

Szacowano, że tworzenie rządu zajmie nawet sześć miesięcy. Najdłuższa próba, ponad 60 lat temu, trwała 129 dni, a 124 dni w 1999 r., gdy FPÖ i Jörg Haider odnieśli pierwsze zwycięstwo. Prezydent mógłby powierzyć Kicklowi misję tworzenia rządu, nie ciesząc się. Mina prezydenta Thomasa Klestil z 2000 r., gdy znalazł się w podobnej sytuacji, pamiętana jest do dziś. Możliwe byłoby, aby Kickl zgodnie z polityczną etykietą został kanclerzem, ale nie byłoby zgody na kilku jego ministrów. Żadna partia nie uzyskała samodzielnie wymaganej większości, FPÖ ma 28,8%, ÖVP 26,3%, trzecia najsilniejsza partia, SPÖ – 21,1%, potem są Neos z wynikiem 9,1% i Zieloni z 8,2%. Czyli każda potrzebuje co najmniej dwóch z trzech większych partii, aby utworzyć rząd. Do tej pory po wyborach prezydent federalny zazwyczaj prowadził rozmowy z przewodniczącym partii, która zdobyła największą liczbę głosów, ale ten przypadek jest nietypowy. „To zupełna nowość, że ze zwycięzcą wyborów żadna z pozostałych partii nie chce rządzić. ÖVP wyklucza współpracę z FPÖ pod rządami Herberta Kickla. SPÖ, Neos i Zieloni nie chcą rządzić z FPÖ”, zaznacza Van der Bellen.

Z kolei Herbert Kickl podkreśla, że FPÖ w rządzie istniałaby tylko z nim jako kanclerzem. „Panie i panowie, klasyczny pat. Z jednej strony FPÖ jako zwycięzca wyborów oraz jej lider ubiegający się o urząd kanclerza. Z drugiej strony nikt nie ufa mu wystarczająco, by stworzyć koalicję”, komentował prezydent, gotów na nowe rozwiązania.

Eksperci wyjaśniają, że największa liczba mandatów do izby niższej (Rady Narodowej) nie oznacza automatycznie, iż FPÖ zdobyła urząd kanclerza federalnego. Tu potrzebuje większości w izbie, a tej Kickl nie ma. Jego twierdzenia, że te wybory są także wyborami kanclerskimi, mijają się z prawdą, bo o tym, kto zostanie kanclerzem, decyduje prezydent federalny. I teoretycznie może to być ktoś z ulicy, kto zjednoczy większość, aby rząd nie upadł z powodu wotum nieufności. Są jeszcze tzw. głosy preferencyjne, o których wspomina Kickl, ale one służą wyborcom do awansowania niektórych polityków z tylnych pozycji i umożliwiają im wejście do parlamentu.

W sumie na inne partie oddało 71,2% głosów. Przeliczając to bezpośrednio, na Kickla nie oddało głosu ok. 99% wyborców – z 6 346 059 uprawnionych do głosowania 6 260 517 osób nie głosowało bezpośrednio na szefa FPÖ.

Dlaczego więc uważa się za wybranego przez większość, za Volkskanzlera, „kanclerza ludu”? Na celownik wziął aktualnego kanclerza z ÖVP, Karla Nehammera, który nie startował w wyborach na to stanowisko. Kickl uważa go za „kanclerza bez wyborów”, a siebie za wybrańca społeczeństwa. Pozostawienie Nehammera na fotelu kanclerza jest dla Kickla „rażącym lekceważeniem demokratycznego wyniku wyborów”. Nehammer stanowisko objął w sytuacji skandalu korupcyjnego w ÖVP w grudniu 2021 r., ale był w stanie zdobyć zaufanie większości posłów. Kanclerką bez wyborów była także jedyna kobieta na tym stanowisku, Brigitte Bierlein (2019-2020, zmarła 3 czerwca br.).

Warto dodać, że wybory personalne odbywają się w Austrii tylko na dwóch poziomach: prezydenta

federalnego i burmistrza w części krajów związkowych (Burgenlandzie, Górnej Austrii, Karyntii, Salzburgu, Tyrolu i Vorarlbergu). „Kanclerz ludu” ma lepszy mandat niż „kanclerz systemowy”, przekonuje swoich wyborców Kickl. Inni liderzy partii jako „nielegalni kanclerze” mają pogłębić poczucie niesprawiedliwości w elektoracie FPÖ, tak potrzebne do manipulowania nastrojami. To teraz najważniejszy projekt Kickla.

Znowu pierwszy raz

Nie miał dobrej ręki do innego „projektu” – jako minister spraw wewnętrznych o tęsknotach kawalerskich zaczął prace nad stworzeniem policji konnej w Wiedniu, mającej także być bronią wobec demonstrantów. 12 koni i jeźdźców było szkolonych do końca kadencji Kickla, w latach 2018-2019. Zachowały się zdjęcia z niezgrabnymi próbami jazdy ministra na koniu policyjnym w Bawarii, ale najgorzej „przysłużył” mu się Orbán. Sprezentował Zalana i Zadara, pięcioletnie wafachy rasy Nonius. Wkrótce okazało się, że oba konie są kulawe. Kickl stał się obiektem bezlitosnych żartów. Wizjonerski projekt podkuwej służby kosztował podatników jakieś 2,5 mln euro.

Ani projekt konnej policji, ani hasło „kanclerz ludu” nie są aktualne. „Mumia z Hofburga”, jak Kickl nazywa prezydenta Van der Bellena, zaproponowała nowe rozwiązanie: po raz pierwszy najsilniejsza partia w parlamencie nie otrzymała misji utworzenia rządu, ta powierzona została urzędującemu kanclerzowi Nehammerowi i partii z drugim wynikiem w wyborach, ÖVP. Pierwszy raz w Drugiej Republice prezydent miał odwagę zdecydować inaczej. Mimo inwektyw Kickla Van der Bellen ma siłę firmować w polityce krajowej od czasu Ibiza-Affäre wiele „pierwszych razów”, np. wskazać rząd ekspertów Brigitte Bierlein. Prezydent Austrii robi, co może, by nie nadać brunatnemu kursowi państwowego wymiaru. Tym samym daleko mu do mumii, której chciałby Herbert Kickl.

b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

ZAPAŚĆ

w sądach powszechnych

W społeczeństwie niezmiennie panuje przekonanie, że do sądu idzie się po wyrok, a nie po sprawiedliwość

Andrzej Kytsul

Problem występuje od dawna, lecz chyba nikt nie chce dostrzec jego istoty. Politycy wszelkich opcji obrzucają się oskarżeniami o brak praworządności w kraju, a jednym z przejawów tego braku miałby być opłakany stan sądownictwa, a nawet szerzej – wymiaru sprawiedliwości.

Mało kto zwraca jednak uwagę na to, co nas, obywateli, powinno interesować najbardziej: na chrońniczną zapaść w sądach powszechnych. Jeśli już, to uwagę skupiamy na chwilę na nośnych, choćby w wymiarze lokalnym, sprawach o charakterze karnym: pobiciu, morderstwie, gwałcie, kradzieży, skutkach wypadku drogowego itp. Lecz nawet wówczas koncentrujemy się na fazie oskarżenia przez prokuraturę i na rozpoczęciu procesu, a potem – jeżeli jeszcze pamiętamy o sprawie – na wydaniu wyroku. Tymczasem nawet jeśli nie wchodzimy w kolizję z prawem, każdy z nas może zetknąć się z sądem powszechnym w postaci sądu rejonowego lub sądu okręgowego. Powodem bywa konieczność ustalenia prawa do spadku, nierzetelny kontrahent, który nie uiszcza faktur, albo rozwód, podział majątku i ustalenie prawa do opieki nad małoletnim dzieckiem. I to tam, w wydziałach cywilnych sądów powszechnych, rozgrywają się ciche dramaty, do opisywania których nieśpieszno reporterom: wieloletnie spory małżeńskie o majątek, alimenty lub prawa rodzicielskie, względnie kilku- czy kilkunastoletnia walka o prawo do spadku.

Kiepska jakość i wydajność pracy sądów powszechnych wbrew popularnej, lansowanej tezie nie wynika wyłącznie z działań poprzedniej ekipy rządzącej. Dowód na to stanowi choćby opublikowany 6 lutego 2004 r. w „Gazecie Wyborczej” artykuł Andrzeja Rzeplińskiego, ówczesnego profesora Uniwersytetu Warszawskiego i zarazem sekretarza zarządu Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, a przyszłego prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Prof. Rzepliński wskazał kilka przyczyn złego stanu sądownictwa w owym czasie, proponując przy

Wraz z rozwojem prawa paradoksalnie odeszliśmy od jego prostoty i jasności.

tym konkretne rozwiązania. Pisał o pozostawiającym wiele do życzenia systemie wyłaniania i nauczania przyszłych sędziów oraz potrzebie kształcenia ustawicznego adeptów zawodu, o przewlekłości postępowań i konieczności skrupulatnego rozpatrywania spraw w reżimie rozpraw dzień po dniu, a nie raz na kilka miesięcy, a także o ograniczeniu zakresu korzystania z immunitetu sędziowskiego, skądinąd nieistniejącego w innych państwach UE. Ponadto autor celnie dostrzegł zagrożenie występowaniem nepotyzmu i klientelizmu w procesach kadrowo-awansowych toczących się przed Krajową Radą Sądownictwa, zalecając uwzględnianie opinii instancji zewnętrznych przy nominacjach na stanowiska w najwyższych instancjach sądowych.

Mamy jesień 2024 r., a więc minęło ponad 20 lat. Czy od czasu publikacji artykułu coś się zmieniło, czy sytuacja się poprawiła? Oczywiście nie. Niedostateczna liczba etatów sędziowskich wobec wpływających do sądów wniosków pozostaje smutną rzeczywistością, ale czy lekarstwem na to jest mianowanie młodych ludzi, często bezpośrednio po aplikacji sędziowskiej, na stanowiska, gdzie zasadniczo trzeba nie tylko wykazać się wiedzą prawniczą i znajomością paragrafów, lecz także posiłkować dużym i wszechstronnym doświadczeniem życiowym? W Stanach Zjednoczonych sędzią zostaje się dopiero w wieku dojrzałym, na zwieńczenie kariery prawniczej – wcześniej należy poznać

od podszewki dynamikę procesów sądowych, praktykując jako adwokat lub prokurator. W Japonii asesorami zostaje tylko niewielki odsetek absolwentów aplikacji prawniczej, tych z najlepszymi wynikami, a nie jak w Polsce wszyscy, którzy zaliczyli egzamin końcowy.

Czy sędziowie nadążają za szybko zmieniającą się rzeczywistością, charakteryzującą się m.in. pogłębianą internacjonalizacją kontaktów międzyludzkich, szybkim rozwojem technologicznym, nowymi zjawiskami społecznymi? Czy dostatecznie znają, choćby biernie, jakiś język obcy, by nie czuć się nieswojo w obecności podsądnego cudzoziemca i móc weryfikować na bieżąco jakość pracy tłumacza przysięgłego? Czy chcą i mają czas na sukcesywne doksztalcenie się w dziedzinach

takich jak psychologia, socjologia, ekonomia i finanse, w których dobra orientacja wydaje się niezbędna do miarodajnego roztrząsania materii i analizowania ludzkich postępów? Nie sposób przecież posiłkować się w każdej kwestii ani ślepo polegać na opinii biegłych, wśród których – nie generalizując – też nie zawsze trafiają się wybitni specjaliści. Adwokatów i dziennikarzy sądowych nie dziwią bliźniaczo podobne ekspertyzy w kolejnych aktach sprawy, czasem nawet z nieadekwatnie zmienionymi danymi opisywanych osób. A czy podyktowane rzekomą potrzebą likwidacji zatorów w procesie

jeśli jego wyrok okaże się skrajnie niesprawiedliwy bądź tendencyjny? Owszem, w teorii możemy się poskarżyć do prezesa danego sądu na opieszałość postępowania, a nawet na opryskliwość składu orzekającego, ale kto zaryzykuje taki ruch, wiedząc, że może zaszkodzić sprawie i sprowokować nieprzychylną sędzię lub jego kolegi zmiennika z tego samego wydziału sądu?

Skutkiem tego jest gra pozorów: sędziowie udają, że pilnie i z oddaniem zajmują się sprawą, adwokaci – że skrupulatnie dbają o losy klienta, a podsądnym pozostaje wierzyć w uczciwość tego procesu i w to, że

ograniczenia swobody manewru w sprawach majątkowych i/lub osobistych itd. Czy istnieją statystyki pokazujące, ilu podsądnych nie doczekało się ogłoszenia prawomocnego wyroku, gdyż nie dożyło tej chwili?

W społeczeństwie niezmiennie panuje przekonanie, że do sądu idzie się po wyrok, a nie po sprawiedliwość. Ta potoczna opinia nie wystawia sądownictwu dobrego świadectwa, dowodzi bowiem, że obywatele nie mają zaufania do wymiaru sprawiedliwości. I postanawiają dopomóc sprawie, podejmując (na ogół wraz z pełnomocnikiem) grę dostosowaną do danego składu orzekającego, uwzględniając jego płeć, osobowość, przekonania, sympatie, dotychczasową linię orzeczniczą itp. Swoista teatralność jest wkomponowana w naturę i przebieg postępowania sądowego, trudno jednak zrozumieć, dlaczego niektórzy sędziowie zdają się nie dostrzegać ani nie temperować przesadnej emfazy części podsądnych i/lub ich pełnomocników, nierzadko zmieniającej rozprawę w farsę. Zdarza się też, że sąd ulega czysto taktycznym zagrywkom stron, kruczkom proceduralnym, mającym np. opóźnić postępowanie.

Wraz z rozwojem prawa paradoksalnie odeszliśmy od jego prostoty i jasności. Dzisiaj przeciętny, nawet



orzeczniczym odejście od kolegialnego, trzyosobowego składu orzekającego w cywilnym postępowaniu apelacyjnym na rzecz jednoosobowego nie niesie poważnego ryzyka arbitralności i pogorszenia jakości oglądu sprawy?

Dlaczego oburza nas zła obsługa klienta na poczcie, w banku, w szpitalu, w restauracji czy w pociągu i potrafimy dać temu otwarcie wyraz, ale nie robimy tego w stosunku do sądownictwa? Wszak sądy też świadczą nam usługi – owszem, dość specyficzne. Dlaczego możemy poskarżyć się na nieuczciwego sprzedawcę, opryskliwego konduktora lub kelnera, lekarza konowatę, skorumpowanego prokuratora czy adwokata – a nawet wyegzekwować formalne konsekwencje – ale nie mamy takiej możliwości wobec sędziego, nawet

Sędziowie udają, że pilnie zajmują się sprawą, adwokaci – że dbają o losy klienta, a podsądnym pozostaje wierzyć w uczciwość procesu i w sprawiedliwe rozstrzygnięcie.

zapadnie sprawiedliwe rozstrzygnięcie. Młyny sprawiedliwości miały powoli: sędziom się nie śpieszy, adwokatom na ogół też nieszczególnie. Cierpią na tym jedynie ich klienci, czyli my, obywatele, nie mogąc się doczekać prawomocnego wyroku. Ciągące się postępowania (często kończące się kuriozalnymi wyrokami w pierwszej instancji, które trzeba skarżyć, co wydłuża proces, gdyż następuje równie długie postępowanie apelacyjne) oznaczają nie tylko dodatkowe koszty obsługi prawnej, ale również trudne do oszacowania straty moralne w postaci życia w stresie,

dobrze wykształcony obywatel nie ma szansy zrozumieć pełni ani nawet istotnej części uwarunkowań prawnych, w jakich przychodzi mu funkcjonować w odniesieniu do różnych sfer życia. To niemal automatycznie skazuje go na niekoniecznie tanie i wysokiej jakości usługi pełnomocnika prawnego, który będzie mniej lub bardziej uczciwie prowadził go przez kręte korytarze polskiego prawodawstwa, podpowiadając korzystanie z różnych trików, zwłaszcza w sytuacji występowania niespójności lub ambiwalentności norm prawnych. Meritum sprawy często ►

schodzi na dalszy plan, a uwaga i energia uczestników postępowania skupia się na swoistej partii szachów z wykorzystaniem dostępnych możliwości proceduralnych. Sędzia, nawet jeśli przejrzy tę grę, na ogół nie kładzie jej kresu, by nie narazić się na zarzut ograniczania swobody procesowej stron. Doświadczenie pokazuje, że w przypadku pełnomocników odpowiednio dozowana dezynwoltura często zwycięża w starciu z pokornopasywną postawą przeciwnika procesowego, liczącego na to,

zabiegiem czysto PR-owskim, mającym stworzyć pozory istnienia ducha naprawczości, podczas gdy w rzeczywistości chodzi o to, żeby z grubsza wszystko zostało po staremu. Sędziowie praktycy nie pragną zmieniać kanonów postępowania i uczyć się nowych formulek, ustawodawcom nie uśmiecha się trud nowelizacji regulacji prawnych, a wykładowcom akademickim nie oplota się zmieniać notatek i prezentacji, które od lat służą im przy omawianiu wybranych zagadnień.

zewnętrznym. W Polsce osiedlają się cudzoziemcy, a rodacy wyjeżdżają za granicę, nawiązują tam kontakty biznesowe, otwierają firmy, kupują nieruchomości, wchodzą w związki małżeńskie lub partnerskie, zakładają rodziny, przysposabiają dzieci itd. Nie zawsze ich miejscem pobytu jest kraj Unii Europejskiej lub inny w pełni demokratyczny i transparentny. Rośnie prawdopodobieństwo, że nasz obywatel stanie przed obliczem tamtejszego wymiaru sprawiedliwości, który niekoniecznie musi go potraktować obiektywnie i niedyskryminująco. Może też się zdarzyć, że w celu wykonania wyroku tamtejsza władza sądownicza zwróci się o jego egzekucję do polskich instancji. Nawet jeśli toczące się za granicą postępowanie cywilne było skrajnie tendencyjne, a orzeczenie krzywdzące, w myśl obowiązującego w Polsce prawa co do zasady wyrok zostanie przez polski wymiar sprawiedliwości uznany i przekazany do wykonania (vide art. 1150 kpc). Wiele państw nie ma w tej kwestii tak liberalnych (a może naiwnych?) rozwiązań i w trosce o interes swoich obywateli zastrzega sobie prawo do oceny przez własny wymiar sprawiedliwości zasadności egzekucji postanowień zagranicznych sądów. Może nadeszła pora, żeby i Polska poszła tym tropem?

Co nam oferują rządzący dziś Polską? Informatyzację oraz zmobilizowanie sędziów w stanie spoczynku. Trochę mało ambitny to plan.

że cnota sama się obroni, a prawda wyjdzie na jaw i znajdzie odbicie w obiektywnym i sprawiedliwym wyroku. Kto myśli, że przed sądem liczą się suche fakty, może się przeliczyć. Czy naprawdę powinno tak być?

Prawo, które powstało, żeby chronić słabsze jednostki przed samowolą i dominacją silniejszych, w zasadzie przestało pełnić tę funkcję. Wobec złożoności i nieprzejrzystości regulacji prawnych słabszy ekonomicznie na ogół przegrywa dzisiaj z zamożniejszym lub bardziej ustosunkowanym, bo ten może sobie pozwolić na bardziej rutynowego, a więc z reguły droższego adwokata, który będzie umiał prowadzić bardziej wyrafinowaną rozgrywkę z przeciwnikiem procesowym i sędzią. W takich warunkach prawda może łatwo przegrać z pieniądzem.

Osoby działające zawodowo w wymiarze sprawiedliwości, nierzadko łączące te funkcje z aktywnością prawotwórczą (projektowanie, opiniowanie aktów prawnych) i akademicką (kształcenie przyszłych adeptów zawodu), doskonale zdają sobie sprawę z licznych wad strukturalnych, które czynią system anachronicznym, niewydolnym i de facto krzywdzącym dla wielu jego klientów. Czy jednak coś z tym robią? Chyba niewiele. Zgłaszane sporadycznie postulaty weryfikacji aparatu wymiaru sprawiedliwości i jego usprawnienia zazwyczaj są

Wprowadzane z rzadka modyfikacje stanowią jedynie drobny retusz zmurzonej struktury, której nikt nie chce porządnie odrestaurować.

Ta inercja skutkuje także utrzymywaniem i odwoływaniem się do przestarzałych regulacji prawnych, nieprzystających do realiów społeczno-ekonomicznych. Przykładem mogą być przepisy z zakresu spraw cywilno-rodzinnych (w tym Kodeks cywilny, Kodeks postępowania cywilnego oraz Kodeks rodzinno-opiekuńczy, wszystkie z 1964 r.) oraz bazowanie na dawnym orzecznic-

Czy odejście od trzypersonowego składu orzeczniczego w cywilnym postępowaniu apelacyjnym nie niesie ryzyka arbitralności i pogorszenia jakości oglądu sprawy?

twie (w uzasadnieniach wyroków zdarzają się odniesienia do postanowień Trybunału Konstytucyjnego z 1951 r., czyli czasów głębokiego komunizmu). Od 1964 r. minęło dokładnie 60 lat i dzisiejsza Polska znacząco różni się od ówczesnej w wielu aspektach, wliczając w to kwestie równouprawnienia płci, możliwości awansu społecznego, perspektyw zawodowych oraz wysokości zarobków kobiet i mężczyzn.

Zmieniła się również sytuacja polityczna naszego państwa, jego otoczenie międzynarodowe oraz dynamika jego interakcji ze światem

Jak widać, bolączek i wyzwania dla systemu prawa cywilnego w Polsce nie brakuje. Tymczasem co nam oferują rządzący w odniesieniu do sądów powszechnych? Bliżej nieokreśloną informatyzację (czyżby sztuczna inteligencja miała zastąpić człowieka?) oraz potencjalne zmobilizowanie sędziów, którzy przeszli już w stan spoczynku i których może uda się nakłonić do pochylenia nad aktami zalegającymi na sądowych półkach. Trochę mało ambitny to plan.

Andrzej Kytsul

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Wyspa mojej siostry

Oczywiście moja siostra nie jest właścicielką Wyspy. Nie jest nawet właścicielką domu na Wyspie – tu posiadaczy jest kilkoro. Gdy jednak po półgodzinnej podróży promem cumujemy na Wyspie, a szwagier proponuje sięść na chwilę w tawernie i wypić naparstek pelinkowacu, znajomi z Wyspy pozdrawiają nas w swym języku, a siostra w ich języku im odpowiada. I gdy wieczorem w nadbrzeżnej knajpie pałaszujemy okonia morskiego, obsługuje nas kelner będący kolejnym znajomym siostry, a ten z kolei nauczył się już podstawowych polskich zwrotów. Siostra na Wyspie jest zawsze u siebie.

Nazajutrz rano Radojka przynosi świeże figi. Radojka jest właścicielką sąsiedniego domu, ma ogród. Teraz gawędzi z siostrą na tarasie, lecz po chwili ktoś krzyczy spod domu i na taras przysiadają się Mladen. Przed obiadem siadamy znów z siostrą w tawernie przy pelinkowacu, gdy nagle na motocyklu zajeżdża Duszana. Siostra przywołuje go i, przekrzykując warkot motoru, składa propozycję nie do odrzucenia: płynmy na ryby! Duszana się zgadza, umawiamy się – i nazajutrz płyniemy kutrem dokoła Wyspy, obserwując nurkujące delfiny. W wyciągniętych sieciach Duszana trzepocą się zaplątane ryby – małe i duże, zwyczajne i dziwne, niektóre wypadają na pokład i w przerażeniu wykonują śmiertelne tańce. Duszana oprawia ryby na miejscu, żywym. Obrane resztki wrzuca do morza.

Oto wspomnienie z wakacji. I tak też toczy się letnie życie siostry. Od kilkunastu lat wyjeżdża ona na Wyspę, gdzie spędza czas od maja do września. Trzydzieści stopni w cieniu, prażące słońce, lazurowe niebo, skrzeczące cykady. Milkną one dopiero w nocy, a wtedy my na tarasie, w ciszy, pod rozgwieżdżonym niebem, sączymy powoli whisky. „Chcę, żebyś wypoczął”, mówi siostra – i rzeczywiście: jedyne, co robię, to wędruję po Wyspie, leżę na plaży i czytam, co w rękę wpadnie. Nic nie muszę – nawet zwiedzać nie muszę, bo na Wyspie nie bardzo jest co zwiedzać, i tylko raz oprowadza mnie po tutejszych zakątkach młoda i piękna Maja, jeszcze jedna znajoma siostry. Tak przeszło mi tegoroczne lato – sierpień z siostrą na Wyspie.

Moje relacje z siostrą były zawsze skomplikowane. Nie byłem dobrym bratem. Miałem niespełna trzy lata, gdy mama przyniosła do domu białe zawiniątko i poinformowała, że w środku leży dzidzius. Nie byłem dzidziusiem

zachwycony. Potem żyliśmy z siostrą w osobnych światach, mieliśmy różne towarzystwa. Oraz niewiele o sobie wiedzieliśmy, to znaczy o mnie siostra wiedziała sporo, bo młodsze siostry zawsze interesują się starszym bratem, a starszy brat młodszą siostrą niekoniecznie. Dziś oboje przekroczyliśmy siedemdziesiątkę, lecz ja stale nas widzę na Gubałównie, gdy mama śpiewa: „Marysia ma rysia, Marysia rysia ma, Marysia rysia, ryś Marysię dobrze zna”, a Marysia podryguje w rytm piosenki i zanosi się od śmiechu.

Czy to już wtedy uwidoczniły się zdolności muzyczne siostry? Nie chodziłem z nią na rytmikę, natomiast razem uczyliśmy się gry na fortepianie. Ona mniej ode mnie się przykładła, ale miała słuch absolutny i ostatecznie poszła w kierunku muzycznym – ja okazałem się do niczego. Jednak siostra nie zrealizowała się w zawodzie, wolała zrealizować się w rodzinie. Bardzo tym byłem

zgorszony. Czyżby jednak „Maria lepszą część obierała”? „Nie lubię trosk, jakie niesie z sobą życie” – tak moja Maria powiedziała kiedyś dziennikarzowi przeprowadzającemu z nią wywiad (startowała wtedy

w konkursie na najmilszą studentkę Krakowa). To wyznaczenie siostry też mi się nie podobało, bo ja trosk zawsze raczej poszukiwałem, a gdy ich nie było, sam je sobie, na wszelki wypadek, stwarzałem. Ale siostra chyba wiedziała, co mówi – na brak trosk w kolejnych latach nie mogła narzekać. Może więc już w słowach jej, 20-letniej, trzeba było widzieć dojrzałą mądrość kobiecą?

W minionym ośmioleciu Wyspa była dla siostry i szwagra schronieniem. Szwagier się odgrażał, że jeśli PiS wygra kolejne wybory, on już z Wyspy nie wróci. Ciekawe skądinąd, co by tam robił zimą, gdy restauracje zamknięte, gości nie ma, a Wyspa zostaje ze stałą setką znudzonych tubylców. Przegrana PiS rozwiązała szwagrowi dylemat. Tego lata siedzieliśmy więc razem na Wyspie i wiedzieliśmy, że wszyscy wrócimy. Siostra mówi: „To, co moje, jest także twoje” – i opiekuje się na Wyspie starszym bratem, nie zważając, że w naszym dzieciństwie brat wcale się nią nie opiekował. Lecz przecież siostra to jedyna osoba na świecie, której rodzice to moi rodzice. Świadomość tego faktu nie przestaje mnie zdumiewać.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl



POLSKIE ZNACZY LEPSZE

Coraz chętniej wracamy do tradycyjnych warzyw i sięgamy po mięso polskich ras bydła oraz trzody. Zadaniem spółek należących do Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa jest, by ich nie zabrakło

Grzegorz Rudnik

Rosnąca liczba ludności w świecie, odchodzenie od paliw kopalnych, konieczność ograniczenia szerokiego stosowania nawozów sztucznych i środków ochrony roślin oraz nacisk na wdrażanie najnowszych osiągnięć nauki to część wyzwań, którym musi sprostać rolnictwo w krajach wysoko rozwiniętych. Konsumenci poszukują zdrowej żywności, chętnie sięgają po nowe diety, domagają się, by produkcja rolna spełniała nie tylko wysokie normy jakościowe, ale też w przypadku zwierząt hodowlanych kryteria etyczne.

Przed naukowcami i producentami żywności stoi zadanie utrzymania bioróżnorodności oraz poszukiwanie odmian i gatunków, które

najlepiej odpowiadają wymaganiom konsumentów.

Od wielu lat kucharze w najlepszych restauracjach eksperymentują z zapomnianymi bądź rzadkimi odmianami warzyw. Sięgają po mięso starych ras zwierząt hodowlanych i dawne przepisy. Również w Polsce. W stołecznych restauracjach można spróbować potraw, których głównymi składnikami są topinambur, lędwian, jarmuż, pasternak, boćwina czy skorzonera. Niektóre z tych warzyw były obecne na królewskim stole już w czasach Władysława Jagiełły. Na przykład lędwian, krewny soczewicy i bobu, znany jest w Polsce od XVII w. Był przysmakiem kuchni naszych przodków. W XIX w. stracił popularność, wyparty przez inne warzywa. Dziś ze względu na walory odżywcze jest uprawiany

coraz częściej. W restauracjach można już spróbować przygotowanych z niego potraw. Bywa promowany w programach telewizyjnych. I nie ma czemu się dziwić, to część naszej kulinarnej historii.

Lędwian i inne tradycyjne polskie warzywa są uprawiane w spółkach Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa, z których najbardziej znaną jest PlantiCo – Hodowla i Nasiennictwo Ogrodnicze Zielonki z siedzibą w gminie Stare Babice pod Warszawą. Jest to liczący się w kraju producent nasion, oferujący rolnikom i działkowcom 354 odmiany warzyw oraz 230 odmian kwiatów.

Podobnie jak inne należące do KOWR spółki PlantiCo realizuje ważne zadania w zakresie polityki rolnej państwa – ma chronić tradycyjne polskie odmiany roślin.

To oczywiście, że postęp biologiczny odgrywa znaczącą rolę w rozwoju nowoczesnego rolnictwa. Jest jednym z najważniejszych czynników oddziałujących na wzrost efektywności gospodarstw, a co za tym idzie ma wpływ na osiągnięte przez rolników zyski. Przy czym ważne jest nie tylko wdrażanie postępu biologicznego w produkcji rolnej. Niezbędne jest też zachowanie różnorodności genetycznej.

Ze względu na potrzebę zapewnienia bezpieczeństwa żywnościowego kraju oraz stabilizację cen produktów rolno-spożywczych spółki Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa prowadzą własne programy hodowlane. Powstałe w wyniku ich prac krajowe odmiany roślin uprawnych mają wpływ na uchronienie naszego rolnictwa przed ewentualnymi chorobami lub epidemiami oraz na realizację własnych celów, nie zawsze zbieżnych z celami firm zagranicznych.

W spółce PlantiCo powstają nowe, wydajne odmiany ogórków, pomidorów, fasoli, rzodkiewki czy kapusty, które później trafiają do plantatorów warzyw, właścicieli gospodarstw szklarniowych czy działkowców. Wyhodowane nasiona charakteryzują się wysokim plonowaniem, dobrą jakością, odpornością na choroby i dostosowaniem do naszych warunków klimatyczno-glebowych. To mało znany opinii publicznej aspekt działalności spółek należących do KOWR. O wiele bardziej znanym przykładem jest hodowla koni arabskich.

Konie arabskie i nie tylko

Stadnina koni arabskich w Janowie Podlaskim jest najbardziej znaną, obok stadniny koni w Michałowie, spółką należącą do Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa. To jedna z wizytówek Polski w świecie. Na organizowane przez nią od 1970 r. aukcje koni przyjeżdżali znani i bogaci hodowcy z całego świata. Pochodzące z tej stadniny konie arabskie zdobyły wszelkie możliwe nagrody w Europie i Stanach Zjednoczonych.

Legendą stał się ogier El Paso, kupiony w 1981 r. za 1 mln dol. przez

amerykańskiego miliardera Armanda Hammera. W tamtych latach była to ogromna suma. Z kolei gdy jeden z arabskich hodowców zobaczył w 2004 r. klacz Pianissimę na pokazie w Paryżu, powiedział: „To niemożliwe, tak pięknych koni nie ma”. Pianissima zdobyła 11 krajowych i zagranicznych championatów i została najbardziej utytułowaną klaczą czystej krwi arabskiej w historii tej rasy. Z tych powodów Janów Podlaski wśród miłośników koni arabskich zyskał status miejsca legendarnego.

Problemy tej stadniny zaczęły się w roku 2015, gdy do władzy doszło PiS. Odwołano ówczesnego dyrektora Marka Trelę, który kierował stadniną od kilkunastu lat. Minister rolnictwa Krzysztof Jurgiel oskarżył go o niegospodarność. Sprawa trafiła do prokuratury i tkwiła w niej do wiosny 2024 r.

Lędźwian i inne tradycyjne polskie warzywa są uprawiane w spółkach KOWR, z których najbardziej znaną jest PlantiCo – Hodowla i Nasiennictwo Ogrodnicze Zielonki.

Wraz z Trelą odwołani zostali Jerzy Białobok, wieloletni dyrektor stadniny koni w Michałowie, oraz Anna Stojanowska, główny specjalista ds. hodowli konia arabskiego w Agencji Nieruchomości Rolnych.

Po ośmiu latach rządów Zjednoczonej Prawicy sytuacja stadniny w Janowie Podlaskim znacznie się pogorszyła. Dyrektorzy zmieniali się w ekspresowym tempie. Część nie znała się na hodowli koni, za to cieszyła się pełnym zaufaniem polityków PiS. Rosły długi, a status Janowa poważnie się obniżył. O tym wszystkim szeroko informowały media.

Po przejściu władzy przez rząd koalicyjny premiera Donalda Tuska nowe kierownictwo Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa zaprosiło do współpracy odwołanych dyrektorów oraz Annę Stojanowską. Przed stadniną w Janowie Podlaskim stało trudne zadanie odbudowy dawnej pozycji.

W tym roku, w pierwszej połowie sierpnia, przywrócono pełny pięciodniowy program Dni Konia Arabskiego, obejmujący Polski Narodowy

Pokaz Koni Arabskich, słynną w świecie aukcję Pride of Poland, aukcję Summer Sale, jak i niezwykle atrakcyjne dla widzów Parady Hodowlane, które odbyły się w Stadninie Koni Janów Podlaski oraz Stadninie Koni Michałów. W imprezach tych obok hodowców z całego świata uczestniczyły dziesiątki tysięcy widzów.

Poza tymi słynnymi stadninami KOWR posiada inne spółki zajmujące się hodowlą koni. Jest ona prowadzona w celu doskonalenia najcenniejszego materiału genetycznego na potrzeby krajowej hodowli oraz zachowania rodzimych ras. W sumie hodowane są konie ośmiu ras, użytkowane w czterech dyscyplinach jeździeckich: ujeżdżeniu, skokach przez przeszkody, Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego WKKW, który jest dyscypliną olimpijską, oraz powożeniu zaprzęgami jedno-

i wielokonnymi. Łącznie w tych stadninach na początku stycznia br. utrzymywano ok. 2,4 tys. koni, w tym 770 elitarnych klaczy i 217 ogierów hodowlanych.

Poza hodowlą koni spółki należące od Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa zajmują się hodowlą bydła, trzody chlewnej i owiec. Ich głównym zadaniem jest produkcja materiału zarodowego w celu doskonalenia populacji masowej tych zwierząt gospodarskich. Chodzi również o ochronę zasobów genetycznych, wdrażanie nowych technologii oraz zaopatrywanie hodowli krajowej w najwyższej jakości materiał hodowlany.

Obecnie w 29 spółkach utrzymywanych jest ponad 21 tys. krów mlecznych, przy czym stada zarodowe reprezentują bardzo wysoki poziom genetyczny, a średnia wydajność mleka od krowy na koniec 2023 r. wynosiła 11 709 kg.

Podczas ubiegłorocznej XXX Narodowej Wystawy Zwierząt Hodowlanych w Poznaniu spółki nadzorowane przez KOWR zdobyły łącznie ▶

► 26 tytułów: w tym dwa tytuły superczempiona, 10 tytułów czempiona oraz 14 tytułów wiceczempiona w poszczególnych kategoriach dotyczących hodowli bydła mlecznego.

Zwierzęta z tych spółek wielokrotnie zajmowały wysokie pozycje w rankingach hodowlanych jałówek, buhajów i stad, prowadzonych przez Polską Federację Hodowców Bydła i Producentów Mleka. Podkreślano ich doskonałą budowę oraz wartość użytkową. To najlepszy dowód szczególnej dbałości o wysoką jakość materiału genetycznego, który ma służyć rozwojowi produkcji bydła mlecznego w naszym kraju.

W trudnej sytuacji, w jakiej ze względu na występowanie w Polsce afrykańskiego pomoru świń (ASF) znalazła się produkcja trzody chlewnej, na Ośrodek Hodowli Zwierząt Zarodowych w Chodczku spadło ważne zadanie podjęcia się hodowli świń rasy złotnickiej pstrej, objętej Programem Ochrony Zasobów

smakuje kotlet schabowy przyrządzony z mięsa pochodzącego od starych rodzimych ras trzody chlewnej.

Co nas czeka?

Silną stroną polskiego rolnictwa jest różnorodność oraz zdolność przystosowywania się do szybko zmieniających się warunków. Ocieplenie klimatu spowodowało, że w naszym kraju zaczęto zakładać winnice i rozwija się produkcja win. 30 lat temu nie sposób było tego przewidzieć. Rozwój produkcji drobiu sprawił, że dziś jesteśmy w czołówce europejskich producentów i eksporterów mięsa drobiowego. Przemysł rolno-spożywczy jest ważną gałęzią gospodarki, zapewniając miejsca pracy milionom osób. Produkty rolne stanowią dziś ok. 15% naszego eksportu. By utrzymać ten stan, potrzebna jest polityka, której cel sprowadza się do jednego – by polski rolnik zarobił.

się rozwiązanie, ale rolnicy wiedzą, że nie można czekać beczynnie. I co zrobimy, jeśli pojawią się inne choroby dotyczące rośliny i zwierzęta?

Z roku na rok spada liczba osób zatrudnionych w rolnictwie, a jednocześnie rośnie wielkość produkcji. Tak być powinno. Oznacza to postęp w dziedzinie mechanizacji, lepsze stosowanie nawozów sztucznych oraz środków ochrony roślin, pojawienie się nowych rodzajów pasz i nowych pomysłów w hodowli zwierząt. Zmieniają się także gusta konsumentów, a to oni ostatecznie decydują, co będą chcieli jeść. Obywatele muszą też wiedzieć, jak ważną rolę w ich życiu odgrywają rolnictwo i przemysł rolno-spożywczy. Pod tym względem nie tylko w Polsce jest wiele do zrobienia.

Na co dzień jedynie specjalistów interesuje, co się dzieje w spółkach należących do Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa. Chyba że, jak w przypadku stadniny koni w Janowie Podlaskim, dojdzie do godnych ubolewania zdarzeń.

Należy podkreślić, że należące do KOWR spółki hodowlane – zwłaszcza te zajmujące się produkcją nasion – osiągają zyski. Oferowany przez nie materiał nasienny jest wysokiej jakości, o czym wiedzą rolnicy i działkowicze. Przy czym na tym rynku panuje silna konkurencja.

Pod koniec 2023 r. w cyklicznym badaniu „Polska Wieś i Rolnictwo” wykonywanym na zlecenie Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi przez firmę Market Research World, którego celem była ocena postaw i opinii wobec dokonujących się przemian społeczno-gospodarczych w rolnictwie i na obszarach wiejskich, jak również poznanie opinii respondentów na temat działań państwa w tym obszarze, aż 91% respondentów oceniło działalność Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa dobrze lub bardzo dobrze. W tym badaniu KOWR był najlepiej ocenioną instytucją administracji rolnej. I oby tak zostało.

Grzegorz Rudnik

Przed stadniną w Janowie Podlaskim stało trudne zadanie odbudowy dawnej pozycji. Nowe kierownictwo KOWR zaprosiło do współpracy odwołanych dyrektorów oraz Annę Stojanowską.

Genetycznych Zwierząt Gospodarskich. To druga rasa zachowawcza świń hodowlanych w tej spółce. W 2022 r. rozpoczęto w niej hodowlę świń rasy puławskiej, która już w 2009 r. została wpisana na Listę Produktów Tradycyjnych prowadzoną przez Ministerstwo Rolnictwa.

W warunkach hodowli masowej świnie tych ras nie miałyby przyszłości. W naszych chlewniach najczęściej spotykamy świnie takich rodzimych ras jak biała zwistoucha i wielka biała polska, a także ras zagranicznych: Duroc, Hampshire oraz belgijska zwistoucha.

Od dawna konsumenci zwracają uwagę, że wieprzowina kupowana w supermarketach jest trochę inna w smaku niż ta, którą znali z dzieciństwa. Być może w przeszłości jadaliby mięso tradycyjnych polskich ras? Dzięki staraniom pracowników spółek należących do Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa mają okazję przypomnieć sobie, jak

Należące do Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa spółki hodowlane oraz zajmujące się uprawą roślin są z jednej strony poligonem, na którym rozwijane i sprawdzane są nowe technologie, prowadzi się też badania nad nowymi odmianami i – jak w przypadku trzody chlewnej – prace nad zachowaniem tradycyjnych polskich ras. Z drugiej strony zajmują się one zachowaniem różnorodności materiału genetycznego. Dziś wiemy, jak ważne to zadanie. Pewne jest, że w rolnictwie będą następowały zmiany. I że będą one dotyczyły wszystkich aspektów.

Rozwiązując jeden problem, z pewnością natkniemy się na kolejny. Europie nie grozi dzisiaj głód, lecz co zrobić z pojawiającymi się nowymi chorobami? Przykładem może być wspomniany afrykański pomór świń, który dramatycznie ograniczył wielkość produkcji trzody chlewnej w naszym kraju. Wiadomo, że w końcu znajdzie



Materiał powstał przy wsparciu Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

O d czasu udostępnienia usługi ChatGPT i kolejnych wcieleń zabawkowej „sztucznej inteligencji dla początkujących” dyskusja o rozwoju tej technologii, tego instrumentu czy narzędzia jest jedną z najczęściej podejmowanych publicznie. Czy AI jest groźna, czy zapanuje nad światem, kiedy zacznie zagrażać ludziom, jak szybko osiągnie samoświadomość, do czego jest zdolna, czy jest błogosławieństwem, czy przekleństwem. Ta debata musi się toczyć, na wiele pytań już znamy odpowiedzi. Wiemy, że Izrael w Gazie wykorzystał narzędzie AI o nazwie Gospel (Ewangelia). Wyznaczało ono cele bombardowań, szacując liczbę potencjalnych zabitych i – jak to sztuczna inteligencja – nie przejmując się tym w ogóle. Wszak spust czy enter naciskał już oficer albo żołnierz IDF.

Bez tej dyskusji możemy utknąć w dawnym złudzeniu o dobrodziejstwie internetu jako takiego. Nauczka z tamtej

Jako fan sportu (także e-sportu) i muzyki dzieli się swoimi przemyśleniami na blogu technologicznym oraz w audycjach radiowych. W wolnych chwilach tworzy własną muzykę, eksperymentując z brzmieniami”. Emilia „Emi” Nowak: wiek 20 lat, kierunek studiów: dziennikarstwo. „Emi to nasza ekspertka od popkultury. Z pasją śledzi najnowsze trendy w świecie kina, muzyki i mody. Uwielbia niezależne kino (...). W swoich audycjach łączy młodzieżowy entuzjazm z wnikliwymi spostrzeżeniami na temat kultury młodzieżowej i codziennych wyzwań”. Alex Szulc, 23 lata, przerwa w studiach psychologicznych. „Alex to osoba pełna zaangażowania społecznego, która z pasją porusza tematy związane z tożsamością, queer kulturą i wpływem mediów na społeczeństwo. Jako aktywist_ka na rzecz praw człowieka i równości prowadzi podcast oraz regularnie uczestniczy w wydarzeniach artystycznych”.

Inteligencja może sztuczna, zwolnienia prawdziwe

przygody: stworzenie zmonopolizowanego potwora władzy i mnożenia majątku przez nielicznych, poddanego absolutnej kontroli i mocy wykluczania, wygenerowanie systemu globalnego uzależnienia, zarówno na poziomie ogólnym, jak i osobistym – wszystko to powinno nam świecić na alarm w kwestiach AI. Bajki o szansach powszechnej edukacji i rozwoju medycyny to cyfrowo-algoritmowa zasłona dymna.

Tymczasem mamy kamyczek, polski, do globalnego koszyczka tej dyskusji. Otóż istnieje w Krakowie OFF Radio Kraków, które jest odgałęzieniem publicznego Radia Kraków i decyzją obecnego likwidatora Marcina Pulita jest radiem „robionym” przez AI, w tym przez stworzonych wirtualnie prowadzących. Pan Pulit ma przygotowaną ideologiczną podpórkę do pomysłu. Tako rzecze: „Tegoroczna Nagroda Nobla z dziedziny fizyki nieprzypadkowo trafiła do naukowców zajmujących się właśnie sztuczną inteligencją, choć jeden z laureatów, Geoffrey Hinton, jest jednocześnie uznawany za zagorzałego krytyka AI. Nawet po ogłoszeniu werdyktu miał wyrazić obawę, że narzędzia AI »mogą kiedyś stworzyć zagrożenie egzystencjalne dla ludzkości«. Czy w przypadku mediów, radia i dziennikarstwa sztuczna inteligencja jest bardziej szansą czy zagrożeniem? Na to pytanie będziemy szukać odpowiedzi”. W tych wizjach rozwoju i przyszłości mediów zabrakło informacji, że w ostatnich miesiącach radio zwolniło z pracy kilkanaście osób. Pan Pulit komentował, że jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Do pracy ruszyli za to: Jakub „Kuba” Zieliński, wiek: 22 lata, kierunek studiów: inżynieria akustyczna. „Kuba to nasz człowiek od technologii i muzyki, który z ogromną pasją śledzi nowinki z zakresu produkcji dźwięku oraz nowe rozwiązania technologiczne.

Zaprotestowali dziennikarze zwolnieni z radia. Mateusz Demski, dziennikarz i krytyk filmowy, który jeszcze niedawno prowadził tam audycję, opublikował apel „o powrót do OFF Radia Kraków w kształcie, w którym przez lata znali je słuchacze i słuchaczki. Do audycji tworzonych z pasją i zaangażowaniem, opartych na pogłębionych i zaangażowanych rozmowach, a przede wszystkim na spotkaniu. Człowieka z człowiekiem”. Obudziła się rada programowa Radia Kraków i też oburzyła. Wygląda na to, że redaktora, dyrektora i likwidatora siły sprzeciwu zmuszą do odwrotu. Taki szary los „wizjonerów”.

Ale tak to będzie właśnie wyglądać, AI stanie się pałąk w ludzkich rękach – czy tam głowach. Na razie jest do zwolnień z pracy i zastępowania ludzi OFF Postaciami. A potem się zobaczy, w innych dziedzinach. Z XIX-wiecznej literatury rosyjskiej znamy wzorzec „człowieka zbędnego”. Oglądamy zatem triumfalny powrót tej wizji w jej kapitalistycznej odsłonie, która chce taniej, prościej, bezkonfliktowo. AI nie pije, nie pali, nie ma kaca, okresu, złego dnia, rodziny, potrzeby urlopu, snu, odpoczynku, czasu i najważniejsze – pieniędzy. Toż to pracownik idealny, na którego kapitalizm czekał setki lat, w konfrontacji z tymi, którzy się nie godzili na wyzysk i biedę. AI nie łączy związku zawodowego. Dlaczego to wszystko rozgrywa się w medium publicznym? A bo ono takie publiczne jak AI ludzka. Przyszłość wymaga od nas czegoś dużo poważniejszego i trudniejszego niż zrobienie małego radia w Krakowie – ludźmi dla ludzi. Może to jest ten moment, że ludzie zaczną łączyć kropki? Tak jak to się stało w XIX w. i zrodziło ruch robotniczy oraz rewolucję antykapitalistyczną. Ile razy to koło musi jeszcze się zakręcić? Może AI nam podpowie? ■

Wśród przyjaciół książek

Czytelnik, najstarsze i jedno z najbardziej zasłużonych powojennych wydawnictw, obchodzi jubileusz 80-lecia.

Na spotkanie pod znany miłośnikom dobrej literatury adresem Wiejska 12A przybyli autorzy, redaktorzy i przyjaciele wydawnictwa: marszałek Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska, wiceminister kultury Sławomir Rogowski, przewodnicząca Rady m.st. Warszawy Ewa Malinowska-Grupińska, prezes Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek Rafał Skąpski, prezes Wydawnictwa Iskry Wiesław Uchański, dyrektor Klubu Księgarza Jan Rodzeń, przewodniczący Rady Stowarzyszenia ZAIKS Janusz Fogler, a także Czesław Czapliński, Jacek Kleyff, Jan Ordyński. Honorowym gościem jubileuszu był Józef Hen, pisarz, który za kilka dni skończy 101 lat. Po raz pierwszy wydał swoją książkę w Czytelniku w 1954 r.

„Tu panuje duch dyskusji, myślenia o kulturze. Tu gromadzą się ludzie, którzy cenią dobrą literaturę, kochają książki. To tu od zawsze dbano o to, by do rąk czytelnika trafiały książki dobre, mądre, ciekawe i pięknie wydane”, powiedziała marszałek Małgorzata Kidawa-Błońska na spotkaniu. Z okazji jubileuszu wręczyła przyznany Spółdzielni Wydawniczej Czytelnik Medal Senatu RP.

Jubileusz był też okazją do wyróżnienia prezesa Czytelnika Mariana Sewerskiego honorowym tytułem Przyjaciół Książki, przyznawanym przez Polską Izbę Książki. Prezes dostał też odznakę honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej. Wiceminister Sławomir Rogowski wręczył również medale Zasłużony Kulturze Gloria Artis pracownikom wydawnictwa: Aleksandrze Ambros, Irenie Makarewicz i Maciejowi Sadowskiemu, odznaki honorowe Zasłużony dla Kultury Polskiej otrzymali Hubert Izdebski i Anna Rucińska, a dyplomy honorowe Urszula Będkowska i Katarzyna Woźniak. ■



Marszałek Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska, prezes Czytelnika Marian Sewerski i wiceminister kultury Sławomir Rogowski.



Józef Hen z synem Maciejem i córką Magdą.

Kowadło dla prof. Majchrowskiego

Do liczego już grona wyróżnionych Nagrodą Kowadła przyznawaną przez Stowarzyszenie „Kuźnica” dołączył prof. Jacek Majchrowski. – Biografii profesora nie trzeba tu zebranym szerzej przypominać – mówił, otwierając uroczystość, dr Paweł Sękowski, prezes „Kuźnicy”. – Podobnie dorobku naukowego wybitnego znawcy II RP, szczególnie ówczesnych ugrupowań prawicowych, jak również wykładowcy UJ i organizatora Akademii, a dziś już Uniwersytetu Andrzeja Frycza Modrzewskiego.

Jak podkreślił w laudacji prof. Jan Widacki, najdłużej urzędujący prezydent Krakowa przyczynił się do rozwoju miasta, które stało się drugim w Polsce pod względem liczby ludności, prawdziwie europejską metropolią, niezwykle ważnym ośrodkiem akademickim, a także centrum



Nagrodę Kowadła wręczył prof. Jackowi Majchrowskiemu dr Paweł Sękowski, prezes Stowarzyszenia „Kuźnica”.

kulturalnym licznie odwiedzanym nie tylko przez turystów. Ale to niejedynie coraz bardziej doceniane osiągnięcia Jacka Majchrowskiego. – To styl uprawiania polityki, koncyliacyjny

sposób piastowania urzędu. Jego dwaj wielcy historyczni poprzednicy, Juliusz Leo i Józef Dietl, mają swoje pomniki w Krakowie. Z pewnością swój będzie miał też prof. Majchrowski – dodał prof. Widacki. Kiedy nasz felietonista mówił te słowa, laureat z uśmiechem potakiwał, co zebrani przyjęli jako dowód, że były władarz Krakowa mimo upływu lat nie stracił poczucia humoru.

Nagrodzony, dziękując za Kowadło, przypomniał, że pierwotnie „Kuźnica” odmówiła mu członkostwa, ale po latach anulowała tę decyzję. Nie nosił w sobie urazy, tym bardziej że zawsze miał poglądy lewicowe i trapił go, że dzisiejsza lewica nie potrafi się odnaleźć w czasach, gdy jej naturalna baza, klasa robotnicza, właściwie zanika.

Gratulacje w imieniu zespołu „Przeglądu” i czytelników naszego tygodnika złożył prof. Majchrowskiemu pisząc te słowa.

Paweł Dybicz

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Ścięcie Lipy

Bielsko-Biała, Lipa, 42. konkurs literacki dla dzieci w wieku szkolnym, czyli od pierwszej klasy do maturzystów. Do niedawna było 100 równorzędnych nagród, poezja i proza. Prace przychodzą z całej Polski. Dzieci i opiekunowie mają zapewniony hotel i jedzenie. I jest zawsze koncert. Wręczanie nagród, warsztaty literackie. Jestem w jury od roku 1988. Wydawano też zawsze katalog z nagrodzonymi utworami. Pamiętam czasy, gdy szedł do cenzury.

Teraz niekiedy w konkursie uczestniczą wnuki pierwszych laureatów. Mówię także o cenzurze ze sceny do młodych, którzy oczywiście nie wiedzą, co to jest. Dowcipny koncert Czesława Mozila. Pamiętam, jak tu śpiewał Jacek Kaczmarski, potem biesiady z nim. Po koncercie debata młodych: do czego jest nam potrzebna literatura, i w końcu warsztaty z trzema grupami. Zawsze tak było, ale w tym roku uderza, że ponad 90% spośród sześćdziesięciorga nagrodzonych to dziewczyny. Nie ma żadnych wątpliwości, kobiety podbijają świat, zaczynając od kultury. Połowa z tych dzieciaków pisze dziennik w prawdziwym papierowym zeszytach. Ale dla nich nasz kontynent wiedzy i kultury już nie istnieje. Wymieniam kilkanaście nazwisk do niedawna tak znanych i cenionych pisarzy – nic im nie mówią. Bez sensu, że pytam, przecież wiem i mam młodych w domu. Tamci jednak czytają książki, moi synowie nie bardzo. Mam zatem przybyszów z Marsa w domu, ale bardzo ich kocham.

Ta Lipa jest ostatnia. Rena Edelman, szefowa domu kultury, która organizowała konkurs od samego początku, nie ma już sił i brakuje pieniędzy. Wszyscy mamy łzy w oczach. Drzewo, które rośło 42 lata, zostaje ścięte. Rena nie dostała żadnych nagród, jej niezwykła praca jest niedoceniona. A to chyba jedyny w Polsce dotyczący kultury poważny konkurs o tak długiej, nieprzerwanej tradycji. Obliczyliśmy, że w konkursie brało udział 28 tys. uczestników i było 4 tys. laureatów. Jaki to wielki zastrzyk dla kulturalnego krwiobiegu Polski. A teraz stępa. W hotelu patrzę w lustro – patrzę w nie tak co roku od kilkudziesięciu lat, a ono się dziwi, jak zmieniła mi się twarz.

Znak czasu. Po imprezie zapraszał nas do siebie K., świetny pianista, który od lat tworzy tło muzyczne naszej imprezy. Chcieliśmy, ale nie dało rady, nikt nie mógł się przemóc, bo to zagorzały pisowiec. Niesmak w ustach, to po prostu jest fizjologiczne.

Nie ma żadnych wątpliwości, kobiety podbijają świat, zaczynając od kultury.

•
Już w Warszawie spotykam przypadkiem Agnieszkę Holland. Lubię ją i podziwiam. Mówimy też o tym, że to, co się dzieje z Izraelem, jest bardzo smutne, to problem głębinowy. Ten niezwykle kraj wskrzeszony z milionów pomordowanych traci teraz w oczach świata moralną bazę swojego istnienia. Pytam reżyserkę, nad czym pracuje, skończyła film o Franzu Kafce. Wspominamy dzień, który spędziliśmy z Agnieszką w Sztokholmie, rok 1993? Najpierw w moim sztokholmskim mieszkaniu, potem wycieczka pod miasto, piękne krajobrazy, łąki, skały. Okazuje się, że ona ma ten dzień w żywej pamięci, dla niej również był niezwykle.

•
Viola z Jerozolimy przesyła mi filmik, na którym wiadać, jak dron niczym wampir dostaje się przez okno do pomieszczenia, gdzie ukrywał się przywódca Hamasu. Ten, już ranny, próbuje go odsunąć ręką, po chwili czołg oddaje salwę w okno. Tak wyglądała śmierć najbardziej pilnowanego i chronionego człowieka na świecie. Na dodatek zostało to nagrane. Jak to możliwe, że tak znakomity wywiad przegapił ludobójczy atak na Izrael rok temu?

Iran przesyła Hamasowi wyrazy współczucia. Pytam krytyków Izraela, a jest ich coraz więcej: a co wy byście zrobili na miejscu tego państwa po tym ludobójstwie? Mordowali przecież, także małe dzieci, bardziej okrutnie niż hitlerowcy. Zakłopotani nie wiedzą.

•
Chciałem się zapisać do lekarza specjalisty, okazało się, że najbliższy termin to maj 2025 r. Prywatnie wizyta kosztuje 300 zł, potem zwykle potrzebna kolejna. Jak się nie wściekać na naszą służbę zdrowia? A przecież już wiadomo, że to mniej brak środków, a bardziej zła organizacja. Dla uboższych chorujących sytuacja jest dramatyczna.

•
Po roku od zwycięstwa opozycji nad PiS wiele krytycznych głosów, że koalicjanci nieporadni, że wszystko za wolno, procesy się zaczęły, ale się wloką, komisje sejmowe bezradne. Wymiar sprawiedliwości nadal sparaliżowany. Dałoby się to załatwić, stosując metody rewolucyjne, takie częściowo było przejście telewizji. Ale my przecież nie chcemy rewolucji, z wielu powodów. No i ten karykaturalny prezydent. Walec jednak jedzie, chociaż powoli, do przodu. Teraz tylko trzeba wygrać wybory prezydenckie, co jest bardzo realne. ■

Skarby w pancernych gablotach

Od „Rocznika świętokrzyskiego” do „Rozmów z katem”



DR TOMASZ MAKOWSKI

– dyrektor Biblioteki Narodowej

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Najwyraźniej lubi pan oprowadzać po wystawie stałej w odnowionym i otwartym dla zwiedzających Palacu Rzeczypospolitej. Specjalnie zaaranżowana w kilku salach ekspozycja, czynna już od czterech miesięcy, przedstawia 170 najcenniejszych, unikatowych obiektów ze skarbca narodowej księżnicy. Są to zabytki polskiego i światowego piśmiennictwa, począwszy od VIII w. aż po czasy współczesne. Czy sprawdził się pomysł, aby udostępnić te dzieła bezpłatnie wszystkim chętnym?

– Z pewnością. Świadczy o tym liczba zwiedzających, która już przekroczyła 70 tys. Codziennie, prócz

wtorków, widzimy tutaj ludzi ogromnie zainteresowanych tymi skarbami, świadczącymi o naszej historii od zarania dziejów polskiej państwowości, poprzez kolejne wieki, także w czasach utraty niepodległości, aż do najwybitniejszych dokumentów kultury współczesnej.

Ułożenie udostępnionych ekspozycji wymagało przyjęcia jakiegoś klucza.

– Klucz jest prosty. Ekspozycja ma układ chronologiczny. Otwiera ją najstarszy zabytek polskiej historiografii – „Rocznik świętokrzyski dawny”, w którym zostało zapisane zdanie: „Dubrovka venit ad Miskonom” (Dąbrowka przybyła do Mieszka), kończy zaś rękopis „Przesłania Pana Cogito” Zbigniewa Herberta z wymowną frazą „Bądź wierny. Idź”, sporządzony

przez poetę w niewielkim zeszyciku drobnymi literkami.

Nawet najciekawsze druki czy rękopisy w gablotach same w sobie mogą wielu odwiedzających znudzić. Przydałyby się więc jakieś anegdoty z nimi związane czy wręcz dowcipy.

– Orowadzający mają w zanadru wiele takich opowieści. Ale można je usłyszeć także w audioprzewodniku. A co do gablot, warto wiedzieć, że wszystkie są pancerne i podłączone do elektronicznej sieci monitoringu. Strażnicy nie muszą więc obserwować odwiedzających na miejscu, bo sygnał o jakimś zagrożeniu powoduje, że w sali od razu pojawia się ochrona z bronią.

Tego lepiej nie testować.

Które ekspozyty są najcenniejsze?

– W pierwszej gablocie, gdzie znajdują się najstarsze księgi, po prawej stronie spoczywa „Rocznik świętokrzyski” otwarty właśnie na stronie, gdzie jest mowa o Dąbrowce, która przybyła do polskiego władcy Mieszka I. A obok znajdują się kroniki Galla Anonima, Wincentego Kadłubka i Jana Długosza. Gabłota zawierająca tak znaczące dokumenty z początków naszej państwowości jest celowo umieszczona niziutko, aby z łatwością mogły tam zajrzeć dzieci i np. osoby na wózkach.

Inne gabloty są wyższe.

– Ale umieszczone w nich ozdoby księgi są dużo większe. Tutaj warto się przyjrzyć bliżej wielobarwnym stronom, które są jeszcze dodatkowo iluminowane srebrem i złotem. Warstwy srebra przez te prawie tysiąc lat nieco poszarzały, ale złoto lśni pełnym blaskiem, a nawet oddaje promienie na całe strony. Pamiętajmy, że dawniej oglądano je w salach oświetlonych drgającymi płomieniami świec, co robiło jeszcze większe wrażenie, niemal mistyczne.

Słynne „Kazania świętokrzyskie” umieszczone są jeszcze wyżej.

– To najstarszy dokument prozatorski stworzony w języku polskim. Pochodzi z XIII w. Jego



„Objawienia” św. Brygidy.

„Rocznik świętokrzyski dawny”.



„Ewangelia Anastazji”.

Cyprian Kamil Norwid, „Orbis I”, 1845-1870, „Orbis II”, 1843-1868.



Ekspozycję otwiera najstarszy zabytek polskiej historiografii – „Rocznik świętokrzyski dawny”, w którym zostało zapisane zdanie: „Dubrovka venit ad Miskonem”.

losy są sensacyjne. Został odkryty przez wybitnego polskiego historyka Aleksandra Brücknera jeszcze w XIX w. Naukowiec ten, mieszkający w Berlinie, wybrał się na urlop do Petersburga i w carskiej bibliotece odnalazł pisany po łacinie kodeks. Dostrzegł, że ta ręcznie pisana księga ma wzmocnienia z wąskich pasków pergaminu z wypisanym po polsku starszym od niej tekstem. Z poszczególnych pasków można było złożyć w całość jedno z „Kazań świętokrzyskich” i fragment drugiego. Księga jednak pozostawała własnością

Rosji, bo wywieziono ją z polskiego klasztoru w ramach represji po powstaniu styczniowym. Kodeks zwrócono wraz z owymi paskami po zwycięskiej wojnie polsko-bolszewickiej, wtedy paski złożono razem. Po napaści Niemiec w 1939 r. „Kazania świętokrzyskie” ukryto, a następnie wywieziono za granicę. Kodeks, w którym były wzmocnione paskami strony, Niemcy spalili wraz z innymi bezcennymi zabytkami piśmiennictwa Biblioteki Narodowej.

Na szczęście ocalały takie skarby jak „Psalterz floriański”.

– Sporządzono go dla królowej Jadwigi w XIV w. Są tu też jeszcze starsze zabytki piśmiennictwa, np. kodeks z X w. pisany cyrylicą, znaleziony w Supraślu. Jest zdobiony srebrem „Ewangelia Anastazji” z XII w., ale i teksty w języku polskim z pieśnią „Bogurodzica” czy nawet list miłosny z 1444 r. To wszystko można zobaczyć na naszej wystawie stałej.

Czyli będzie można ją odwiedzać zawsze.

– Taki jest nasz cel. To są dobra materialne świadczące o bogactwie kulturowym naszego państwa. Udostępniliśmy statuty Kazimierza Wielkiego, „Pierwszy statut litewski”, ale także bardzo cenne i stare, ▶

► niezwykle barwnie ilustrowane rękopisy obce, np. ormiańskie, „Revelationes” św. Brygidy Szwedzkiej, „Kalendarz paryski” z XIV w., rękopisy włoskie z XV w. z wizerunkami zwierząt, zachwycające renesansową doskonałością, są również najstarsze książki drukowane cyrylicą. Mamy dzieła piśmiennicze tureckie i perskie. Zwrócę uwagę jeszcze na „Sforziadę”, jedną z najcenniejszych w świecie książek drukowanych. Istnieją tylko cztery egzemplarze, m.in. w Londynie i Paryżu. Nasza jako jedyna ma podpis autora. Bezcenna.

Ile trzeba by za nią zapłacić?

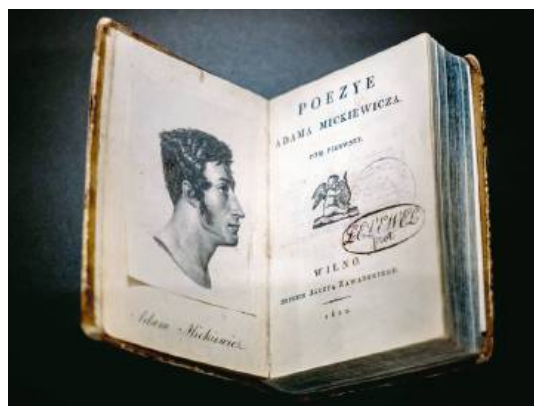
– Zapewne ok. 60 mln.

Bardzo interesująca część zbiorów odnosi się do zabytków polskiej kultury.

– Pokazujemy na wystawie jedyny zachowany rękopis sporządzony przez Jana Kochanowskiego, bo „Odprawa posłów greckich” to już starodruk. Jest też u nas pierwsze wydanie Mikołaja Reja „Krótkiej rozprawy między trzema osobami, Panem, Wójtem a Plebanem”.

A potem następuje upadek państwowości, lecz Polacy pisać nie przestają.

– Zaraz po ostatnim rozbiórce Tadeusz Kościuszko podyktował broszurę „Czy Polacy wybić się mogą na niepodległość?”. Zaborca kazał nakład skonfiskować, ale my mamy



Adam Mickiewicz, „Poezje”.

Maria Konopnicka, „O krasnoludkach i o sierotce Marysi”.



Gdybyśmy gdzieś znaleźli rękopis „Odprawy posłów greckich” Jana Kochanowskiego albo „Kordiana” Juliusza Słowackiego...

jedyny zachowany egzemplarz. Obok jest blond pukiel – włosy Kościuszki. **Kościuszko nie przerwał walki o wolność.**

– Zachęcali do niej również inni. Henryk Sienkiewicz – mamy rękopisy „Krzyżaków” i „Quo vadis”, mamy rysunki i wiersze Cypriana Kamila Norwida, rękopis „Ody do młodości” Adama Mickiewicza i rękopis „Koncertu f-moll” Fryderyka Chopina oraz bardzo niewyraźny druk na wizytówce naszego kompozytora. Jest „Nad Niemnem” Elży Orzeszkowej

i pierwsze wydanie baśni Marii Konopnickiej „O krasnoludkach i o sierotce Marysi”. Są słowa „Roty” podpisane pod nutami Feliksa Nowowiejskiego. Wreszcie Krzysztof Kamil Baczyński, który swoje wiersze sam oprował i zilustrował, by wręczyć jako prezent ślubny żonie Barbarze.

A Sala Wilanowska, w której stoją setki oprawnych w skórę tomów, „zagrała” w kilku filmach fabularnych.

– Na przykład w „Popiołach” Andrzeja Wajdy.

Czym chciałby pan uzupełnić ten skarbiec polskiego piśmiennictwa?

– Gdybyśmy gdzieś znaleźli rękopis „Odprawy posłów greckich” Jana Kochanowskiego albo „Kordiana” Juliusza Słowackiego, byłbym szczęśliwy.

Urna ze spopielonymi tomami, która stoi w ostatniej sali tej wielkiej wystawy, czyni tę nadzieję wątpliwą.

– Widać w niej jeszcze zarysy grzbietów jakichś grubych książek, ale one stopniowo się osypują, niedługo nie będzie nawet śladu, że to spalona książka. Gdy w 1945 r. do magazynu BN weszli nasi bibliotekarze, księgi jeszcze zachowywały swój pierwotny kształt, ale przy dotknięciu rozsypywały się w pył. Ludzie stąpali w nim po kostki. Możemy przypuszczać, że zniszczeniu uległo 50 tys. rękopisów i 60 tys. starodruków.

Jest takie powiedzenie niemieckiego poety pochodzenia żydowskiego Heinricha Heinego: „Tam, gdzie pali się książki, w końcu będzie się palić ludzi”. Napisał tak przeszło 150 lat temu.

– To było straszne proroctwo. Na ścianie mamy jeszcze oryginalny plakat w języku niemieckim i polskim o likwidacji getta w Warszawie. Jest na nim też podpis wykonawcy zbrodni – generała SS Jürgena Stroopa. Na wystawie zaś można obejrzeć inny dotyczący Stroopa dokument, „Rozmowy z katem” Kazimierza Moczarskiego.

Gdzie jeszcze można szukać skarbów piśmiennictwa? Wiele z nich ma np. Biblioteka Kongresu USA.

– Podobne wystawy skarbów otworzyły nowojorska biblioteka publiczna oraz biblioteki narodowe Anglii i Francji.

Badania pokazują, że Polacy niewiele czytają. Jak skomentowałby pan hasło: „Czytanie daje wolność”?

– Czytanie tego, co się chce, jest jedną z naszych podstawowych wolności. Na straży tej wolności stoją biblioteki publiczne. Poza tym czytanie jest najlepszym odpoczynkiem w przebudżonym świecie. Nikt nie wchodzi między nas a literę.

Bronisław Tumilowicz



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Pan Tupecik, terminator diabła

Zawsze atakuj, nigdy nie przyznawaj się do błędu, nigdy nie uznawaj porażki – ten trójpak zasad ofensywnego makiawelizmu, którym konsekwentnie kieruje się Pan Tupecik w swojej strategii politycznej, wręczył mu niegdyś Roy Cohn, najbardziej diaboliczna postać w historii amerykańskiej palestry XX w. Wściekły pies makkartyzmu, oskarżyciel Rosenbergów, skazanych na śmierć za szpiegostwo, później niezawodny adwokat nowojorskich mafiosów i miliarderów, żyd antysemita, gej homofob, istota tak perfidna i odrażająca, że aż fascynująca. Al Pacino wcielił się w niego w serialowych „Aniołach w Ameryce”, Andrzej Chyra w teatralnej wersji i w obu przypadkach były to ich role wybitne.

A teraz, tuż przed wyborami prezydenckimi w USA, na ekrany polskich kin wszedł „Wybraniec”, w którym Cohna gra fenomenalnie Jeremy Strong, wcześniej gwiazda „Sukcesji”. Reżyser, irański ekscentryk Ali Abbasi, zadziwił już świat filmem o trollicy w duńskiej służbie celnej („Granica”) czy też seryjnym mordercy, „czyszczącym” islamskie miasto z nierządnic („Holy spider”). I choć jego nowy film to perfekcyjnie zrealizowane kino polityczne, ewidentnie antytrumpowskie w wymowie, mam mieszane uczucia.

Owszem, Trump od początku filmu jest ohydny i obrzydliwiej z każdą minutą – ale widz już tak ma, że lubi kibicować głównej postaci, przyzwyczajony do hollywoodzkich paradygmatów oczekuje również przemiany bohatera. A skoro w finale z tłustej larwy wyłania się już pełnowymiarowe monstrum, podświadomie dopowiadamy sobie, że ten człowiek nie był zły z urodzenia, ktoś musiał go zepsuć. Ktoś mógłby pomyśleć, że niewinnego chłoptasia zepsuli podli ludzie, w których szpony się dostał. Abbasi odpowiada wprost, że uczynił to Cohn, udzielając nieporadnemu, lecz chorobliwie ambitnemu dziedzicowi rodzinnej fortuny rad, jak bez skrupułów osiągnąć każdy cel.

Kurs makiawelizmu przynosi skutek przerastający oczekiwania nauczyciela. Terminator diabła przerasta swojego mistrza być może właśnie dlatego, że brakuje mu intelektu – działa instynktownie, więc jest szybszy. Eksponowanie kompleksu surowego ojca (Cohn jest tu ewidentnie zastępczym tatą) to uczłowieczenie bestii, a naprawdę nie pora, żeby tłumaczyć psychologiczne

źródła rasizmu, homofobii, megalomanii i prostackiego macyzmu, które są wizytówką Pana Tupecika. Wujka Sama zastąpił Wujek Samo Dno, złowieszczy błazen i niebezpieczny psychopata – fabularyzowanie jego drogi do władzy, nawet jeśli pokazuje wprost, z kim mamy do czynienia, jest humanizujące, tymczasem w przeddzień wyborów należy raczej uznać, że Trump to konstrukt chorego społeczeństwa, zabójcza idea, którą powinno się okiełznać, a nie rozczulać się nad tym, jak w rodzinie monstrów chłopiec chciał zaimponować bucowatemu ojcu sprawczością. Owszem, widzimy, jak to bydlę traktuje rodzinę – odsuwa słabego brata i pośrednio przyczynia się do jego samobójstwa. Jeśli zaś melodramatyczny wątek zakochania i małżeństwa z Ivaną miałby działać na ocieplenie wizerunku, zostaje drastycznie przerwany sceną gwałtu dokonanego na żonie chwilę po wyznaniu jej, że małżeński kontrakt przestał być ważny.

Kiedy demony wracają do władzy, robią wszystko, by już nigdy jej nie stracić.

Oglądamy Pana Tupecika w całej jego małości – wszystko jest kłamstwem, on sam jest kłamstwem, świństwo goni świństwo, nawet hasło MAGA zostało wszak podebrane Reaganowi i rewitalizowane, nie są nam oszczędzane także relacje z liposukcji i przeszczepu włosów, oglądamy biografię buca, który ze swojej bucowatości uczynił ekstremalną siłę.

Ale czy cały ten film nie zadziała przeciwnie? Obie strony umocni na swoich stanowiskach, a dla trumpistów będzie po prostu opowieścią o bezwzględnym, silnym człowieku, którego wedle nich Ameryka właśnie teraz potrzebuje. Kiedy demony wracają do władzy, robią wszystko, by już nigdy jej nie stracić. Kaczor u nas wprost ogłasza, że po wygranych wyborach oleje konstytucję i będzie rządził juntą (Rada Stanu).

My mamy jeszcze przy dobrych wiatrach trzy lata, by do tego nie dopuścić. Ameryce został tydzień z hakiem. Donald właśnie wychodzi na prowadzenie w sondażach i wiele wskazuje na to, że tego kataklizmu już zatrzymać się nie da. ■

Punk rock według Donalda Trumpa

„Wybraniec” demaskuje mit sukcesu,
który w swoich opowieściach zbudował Trump



Rozmawia Jan Tracz

Co poczułeś, kiedy się dowiedziałeś o nieudanym zamachu na Donalda Trumpa? W jednej chwili pracujesz nad sugestywnym filmem o byłym prezydencie, a w drugiej ociera się on o śmierć...

– Pamiętam moment, kiedy się obudziłem tego dnia. Pierwszym newsem, który wtedy przeczytałem, była właśnie informacja o zamachu. Nie ukrywam, że mną wstrząsnęła. Bardzo dużo czasu spędziłem z tymi postaciami i nawet jeśli nie znam Trumpa prywatnie, to wciąż mam wrażenie, że całkiem dobrze go znam. Możemy różnić się poglądowo – politycznie jesteśmy na antypodach – ale to wciąż człowiek. I nikomu nie życzę znalezienia się w takiej sytuacji. Ona pokazuje, jak niebezpiecznym społecznie i politycznie miejscem jest współczesna Ameryka. Przemoc mamy tu na porządku dziennym – realnie dotyka ona każdego z nas. Kiedy myślę o tym zamachu, czuję ogromny smutek.

ALI ABBASI

– irański reżyser i scenarzysta filmowy; do kin wszedł jego najnowszy film, „Wybraniec”, o początkach kariery Donalda Trumpa.

Dlaczego?

– Bo nie powinno dochodzić do tak radykalnych sytuacji. Niezależnie od poglądów powinniśmy traktować się z szacunkiem i nie szufladkować siebie przez pryzmat polityki. W idealnym świecie czyjeś opinie nie są z automatu powodem do szerzenia przemocy i krzywdzenia ludzi. W taką wizję przyszłości staram się wierzyć.

Macie jakieś cechy wspólne z Trumpem?

– Trump od zawsze był dla mnie ambitnym człowiekiem, który nigdy nie bał się dążyć do swoich celów w nieustępliwy sposób. I praca nad tym filmem wymagała właśnie takiego podejścia. Bardzo długo szukaliśmy dystrybutora, który

podjąłby się tego wyzwania. Tyle że to trochę tanie porównanie, nie sądzisz? (śmiech). Każdy, kto chce osiągnąć w życiu coś więcej, musi dać z siebie dosłownie wszystko. Wymaga to poświęceń i dążenia do celu. To jedynie udowadnia, że ta droga Trumpa do sukcesu niejako nie różni się od innych historii. I to był nasz punkt wyjścia: młody Donald musiał przejść taką samą drogę jak my wszyscy, tyle że na swoich zasadach. Nie zmienia to faktu, że „Wybraniec” stara się demaskować mit tego „niebываłego” sukcesu, który Trump zbudował w swoich opowieściach. Dodam jeszcze, że aktualnie to najlepszy film o Trumpie w historii – bo żaden inny nie powstał (śmiech).

Kim jest dla ciebie Donald Trump?

– Punkrockowcem! Można wiele o nim powiedzieć, ale nie można mu odmówić punkowego sznytu. Dosłownie dziś rano opublikował na X post, w którym w ogóle nie gryzł się w język. Jestem przekonany, że jego doradcy mówili mu, aby nie puszczał tej wiadomości, bo tym sposobem jedynie przyczynia się do promocji naszego filmu. A on i tak to zrobił!

Takie posty piszą rockmani pokroju braci Gallagher z Oasis.

– Właśnie! Trumpa nie obchodzą żadne zasady czy to, co czują inni. On traktuje to obojętnie i robi, co mu się żywnie podoba. Niczym gwiazda rocka. To wynika z faktu, że Trump wywodzi się z szalonych lat 70. Nowego Jorku. Wówczas panowała tam apokaliptyczna atmosfera, totalny zawrót głowy i wkraczanie w nowe, szalone dziesięciolecie. Czyli czasy, w których narodził się punk rock. Energia tej epoki ukształtowała Trumpa. Nie trzeba być lewicowcem, aby mieć punkrockowe korzenie i charakter.



Wybraniec

„Wybrańca” nawet ogląda się jak takie punkrockowe dzieło. Tyle że ze znacznie luźniejszą muzyką – w tle słyszymy piosenki Pet Shop Boys i KC and the Sunshine Band.

– Tu chodzi o formę i tempo oddające ducha czasów, w których ludzie żyli, jakby nie było jutra. Chcieliśmy zarazem pokazać surowość tego świata, jak i jego ukrytą, znacznie bardziej rozrywkową stronę. Tutaj jest i beton Manhattanu, i wieczna impreza na ostatnich piętrach wieżowców.

Tam, gdzie niektórzy patrzą na niego jak na potwora niszczącego Amerykę, ja widzę zwykłego gościa; oportunistę, który wykorzystuje swoje pięć minut.

Dlaczego zdecydowałeś się obsadzić Sebastiana Stana w roli Trumpa? To bardzo utalentowany aktor, choć mało kto o tym wie. Ludzie zazwyczaj kojarzą go wyłącznie z Marveliem.

– Nie ukrywam, że widziałem parę filmów Marvela, ale jego udział w tych produkcjach zupełnie mnie nie interesował. Jednak Sebastian ma w portfolio znacznie więcej ciekawych tytułów (np. „Pam i Tommy”), w których dokładnie widać, jak bardzo jest utalentowany. Taki aktor, który potrafi grać

Trumpa nie obchodzą żadne zasady ani to, co czują inni. On traktuje to obojętnie i robi, co mu się żywnie podoba.

kompleksowe postacie, ale potrzebuje do tego przestrzeni. A w Marvelu jej nie ma. Zależało nam, aby pokazać Trumpa jako zwykłego człowieka z własnymi problemami i kompleksami, przeradzającego się w tego bezlitosnego magnata, którego dziś znamy z ekranów telewizorów. Sebastian Stan potrafił bezbłędnie oddać emocje związane z tą transformacją.

Czy twoje irańskie i szwedzkie korzenie pozwalają ci podejść z dystansem do tego tematu i bohatera? Pomogło ci to być znacznie bardziej „obiektywnym”? A może wobec Trumpa od dawna nie da się pozostać bezstronnym?

– Niedawno akurat czytałem o „Dyktatorze” Charliego Chaplina z 1940 r. Przytoczona została tam anegdota, która być może będzie odpowiedzią na twoje pytanie. Mój absolutnie ulubiony reżyser, Luis Buñuel, podobno zaaranżował

kiedyś pokaz „Triumfu woli”, wybitnego filmu propagandowego z 1935 r. w reżyserii Leni Riefenstahl. Zorganizował go dla znajomych filmowców i ludzi z branży. Jak się okazało, cała sala była oburzona z wyjątkiem jednej osoby. A był nią Chaplin. Kiedy wszyscy byli poruszeni treścią tego pseudodokumentu, on nie potrafił uwierzyć, że takie filmy w ogóle powstają. I śmiał się do rozpuku! Ta sytuacja podobno zainspirowała go do pracy nad projektem, który potem stał się „Dyktatorem”.

Wspominam o tym z jednego powodu. Wydaje mi się, że Chaplin w ogóle nie chciał humanizować Hitlera. Może tylko jakąś jego część, nic więcej. W tym filmie chodziło o to, aby zdekonstruować ten mit i udowodnić, że cały ten akt Hitlera

to jedna wielka pokazówka. Chaplin naśmiewa się tam nawet ze sposobu mówienia niemieckiego dyktatora, uważanego przecież przez wielu za krasomowcę.

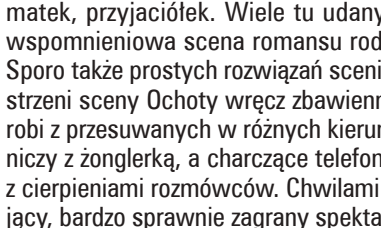
To chyba za daleko idące porównanie.

– Nie chodzi mi o to, żeby porównywać Trumpa z Hitlerem – to cios poniżej pasa i bardzo tania zagrywka. Wydaje mi się jednak, że dziś nasza wrażliwość na temat Trumpa przypomina tę, która istniała prawie sto lat temu wobec Hitlera. Tam, gdzie niektórzy patrzą na Trumpa jak na potwora niszczącego Amerykę, ja widzę zwykłego gościa; takiego oportunistę, który wykorzystuje swoje pięć minut. Spoglądałam na niego mniej więcej tak, jak w swoim filmie Chaplin przyglądał się Hitlerowi. Czyli z przymrużeniem oka. Być może pomaga mi w tym moje pochodzenie, kto wie! Może dzięki temu nie jestem aż tak emocjonalnie żyty z tym krajem? Nie chcę się przyrównywać do Chaplina, ale wciąż próbuję zrozumieć, na ile jestem w tym wszystkim bezstronny, a na ile filmowa narracja „Wybrańca” ma źródło w moim własnym ja.

KURTYNA W GÓRĘ

Męskie katusze

„Opowieści o zwyczajnym szaleństwie” Petra Zelenki cieszą się dobrą sławą w polskim teatrze. Właściwie wszystkie realizacje były udane. Tak też jest tym razem – w Teatrze Ochoty. Zaledwie pięcioosobowy zespół daje radę w skróconej wersji przedstawić męskie katusze towarzyszące poszukiwaniu tej jed-


dynej. Nie jest to łatwe, a ostatnie lata specjalnie nie wyróżniają męskich opowieści – jeśli już, to jako negatywne klisze patriarchatu. Tymczasem u Zelenki mężczyźni to postacie kruche, z trudem nawiązujące kontakty, zakompleksione, przeważnie smutne. Sugestywnie to pokazują młodzi wykonawcy wraz z młodymi aktorkami wcielającymi się w role żon, kochanek,


matek, przyjaciółek. Wiele tu udanych pomysłów, jak choćby wspomnieniowa scena romansu rodziców głównego bohatera. Sporo także prostych rozwiązań scenicznych, na niewielkiej przestrzeni sceny Ochoty wręcz zbawiennych. Użytek, jaki reżyserka robi z przesuwanych w różnych kierunkach wiszących lamp, graniczy z żonglerką, a charczące telefony doskonale się komponują z cierpieniami rozmówców. Chwilami zabawny, czasem rozczulający, bardzo sprawnie zagrany spektakl. Idźcie koniecznie.

Tomasz Miłkowski

Petr Zelenka, „Opowieści o zwyczajnym szaleństwie”,
 tłumaczenie Krystyna Krauze, reżyseria i adaptacja Karolina Kowalczyk,
 Teatr Ochoty, premiera 5 października 2024

Musical „Lalka”

Na Festiwalu Arcydzieł w Rzeszowie teatr gospodarza pokazał, jak można lekturę przerobić na widowisko muzyczne, nie tracąc wiele z przesłania oryginału literackiego. W sklepie Wokulskiego manekiny ożywają, zaczynają śpiewać, tańczyć, wyrażać pragnienia, a nawet spiskować. Młodzież szkolna tym samym zaczyna


z zainteresowaniem rozprawiać o dziele Prusa. Czy to klucz do przełamania szkolnych blokad? Może warto uczyć śpiewać cytaty z „Lalki”?

Bronisław Tumiłowicz

„Lalka”, libretto Wojciech Kościelniak, reżyseria Jerzy Jan Połoiński, muzyka Piotr Dziubek, Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie,
 premiera 23 marca 2024

NA EKRANACH



Telenowela filozoficzna

Francis Ford Coppola zatrudnił śmietankę hollywoodzkich aktorów (LaBeouf, Driver, Plaza, Hoffman...) i stworzył film w pełni autorski, który nie podlizuje się ani widowni, ani krytykom. Ba, na jednych i drugich działa raczej odstrasza – widzów zniechęca długi metraż (ponad dwie godziny!), a krytyków mierzi to, że reżyser tworzy coś na kształt filozoficznej telenoweli. Jak wiadomo zaś, dla krytyki burzenie dekorum to synonim kiczu. Czy „Megalopolis” faktycznie jest kiczowate? Cóż, dość powiedzieć, że Coppola patrzy na Amerykę jak na Cesarstwo Rzymskie. I wieszczy jej podobny finał, bo ludzie nie chcą współpracować, a wyrwa między klasami społecznymi wydaje się nie do zasypania. Bieg historii może zmienić Cezar Katyliną, odkrywca megalonu, cudownej substancji, która opiera się działaniu czasu. Chce z niej zbudować miasto równości, ale jego projekt napotyka krytykę burmistrza Cyclerona, zacieklego fana kapitalizmu z jego wolnym rynkiem. Jest jeszcze Julia, córka Cyclerona, która podkochuje się w Cezarze. Jeśli lubicie taki operowy rozmach (film kosztował 125 mln dol.), zapraszam do kina.

Artur Zaborski

„Megalopolis”, reż. Francis Ford Coppola, prod. USA, już w kinach

MIĘDZY OKŁADKAMI

Kinga Sabak
**Trochę z zima,
 trochę z radości**
 W.A.B., Warszawa 2024

Debiutancki zbiór opowiadań Kingi Sabak to proza dojrzała, przygotowana, przepracowana. Autorka wie, co chce powiedzieć. Choć poszczególne opowiadania mają różną tematykę, dotyczą tego samego problemu, czyli wyobcowania, dojrzewania, poszukiwania własnej tożsamości, własnego języka. Zawiedzie się ten, kto oczekuje mocnych deklaracji i głośnych coming outów! Nie ma tu fajerwerków, są ciche gesty (delikatny dotyk dłoni), ledwie dostrzegalne szczegóły (męskie spodnie Realu Madryt) i domowe manifesty przed lustrem (garnitur zamiast rajstop!); jest w końcu dom rodzinny – wieś i miasteczko – który tak samo otula ciepłem, jak i rani. Nie jest to ani „Dom zły”, ani też „sielski i anielski” powrót do lat szczenińczych. Sabak idzie swoją drogą i na pewno spotkamy ją w nowych historiach.

Rafał Piłkuła



Kolumnę przygotowała
 Agata Gogółkiewicz

✉ Czy państwo powinno dotować prywatne uczelnie?

W przeciwieństwie do służby zdrowia i edukacji przedszkolnej, podstawowej czy średniej na rynku uczelni nie ma żadnych możliwości finansowania przez państwo edukacji w niepublicznych szkołach wyższych. To dziwna sytuacja, bo nawet ta uczelnia niepubliczna, która jest lepsza naukowo i dydaktycznie, jak i efektywniejsza kosztowo niż publiczna, nadal nie może dostać finansowania na studia, co oznacza oczywistą niegospodarność państwa.

Sytuacja ta ma dwie przyczyny: po pierwsze, głos uczelni publicznych jest silny i wpływowy, a boją się one konkurencji. Po drugie, także większość ministrów nauki jest z uczelni publicznych, więc o nie przede wszystkim dba.

Państwo powinno zmienić optykę i postawić na jakość, co jest trudne, bo oznaczałoby również dokreślenie śruby słabym uczelniom publicznym. Łatwiej uciec w stereotypy, skądinąd mające podstawy, niż kiepskie uczelnie niepubliczne zrobiły w Polsce sporo złego i Collegium Humanum jest tylko jednym z wielu przykładów. Problem w tym, że opieranie polityki państwa na odniesieniu się do najgorszych często utrudnia życie najlepszym. Proste przykłady: drakońskie ograniczenia nauczania zdalnego, spowodowane tym, że słabe uczelnie używają tej metody jako niskojakościowego zamiennika edukacji, uniemożliwiają najlepszym uczelniom odważne wykorzystywanie nowoczesnych technologii do robienia świetnej edukacji. Podobnie restrykcje dla studentów z zagranicy, będące skutkiem handlu wizami, utrudniają uczniem z polskiej edukacji towaru eksportowego wysokiej jakości.

Co należałoby zrobić? Dofinansowywać studia w placówkach niepublicznych, ale pod trzema warunkami: zapewnienia wysokiej jakości dydaktyki (potwierdzonej ocenami PKA), prowadzenia badań

wysokiej jakości (potwierdzonej kategorią naukową) i efektywności kosztowej. Wszystko to powinno funkcjonować identycznie jak niepubliczne żłobki, przedszkola czy szkoły. Być może warto rozważyć dodatkowy czynnik, aby uczelnie niepubliczne uzyskujące dofinansowanie nie była nastawiona na zysk, czyli miała status non profit i wszelką nadwyżkę przychodów nad kosztami musiała

przeznaczać na dalszy rozwój, a nie wyprowadzać zysk do założyciela. Natomiast po spełnieniu tych czterech warunków z pewnością takie dofinansowanie powinno być. Wątpię jednak, by ministerstwo kiedykolwiek na to się zdecydowało, bo stereotyp przywaciarza ma się dobrze.

*Prof. Dariusz Jemielniak,
wiceprezes PAN*

✉ Uczył Marcin Marcina

Kolejne zmiany programowe, takie jak likwidacja zasadniczych szkół zawodowych czy wprowadzenie, a następnie likwidacja gimnazjów oraz szeroko pojęta autonomia szkół (w tym wyższych) przy braku wykwalifikowanych nauczycieli i wyposażenia dydaktycznego, powodowały obniżenie poziomu umiejętności

absolwentów. Dokładają się do tego egzaminy przygotowywane przez Centralną Komisję Egzaminacyjną, których jedynym celem jest uzyskanie zdawalności na poziomie powyżej 75%, przy 30-procentowych wymaganiach w zakresie umiejętności. Stan taki jest potrzebny do zapewnienia „studentów” dla wyrastających jak grzyby po deszczu szkół wyższych, również często bez kadry nauczającej i zaplecza dydaktycznego. Wydłużenie okresu edukacji i liczby studentów ma też na celu zmniejszenie poziomu bezrobocia wśród młodzieży. Przykładem jest kształcenie lekarzy (dlaczego nie prawników) przez politechniki i inne szkoły wyższe lub prowadzenie kształcenia zawodowego w technikach niespełniających warunków do realizacji kształcenia określonych w podstawie programowej. Winę za ten stan ponosi państwo, które, rezygnując z odpowiedzialności za „edukację”, przekazało ją w ręce hochsztaplerów i układów towarzysko-politycznych. Ciekawym zjawiskiem jest procentowy wzrost liczby „profesorów” na uczelniach proporcjonalnie do liczby „niepiśmiennych” absolwentów szkół średnich. Prowadzi to w systemie edukacji i szkolnictwa wyższego do stanu, który najlepiej określa powiedzenie „Uczył Marcin Marcina...”.

Zbigniew Milewski

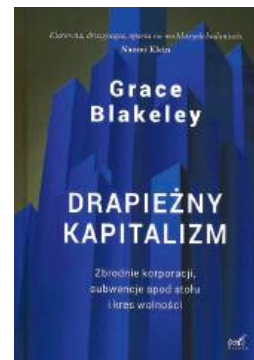
KSIAŻKI

Grace Blakeley
Drapieżny kapitalizm

Przeł. Urszula Ruzik-Kulińska

Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2024

Wolne rynki nie mają nic wspólnego z wolnością. Rekordowe zyski korporacji nie przekładają się na zyski zwykłych ludzi. A my wcale nie mamy prawa wyboru – to ktoś inny codziennie dokonuje wyborów za nas. Grace Blakeley zabiera czytelnika na szczegółowo rozpisaną wycieczkę przez ponad wiek neoliberalnego planowania i subwencji przyznawanych spod stołu. Pokazuje, dlaczego współczesne kryzysy są zamierzone i prowokowane przez system kapitalistyczny. Wiedzie przez zbrodnie korporacji, polityczne uniki oraz ekonomiczne manipulacje, dzięki którym elity wyniosły na ołtarze globalny system „drapieżnego kapitalizmu” – planowe gospodarki kapitalistyczne przynoszące zyski korporacjom i skrajnym bogaczom kosztem pozostałych. Autorka wskazuje, jak demokratyzować gospodarkę, a nie tylko politykę, aby zapewnić wszystkim prawdziwą wolność. To książka, która przyda się, aby zrozumieć, co dzieje się na świecie i dookoła nas, a także co możemy zrobić, aby to zmienić.



Profesorowie bez dyplomów

Poldi włada biegle językami krajów, w których robił karierę

Wojciech Kuczok

Ekscentryczna promocja radia-którego-nikt-nie słuchał udała się w stu procentach. Deepfake'owy wywiad bota dziennikarskiego z botem noblowskim, czyli niejakej Emi z Wisławą Szymborską, nieżyjącą od 12 lat, pokazał, co już może sztuczna inteligencja w służbie mediów i jakie wynikają z tego niebezpieczeństwa. Otóż AI może manipulować perfekcyjnie i bezkonkurencyjnie – wskrzeszona poetka komentowała własnym głosem twórczość tegorocznej laureatki z Korei tak zmyślnie, że przyklasnęła temu sam najjaśniejszy sekretarz Fundacji Wisławy Szymborskiej, Michał Rusinek.

Ta kuriozalna „rozmowa” dowiodła, że w świecie symulaków nikt nie może się czuć bezpiecznie – nie tylko szeregowi pracownicy (jak dziennikarze rzeczonego radia, którym rozwiązano umowy, bo AI może wybierać listę utworów do grania za darmo), lecz także pracownicy zasłużeni i legendarni (jak lektor Jarosław Juszkiwicz, którego po wielu latach Google Maps właśnie zastąpiło głosem bota), a nawet zmarli wieszcz. Groza i lament, do których nie mogę się nie przyłączyć, chociaż z czystej przekory dodam, że lepsza sztuczna inteligencja niż jej naturalny brak, którym grzeszy cała armia dostarczycieli kontentu, uważających się za aktywnych dziennikarzy.

Dla przykładu przeanalizujmy przypadek pana Pipsztyckiego z pewnego tabloidu, który w ubiegłym tygodniu postanowił zarobić na życie tekstem o wybitnym sportowcu. Owóż ten nieborak zechciał przyciągnąć uwagę „sensacyjną” wiadomością o wykształceniu Łukasza Podolskiego; najwyraźniej algorytm podsunął Poldiego jako gorącą postać po hucznym benefisie w Kolonii. Kilkanaście dni temu

dziesiątki tysięcy fanów przyszło zobaczyć mecz, w którym Górnik Zabrze zasilony jednorazowo gwiazdami Bundesligi (m.in. Manuelem Neuerem w bramce i Matthiasem Ginterem w obronie) wygrał z FC Köln – macierzystym klubem Poldiego, który zagrał po połowie w obu drużynach. To był hołd dla mistrza świata, najlepszej lewej nogi w historii niemieckiej piłki, człowieka, który doskonale pojął gramatykę futbolu, ale włada też biegle językami krajów, w których robił karierę – mówi po niemiecku, angielsku, polsku, śląsku, a i po turecku zagadać potrafi. Na domiar wszystkiego, pomimo „braków w wykształceniu” ekonomicznym, zdołał jeszcze podczas kariery sportowej zadbać o swoje interesy i zbić fortunę na sieci lokali gastronomicznych czy, jak kto woli, budek z kebabami.

Tymczasem pan redaktor podporządkowany strategii clickbaitów, łąduje w leadzie: „Na jaw wychodzi prawda na temat wykształcenia Łukasza Podolskiego. W ogóle się o tym

przeciętny). Łukasowi wystarcza, że jedną nogą wszedł na Olimp (będę się upierał, że jego lewa noga powinna się znaleźć na liście UNESCO jako skarb Światowego Dziedzictwa) i nie potrzebował do tego analizować Goethego ani Mickiewicza.

Nie byłoby warto się pochylać nad tym przykładem „gównodziennikarstwa”, gdyby nie dwa powody: po pierwsze, zamiast płacić za pisanie bzdur i tworzenie kaczek dziennikarskich ludziom dewastującym etos zawodowy, lepiej używać do tego darmowego bytu wirtualnego. Nie po każdym zwolnionym pismaku warto płakać. Po drugie, to dobry pretekst do pochylenia się nad kwestią edukacji polskich piłkarzy, bo wywołany do tablicy Podolski nie wygląda na tle ogółu na szczególnie nieuka.

Wiadomo, że młodzi piłkarze już w wieku trampkarskim stają przed dylematem: dobra szkoła średnia albo internat w szkole sportowej. Logika podpowiada, że na maturę może przyjść czas po zakończeniu

Lewa noga Poldiego powinna się znaleźć na liście UNESCO jako skarb Światowego Dziedzictwa.

nie mówi, aż ciężko uwierzyć”. Człowiek się łąpie na taką zasadzkę, klika i czyta, że mistrz sportu skończył zawodówkę. No, jak dla mnie sensacją byłoby, gdyby przy tak zaplanowanej i konsekwentnie rozwijanej karierze piłkarskiej miał jeszcze czas na studia. W dziedzinie życia, którą wybrał, Poldi zdobył profesurę, w przeciwieństwie do pacholęcia, które próbuje mu wytykać niedouczenie.

Na szczęście nie każdy ma ambicje Jakuba Józefa Orlińskiego, który chce być zarazem artystą i sportowcem, wskutek czego po swoich operowych występach (wybitnych) bisuje jako breakdancer (wybitnie

kariery, wiecznie młodzi nie będą, nie ma co się dziwić ich wyborom. Taki chociażby Kamil Glik zdążył zaliczyć maturę jeszcze przed trzydziestką, a potem nawet pociągnąć studia licencjackie, ale należy do chlubnych wyjątków.

Są jednak ananasy, które decyzyj podejmują znacznie wcześniej. Wojciech Kowalczyk jest żywym dowodem na to, że ustawowy obowiązek edukacji można obejść bez większej szkody. „Kowala” trudno przebić w dziedzinie wykształcenia, albowiem przerwał naukę po sześciu klasach podstawówki. Wybitny talent piłkarski i silna wątroba pozwoliły

Lukas Podolski w meczu
Ekstraklasy 2023/2024 Puszcza
Niepołomice – Górnik Zabrze.
Na murawie Konrad Stępień,
Kraków, 26 lipca 2024 r.



mu sięgnąć marzeń – zdobył medal olimpijski, mistrzostwo Polski, a także zagrał pięć sezonów w hiszpańskiej ekstraklasie. Mimo nałogowej skłonności Kowalczyka do biesiadowania w towarzystwie starych kumpli z Bródna jego szare komórki się wybroniły – wrodzona błyskotliwość, złośliwa inteligencja i bezpardonowy styl pozwoliły mu zrobić karierę felietonisty i komentatora sportowo-satyrycznego w jednym z popularnych kanałów internetowych. Kowalczyk ma refleks, bezczelność i dowcip, które utrudniały mu karierę piłkarską (trenerzy nie lubią wyszczekanych buntowników), ale w mediach są pożądane – cokolwiek by powiedzieć o jego manierach, „Kowal” jest niepodrabialny i sztucznej inteligencji lękać się nie musi. W przeciwieństwie do wielu osób zatrudnionych na dziennikarskich etatach, zwłaszcza w tabloidach, gdzie zamiast nad stylem i rzetelnością zawodową pracując nad clickbaitami.

Jeśli się skupić na piłkarzach znakomitych albo takich, którzy choć dostąpili występów z orzełkiem na trykocie, wielu magistrów uczelni pozasportowych nie napotkamy. Do najsłynniejszych wyjątków należał Stanisław Terlecki, absolwent historii na Uniwersytecie Łódzkim, wybitny technicznie, harcownik boiskowy

i pozaboiskowy; tzw. trudny charakter nie pozwolił mu rozwinąć kariery na miarę talentu, a nieszczęsna słabość do destylatów ściągnęła go na dno i przedwcześnie zabiła. Historię skończył też Jacek Magiera jeszcze w trakcie ligowej kariery w warszawskiej Legii, którą po latach poprowadził jako trener m.in. w sławnym meczu Ligi Mistrzów przeciw Realowi Madryt. W przeciwieństwie do Terleckiego Magiera to niemal flegmatyk o nienagannych manierach, podejrzewany o bycie za miękkim dla katastrofalnych w tym sezonie piłkarzy wrocławskiego Śląska.

W latach 90. niebylewale imponował mi Jacek Bednarz, wychowanek AKS Chorzów, którego poza ligowymi boiskami widywałem także w rozgrywkach uniwersyteckich na betonowym placu przy ulicy Bankowej w Katowicach, albowiem późniejszy reprezentant Polski łączył karierę sportową ze studiami prawniczymi. Oto więc mecenas Bednarz kilka lat przed tym, jak awansował z Legią do Ligi Mistrzów, niejednokrotnie musiał brać udział w ekwilibrystycznej operacji wyławiania piłki ze śmierzdzącej ściekami rzeki Rawy, która płynęła tuż za zbyt niskim boiskowym płotem – należało wczółgać się nad jej nurt po rurach, wychylić i sięgnąć ręką jak najniżej.

Co do dyplomów naszego najlepszego napastnika wszech czasów, spuścimy na nie zastonę milczenia, albowiem „Lewy” jest podejrzany o ich nabycie drogą kupna – chociaż sam licencjał pisać na – by tak rzec – niekoniecznie wyrafinowany naukowo temat „RL9. Droga do sławy”.

Wśród obcokrajowców również nie brakuje geniuszy futbolu, którzy w szkole uczęszczali wyłącznie na WF, a i tak wyszli na ludzi – Zlatan Ibrahimović w Malmö poszedł śladem Kowalczyka, uczył się, jak „przyzlatanić” kosztem lekcji historii, wskutek czego zaczął tatuować sobie na przedramieniu numery (z datami urodzin swoich dzieci), o Auschwitz być może doczytał później.

Owóż obycie można kupić legalnie, w przeciwieństwie do magisterki – kiedy jesteś gwiazdą, na boisku zarabiasz tyle, że wystarczy ci na wynajęcie skutecznych aniołów ogłady. Jeśli ci ona do czegośkolwiek potrzebna. Bożyszczami tłumów najczęściej bowiem zostają „swoi chłopcy” z osiedla. Są i tacy, którym to nie przeszkadza w staniu się „wykształciuchami” – np. Giorgio Chiellini o starorzemych rysach, wybitny reprezentant Italii, magister ekonomii, czy Juan Mata, mistrz świata i Europy z Hiszpanią, chłop z dwoma fakultetami. ■

Skromniejsze, bardziej ekologiczne formy pochówku mają być odpowiedzą na przepełnienie cmentarzy

Zuzanna Muszyńska

W większych miastach robi się coraz ciasniej. Zmęczeni walką o życiową przestrzeń, u schyłku życia coraz częściej odchodzimy od tradycji i wybieramy skromniejsze formy pochówku, proekologiczne i tańsze. Na cmentarzach komunalnych w największych miastach miejsca ma wystarczyć na niespełna dekadę.

Nowoczesne nekropolie powinny wpisywać się w krajobraz miast przyjaznych mieszkańcom. Świeże kwiaty, znicze wielokrotnego użytku, dekorowanie grobu z umiarem, segregacja odpadów, oszczędzanie przestrzeni, różnorodność rytuałów pogrzebowych: od tradycyjnego pochówku po kremację, kriokonserwację czy nawet kompostowanie ciał, tworzenie przestrzeni sprzyjającej wyciszeniu i odzyskiwaniu energii życiowej – to główne założenia cmentarzy przyszłości.

Za mało miejsca

W przeludnionych metropoliach Azji i Ameryki Południowej od dekad projektuje się wieżowce funeralne czy wyspy kolumbaria. Pierwszy taki wieżowiec, 14-piętrowy, zbudowano w latach 80. ubiegłego stulecia w brazylijskim Santos. W stolicy Meksyku zaprojektowano podziemną wieżę zmarłych w dole głębokim na 250 m. W Hongkongu na komunalną niszę urnową czeka się kilka lat. W tym czasie rodzina stono płaci za przechowywanie urny poza domem, zgodnie z wierzeniami, że żywi i martwi nie mogą przebywać pod jednym dachem. Rząd robi wszystko,



CMENTARZE PRZYSZŁOŚCI

by promować pochówek ekologiczny, mimo to rozsypywanie prochów w ogrodzie pamięci lub na morzu nie zyskuje zwolenników. Zamożniejsze rodziny za miejsce w prywatnym kolumbarium, niewiele większe od pudełka na buty, płacą tyle, ile w Polsce kosztuje nowy dom na wsi. Stąd pomysł wyspy kolumbarium pływającej po Morzu Południowochińskim, z miejscem na 370 tys. urn. Wyspa miałaby powstać na pokładzie frachtowca, który zawijałby do portu dwa razy w roku podczas świąt. W pozostałe dni krewni mogliby dostać się do zmarłych promem.

Z bliższych nam kulturowo Włoch pochodzi koncepcja chowania zwłok w biodegradowalnych kapsułach, które trafiają bezpośrednio do ziemi. Nad kapsułą sadzone jest drzewo jako naturalny pomnik pochowanej osoby. We Włoszech wolno też rozsypać prochy w naturze i na terenach prywatnych, o ile spełnione są określone warunki. Wolno także przechowywać urnę z prochami w domu.

W ubiegłym roku w Süssen na południu Niemiec otwarto Campus Vivorum – modelowy cmentarz przyszłości. Ma on inspirować do takiego projektowania nekropolii, aby lepiej

wspierały przeżywanie żałoby. Campus Vivorum to miejsce dla żywych i umarłych. Zapewnia przestrzeń do medytacji, ale i do wspólnego spędzania czasu. Kluczową rolę w tej koncepcji odgrywa terapeutyczna rola przyrody.

Niemieckie nekropolie od lat wdrażają idee zrównoważonego rozwoju. Prowadzone są zaawansowane prace nad metodą pochówku polegającą na kompostowaniu ciał. Pierwszy na świecie obiekt, w którym możliwa jest „naturalna redukcja organiczna” ludzkiego ciała po śmierci, powstał w 2021 r. w Seattle; dotychczas zalegalizowano tę metodę w 12 stanach USA.

W trumnie czy w urnie

W Polsce co roku umiera ok. 400 tys. osób. Jesteśmy w gronie najszybciej starzejących się Europejczyków. Z prognozy demograficznej GUS wynika, że w 2045 r. liczba zgonów przekroczy pół miliona.

Z raportu Unii Metropolii Polskich zatytułowanego „Miejskie nekropolie” (Warszawa, 2023) wynika, że połowa Polaków opowiada się za ograniczeniem pochówku w trumnie na rzecz pochówku w urnach, jak



Poznański cmentarz Miłostowo zaadaptował ideę pochówku w urnach biodegradowalnych na kwaterach wśród drzew, w tzw. lesie pamięci.



Nie każdy odwiedzający nekropolię rezygnuje ze sztucznych kwiatów.



Wszyscy mamy wpływ na los cmentarnej przyrody.

pochówki urnowe stanowiły 60% pogrzebów na cmentarzach komunalnych w 12 miastach zrzeszonych w UMP. W Warszawie w ostatnich latach to aż 70% pogrzebów. Wynika to m.in. ze względów ekonomicznych, zmian światopoglądowych i zmniejszania się dostępnej powierzchni na groby. W Krakowie, gdzie znajduje się 13 cmentarzy komunalnych, odbywają się licytacje miejsc pod groby murowane oraz nisze urnowe.

Pochówki ekologiczne (łąki/ogrody pamięci, cmentarze leśne, rozsypywanie prochów poza cmentarzem lub trzymanie urny w domu) popierają głównie osoby w wieku do 50 lat, wykształcone, z Polski zachodniej. W Poznaniu od 50 do 100 osób rocznie chowa się, rozsypując ich prochy na terenie cmentarnego ogrodu. Przeciwnicy tej formy pochówku mówią o braku poszanowania godności

człowieka, przeciw jest też silne lobby branży pogrzebowej, która zatrudnia ok. 100 tys. osób. Rynek funeralny według portalu Money.pl wart jest ok. 4-5 mld zł. Pochówek ekologiczny to niższe koszty pogrzebu, co oznacza mniejszy zysk firm pogrzebowych.

Gdy kilkanaście lat temu zwieźdżałam z rodziną Park Narodowy Dartmoor w angielskim hrabstwie Devon, zatrzymaliśmy się na jednym z wichrowych wzgórz, z którego rozciągał się wspaniały widok na dolinę i okoliczne wioski. Nieopodal, na parkingu, stało w milczeniu kilkanaście osób. Jedna z nich sypała garściami pył prosto w przepaść. „Czemu oni tak kurzą?”, powiedziałam półgłosem do męża. Dopiero kiedy w ślad za popiołami pofrunęły w przepaść wiązanki świeżych kwiatów, zorientowaliśmy się, że jesteśmy świadkami pogrzebu.

Zgodnie z brytyjskim prawem prochy można rozsypać w naturze, jeśli został powiadomiony o tym właściciel terenu i nie będzie zakłócała prywatności innych osób. W Polsce obowiązuje mająca już 65 lat ustawa, która zakazuje pochówków poza cmentarzem. Projekt nowej, której procedowanie miało nastąpić w ubiegłym roku, był w tym zakresie konserwatywny. Liberalne podejście proponowali społecznicy z (Nie)zapomnianych cmentarzy. Nazywając tradycyjne chowanie na cmentarzu „potwornie nieekologicznym”, postulowali, by każdy miał prawo do takiego pochówku, jakiego chce, także przez rozsypywanie prochów lub pochówek ekologiczny. Z kolei autorzy raportu UMP wskazują, by oprócz uregulowania kwestii kremacji i alternatywnych form pochówku dążyć w perspektywie kilkunastu lat do zakazu wnoszenia na teren cmentarzy dekoracji.

Cmentarz pełen życia

Oba poznańskie cmentarze komunalne, Junikowo i Miłostowo, zaadaptowały ideę pochówku w urnach biodegradowalnych na kwaterach usytuowanych wśród drzew, w tzw. lasach pamięci. Nie ma tam nagrobków. Na życzenie rodziny ▶

również za zastępowaniem tradycyjnych nagrobków kamieniami i drzewami. 40% popiera rozsypywanie prochów poza cmentarzem, ale tylko co trzeci Polak poparłby prawo do trzymania urny w domu lub rozsypywania prochów na cmentarzu.

Pochówek urnowy to jedyna rewolucyjna zmiana w obyczajach cmentarnych w ostatnich latach. Przetomowy był wybuch pandemii COVID-19. W 2021 r. wykonano 200 tys. kremacji. W 2022 r.

imiona i nazwiska zmarłych mogą zostać umieszczone na tabliczkach przytwierdzonych do polnych kamieni i tylko przy nich wolno zapalić znicz lub złożyć kwiaty. Można usiąść na ławce, wsłuchać się w szum lasu.

Taką formę pochówku wybrała dziennikarka Ewa Wanat, której pogrzeb odbył się w styczniu br. na Miłostowie. – Chciała, żeby „coś na niej wyrosło i żeby inne istnienia mogły się nią pożywić” – wyjaśnia motyw Ewy jej siostra, Joanna Wanat. Zdradza, że Ewa najchętniej spoczęłaby naga bezpośrednio w ziemi. – Szybko zorientowaliśmy się jednak, że u nas to niemożliwe. Kremacja była nieunikniona i prawdą jest, że nieco zubożyła potencjał organiczny, by stać się częścią przyrody, zatoczyć koło w kosmosie, ale było to zdecydowanie najbliższe woli Ewy, zwłaszcza że martwiła się, iż jej ciało, które otrzymało bardzo ciężką chemię, mogłoby wyrządzić w przyrodzie więcej szkód niż korzyści. Takie prowadziłyśmy rozmowy.

Miłostowo należy do największych cmentarzy w Polsce (99 ha), co przekłada się na bogactwo przyrodnicze. – Cmentarz miłostowski wyróżnia się wielkością i położeniem na



Cmentarze stały się ulubionym miejscem bytowania niektórych gatunków ptaków. Prof. Tryjanowski wymienia sowę uszatkę, dla której wysokie cmentarne świerki są świetnym stanowiskiem zimowania. Można ją spotkać zarówno na Miłostowie, jak i na Junikowie. Zniczek, jeden z najmniejszych ptaków Europy, również preferuje cmentarze ze względu na świerki. Kos zakłada gniazda na nagrobkach. Kulczyk, kolejny amator cmentarnych świerków, lubi też pośpiewać na robinach akacjowych. Gawrony, wyganiane z miejskich parków, chętnie migrują na nekropolie. – Nie tylko

Na cmentarzach przyjęły się już zniczodzielnie, czyli stojaki ze zniczami do ponownego użycia.

cmentarza to kłopot. Dziaki rozkopują teren, sarny zjadają kwiaty z grobów. Montowane są samozaamykacze, dziury w płotach łatanie. Stosuje się też repelenty odstraszaające zwierzynę.

Inną przyczyną szkód na cmentarzach są wichury. Powalone drzewa niszczą nagrobki, więc zarządcy nekropolii komunalnych dokonują regularnych przeglądów drzewostanu,

stosując cięcia pielęgnacyjne. Inaczej wygląda to na cmentarzach parafialnych. Rewitalizacje wykonywane na życzenie parafian nierzadko kończą się nielegalnymi wycinkami, jak to miało miejsce w Nowej Wsi Etckiej, gdzie ścięto 269 drzew; gmina Etka nałożyła na proboszcza karę w wysokości prawie 2 mln zł.

Wszyscy mamy wpływ na los cmentarnej przyrody. Wyszorowany preparatami chemicznymi pomnik, sól na ścieżce jako środek na chwasty, a ostatnio coraz popularniejszy „dywanik” z polbruku – to dowody naszej troski o zmarłych. Ale czyszcząc, niszczymy. Warto więc się zastanowić, czy zadbane grób jest ważniejszy niż ocalona przyroda.

Walka ze śmieciami

1 listopada groby rozbłysną światłami, szarość przełamają kolorowe chryzantemy. Minie kilka dni, pozostaną tony odpadów. Według Stowarzyszenia Polski Recykling na każdy grób przypada po Święcie Zmarłych 3-9 kg śmieci. Najczęściej bez segregacji. Rocznie nekropolie wytwarzają 100-120 tys. ton odpadów.

Cmentarna codzienność to zakurzone sztuczne kwiaty, osmalone znicze, suche, połamane przez wiatr rośliny w doniczkach. Tylko gdzieniegdzie opiekunowie grobu decydują się na bluszcz, trzmielinę, sukulenty.

Dr inż. Natalia Miler z Pracowni Ogrodnictwa na Wydziale Rolnictwa

Za zakazem umieszczania plastikowych zniczy, kwiatów i ozdób na grobach opowiada się 44% Polaków.

peryferiach miasta, przy klinie zieleni, przy czym wielkość odgrywa tu kluczową rolę. Upraszczając, im większy obiekt, tym cenniejszy przyrodniczo, nawet jeżeli jest częściowo zagospodarowany – tłumaczy prof. Piotr Tryjanowski, kierownik Katedry Zoologii Wydziału Medycyny Weterynaryjnej i Nauk o Zwierzętach Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

Z badań wynika, że zwierzęta na cmentarzu zachowują się nieco inaczej niż w parku, są ufniejsze. Tu panuje cisza, nikt nie uprawia joggingu, nie spaceruje z psami, których inne zwierzęta bardzo się boją.

ptaki wzbogacają cmentarny, a co za tym idzie, miejski ekosystem. Na pogrzeby przynosimy świeże kwiaty, które wabią dzikie zapylacze. Stare nagrobki są siedliskiem ślimaków, które czerpią z nich wapń do budowania skorupki – uzupełnia profesor. Podkreśla, że właśnie polskie badania należą do najczęściej cytowanych prac w literaturze naukowej dotyczącej przyrody nekropolii.

Na Miłostowie najłatwiej spotkać wiewiórki, pojawiają się także dziki, borsuki, kuny i sarny, które przychodzą z pobliskiego lasu przez dziury w ogrodzeniu. Dla zarządców

i Biotechnologii Politechniki Bydgoskiej zajmuje się tworzeniem nowych odmian chryzantem, powszechnie uważanych za jednorazowe. Chciałaby dać swoim chryzantom drugie życie poza cmentarzem. – Chryzantema jest byliną, pochodzi z umiarkowanych pod względem klimatycznym terenów wyżynnych w Chinach, czyli z klimatu nieco ostrzejszego niż nasz – mówi. – Dorodne chryzantemy wielkokwiatowe, tzw. kule, nie poradzą sobie w gruncie zimą. A nawet jeśli przetrwają do wiosny, nie zakwitną ponownie, ponieważ w polskich warunkach nie zdążą wykształcić kwiatostanu przed zimą. Inaczej jest z chryzantemami średnio- i drobnokwiatowymi. Odmiany z grupy Gardy wyhodowane na Politechnice Bydgoskiej to prze-testowane w gruncie mieszańce szklarniowo-ogrodowe, więc powinny przetrwać zimę. Wystarczy posadzić je w zdrenowanym doniku i podlewać do pierwszych przymrozków. Nie przycinać aż do cieplejszych dni wiosny. – O tej porze roku żółte, łososiowe czy różowe Gardy mogłyby być pięknym uzupełnieniem ogrodu. To subtelny ogrodowy impresjonizm – zachęca dr Miler.

Niestety, bydgoskich chryzantem nie ma jeszcze w sprzedaży. Uczelnia

pracuje nad tym, by skomercjalizować prawo do ich produkcji. Zainteresowanie wśród producentów jest duże. – Przede wszystkim nie kupujemy sztucznych kwiatów, to grzech przeciwko przyrodzie i estetyce – podsumowuje dr Miler. – Problemem są też plastikowe doniczki, wyrzucane razem z rośliną. Jest pomysł, żeby zastąpić je pojemnikami ze sprasowanego torfu.

Za zakazem umieszczania plastikowych zniczy, kwiatów i ozdób na grobach opowiada się według raportu UMP aż 44% Polaków. Jest z czym walczyć – z produkowanych co roku ok. 300 mln zniczy ponad połowa trafia na krajowy rynek. Niestety, szklane znicze nie nadają się do recyklingu, bo skład chemiczny szkła, z którego są produkowane, jest inny niż butelek. Dlatego na wielu cmentarzach przyjęty się już zniczodzielnie, czyli stojaki ze zniczami do ponownego użycia.

A drugie życie plastikowego wkładu, zabrudzonego parafiną i woskiem? Dodatek parafiny nie przeszkadza w recyklingu. Mimo to znicze i wkłady i tak trafiają do pojemników na odpady zmieszane, chociaż odpady komunalne powinny podlegać selektywnej zbiórce. Większość nekropolii nie radzi sobie

z segregacją. Zarządcy cmentarzy komunalnych sygnalizują potrzebę społecznej kampanii informacyjnej na temat odpadów, z instrukcją, jak je rozdzielać na poszczególne frakcje (np. druciki, plastik i biomasę z wiązane). Potrzebne jest także lepsze oznakowanie pojemników. Przydałyby się poza tym działania edukacyjne w parafiach, mające na celu ograniczenie liczby przynoszonych zniczy i kwiatów. Kto, jak nie ksiądz, ma moralne prawo nauczać, że ważniejszy od materialnego jest duchowy wymiar pamięci?

Poeta

Chciał mieć skromny grób na Powązkach, spocząć w cieniu drzew, w towarzystwie ptaków, które gościły w jego wierszach; tuż przy rodzicach, obok których wykupił kwatery. Ale prymas Glemp miał inne plany – ks. Jana Twardowskiego pochowano w panteonie Polaków w podziemiach Świątyni Opatrzności Bożej, która w roku jego śmierci (2011) była wielkim placem budowy. I tak oto dostała się wielkiemu poecie „trumna jak pacetyk”, której wcale nie pragnął.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

Pamiętamy

Na przełomie października i listopada wspominamy tych, którzy odeszli, a wcześniej z nami współpracowali, wspierali nas radą, zapisali się w historii „Przeglądu”. W ostatnim roku pożegnaliśmy **dr. Feliksa Walichnowskiego** – nestora dziennikarstwa olsztyńskiego, zmarłego 2 kwietnia. Urodzony w Warszawie, jako 16-latek przyjechał do Olsztyna i pokochał Warmię i Mazury. Był m.in. redaktorem naczelnym ogólnopolskiego tygodnika „Panorama Północy”. Jako doktora socjologii interesowały go powojenne losy mieszkańców Warmii i Mazur oraz pionierów przybywających na tereny byłych Prus Wschodnich. Pisał o tym w „Przeglądzie”, w książkach i innych publikacjach. 19 marca 2024 r. zmarł **Tadeusz Zakrzewski** – błyskotliwy reporter, autor kilkuset felietonów, reportaży, filmów dokumentalnych, wywiadów i książek, które prezentowaliśmy w „Przeglądzie”.

Żegnamy również przyjaciół „Przeglądu”: **Jacka Barcza** (zm. 19 września 2024 r.) – znakomitego fotoreportera m.in. „Sztandaru Młodych”, **Zdzisława Góralczyka**

(14 lipca 2024 r.) – wybitnego znawcę Chin, dyplomata, byłego ambasadora RP w Pekinie, **prof. Hieronima Kubiaka** (22 kwietnia 2024 r.) – socjologa, członka założyciela Klubu Twórców i Działacza Kultury „Kuźnica”, wieloletniego prezesa Stowarzyszenia „Kuźnica”, oraz **Wojciecha Łazarka** (13 grudnia 2023 r.) – trenera piłkarskiego, selekcjonera reprezentacji Polski w latach 1986-1989.

W tym roku przypadają okrągłe rocznice śmierci osób związanych z „Przeglądem” i „Przeglądem Tygodniowym” – autorów, laureatów naszych nagród, przyjaciół: **Anny Tatarkiewicz** (11 sierpnia 2019 r.), **Ireneusza Łęczka** (25 września 2014 r.), **Justyny Hofman-Wiśniewskiej** (21 września 2014 r.), **Małgorzaty Tabaki** (13 września 2014 r.), **Tadeusza Rózewicza** (24 kwietnia 2014 r.), **prof. Janusza Stannego** (13 lutego 2014 r.), **prof. Zbigniewa Religi** (8 marca 2009 r.), nieocenionej **Zosi Sitnik** (3 stycznia 2009 r.), **Jerzego Dudy-Gracza** (5 listopada 2004 r.), **Jacka Kuronia** (17 czerwca 2004 r.), **Aleksandra Małachowskiego** (26 stycznia 2004 r.) i **prof. Zofii Kuratowskiej** (8 czerwca 1999 r.).

Odeszli, ale zostali w naszej wdzięcznej pamięci.

Halszka Witkowska,
Monika Tadra

Dlaczego – to słowo, które towarzyszy zjawisku samobójstwa najczęściej. Pytanie o powody dobrowolnej śmierci zajmuje nie tylko naukowców i badaczy, ale przede wszystkim rodziny, które straciły bliską osobę w wyniku śmierci samobójczej. (...) Według najnowszych badań szacuje się, że nawet 135 osób z otoczenia człowieka, który odebrał sobie życie, jest narażonych na negatywne emocjonalne konsekwencje związane z tą śmiercią. Każda z nich będzie przeżywać żalobę na swój sposób. Sposób radzenia sobie ze stratą zależy od wielu elementów, między innymi od osobowości, indywidualnych umiejętności, wcześniejszych doświadczeń, etapu rozwoju. Nie bez znaczenia będą także relacje, które łączyły te osoby ze zmarłym, oraz okoliczności, takie jak miejsce, w którym doszło do tragedii, ostatni kontakt i rozmowa, ale również kto jako pierwszy był na miejscu zdarzenia. Gdy człowiek umiera śmiercią samobójczą, fala uderzeniowa tej tragedii promieniuje na wiele kilometrów, przynosząc ból, chaos, niezrozumienie, poczucie winy i samotności.

Za każdym samobójstwem stoi indywidualna historia. Możemy powiedzieć tak: samobójstwo nie określa życia człowieka, bo to, w jaki sposób on umarł, nie powoduje, że całe jego życie powinno być oglądane poprzez pryzmat jego śmierci, ale z pewnością możemy powiedzieć, że na śmierć w takich okolicznościach składa się całe jego życie. (...)

Wśród badaczy zajmujących się tematyką samobójstw przyjęło się stwierdzenie, że osoby, które popełniają samobójstwo, nie robią tego dlatego, że chcą umrzeć, tylko dlatego, że nie mogą dalej żyć. Ból psychiczny, który im doskwiera, zabiera możliwość dalszego funkcjonowania. Na ten rodzaj bólu, który często pozostaje niewidoczny dla otoczenia, składa się w dużym stopniu poczucie beznadziejności. Ma ono podwójny wymiar. Z jednej strony osoba w kryzysie samobójczym czuje się

Zaczęło się od rysunków o śmierci

Żeby nauczyciel mógł skutecznie pomóc, musi sam otrzymać pomoc. Dobry ratownik to żywy ratownik



beznadziejna, bezwartościowa, nikomu nieprzydatna. W tym drugim rozumieniu wymiar beznadziejności odnosi się bardziej do oceny przyszłości, która nie zakłada poprawy życia, jedynie jego pogorszenie. A to właśnie nadzieja często pomaga nam poradzić sobie z najtrudniejszymi sytuacjami.

Do tego dwuwymiarowego poczucia beznadziei dochodzi jeszcze poczucie bezradności. To szalenie przytłaczające przeżycie, kiedy zdaje nam się, że na nic nie mamy wpływu. Jest bardzo trudno podjąć jakąkolwiek decyzję. W pewnym momencie nawet najmniejsze codzienne sprawy związane z tym, że musimy dokonać jakiegoś wyboru, paraliżują nas zupełnie. Pograżona w tym paraliżu osoba, odczuwająca nasilający się ból psychiczny, doświadcza jeszcze ogromnego poczucia winy. Ma wrażenie, że wszystko złe, co ją w życiu spotkało, jest jej winą, a wszystkie momenty, kiedy bliscy cierpieli, są spowodowane jej złym postępowaniem. Do tego należy dodać również, że osoba planująca samobójstwo, aby podjąć próbę

samobójczą, musi obudzić w sobie pewne pokłady agresji, tylko zamiast kierować ją na zewnątrz, zaczyna zwracać ją ku samej sobie.

Miejsce, w którym znajduje się człowiek w kryzysie samobójczym, jest bardzo ciemne. Aby je lepiej zrozumieć, należy na chwilę założyć czarne okulary. Gdy już to zrobimy, warto, abyśmy pamiętali, że dla osoby w kryzysie czas płynie inaczej. Z jednej strony może on się niemiłosiernie rozciągać. Każda kolejna godzina trwa niczym tydzień, bo jej statym składnikiem są intensywne myśli samobójcze. Weekend może być odczuwalny jak miesiąc. W trakcie upływającego czasu w głowie osoby w kryzysie samobójczym wciąż pojawiają się myśli takie jak: „Nie mam już siły”, „Jestem wyczerpany”, „Nie dam rady”, „Jestem beznadziejna”, „Jestem ciężarem dla innych”, „Nie ma żadnej możliwości, abym poprawiła swoje położenie”. (...) Osoba w kryzysie samobójczym nie myśli wtedy, jak dużo cierpienia przysporzy najbliższemu, jest raczej skupiona na tym, jak dużo tego cierpienia im zaoszczędzi. (...)

Czy chłopcy, o których będziemy rozmawiać, byli bezpośrednio pani uczniami?

– Tak. Pracowałam wtedy w zespole szkół, w skład którego wchodziły: liceum, technikum i szkoła zawodowa. Uczylałam na każdym poziomie i w każdej z tych szkół. (...) Zaczęłam od tego, który pojawił się w moim życiu jako pierwszy. Dostałam wtedy wychowawstwo w pierwszej klasie liceum. On przyszedł z innej szkoły, w której nie ukończył klasy. W pewnym momencie zauważyłam, że w jakiś sposób nie dogaduje się z pozostałymi uczniami, że między nimi jest jakaś bariera, coś tam się dzieje niedobrego. Zaczęłam się temu bardziej przyglądać. Zauważyłam, że w trakcie lekcji Piotr rysuje. Nigdy mi nie przeszkadzało, że uczniowie to robili, rozumiem, że oni mają czasem taką potrzebę. Natomiast któregoś dnia siedział blisko mojego biurka i zwróciłam uwagę na to, co rysuje. Zobaczyłam, że to były rysunki o śmierci, na których dominował czarny kolor. Rysował czarnym długopisem albo ołówkiem. Jeżeli pojawiał się jakiś inny kolor, to był to tylko czerwony, którym rysował krew. Bardzo mnie to zaniepokoiło. Pamiętam, że poszłam wtedy do szkolnej pedagoga i powiedziałam jej o tym. Nie podobało mi się to i intuicyjnie czułam, że to jest niebezpieczne. Wtedy w ogóle nie mówiło się w szkołach o samobójstwach wśród dzieci i młodzieży.

Wtedy, czyli kiedy?

– (...) Jakies 12 lat temu. Wtedy temat samobójstw wśród młodzieży nie istniał, nikt o tym nie rozmawiał. Niestety, mam poczucie, że obecnie ten temat nadal jest bardzo trudny dla szkoły i dla nauczycieli. Wówczas to w ogóle było tabu. Całe szczęście, że u mnie w szkole była mądra pedagoga, dobrze współpracująca z nauczycielami. Mogłyśmy o tym porozmawiać i zastanowić się, co zrobić. Doszłyśmy do wniosku, że przede wszystkim należy tę sytuację zgłosić dyrektorowi, żeby wiedział, co się dzieje z jego uczniem. Druga rzecz to oczywiście konieczność rozmowy z rodzicami. Mieszkamy w małej miejscowości, więc dosyć szybko dotarli do nas informacje, że w tym

domu bywa różnie. Natomiast dzisiaj już wiem, że samobójstwo nigdy nie jest następstwem jednej przyczyny. Poprosiłam mamę, żeby przyszła do szkoły. Rozmawiałyśmy z nią wspólnie z pedagogką, została nawet sporządzona notatka służbowa z tego spotkania. Prosiłyśmy ją, żeby zajęła się synem, żeby poszukała dla niego wsparcia psychologicznego.

Starałam się sobie przypomnieć, czy wtedy pojawiał się temat psychiatry dla młodzieży. Ale chyba nie przeszedł mi przez myśl psychiatra. Na pewno była rozmowa o terapii, o psychologu. Sugerowałyśmy wizytę w poradni psychologiczno-pedagogicznej. Wtedy, o ile dobrze pamiętam, nie było w naszej miejscowości żadnych gabinetów prywatnych. Czyli jedynym właściwym

Piotr faktycznie sporo ze mną rozmawiał, dużo mówił i miałam poczucie, że po rozmowie jest mu lepiej.

miejsmem, gdzie rodzic mógł się zgłosić, była wspomniana poradnia. Jego mama się do tego zobligowała. Ale tak się nie zdarzyło. Cały czas ją o to dopytywałam, cały czas naciskałam, bo ciągle słyszałam od niej przez telefon, że jeszcze nie znalazła psychologa. Tymczasem ja obserwowałam Piotra i to, co się z nim działo. Jednocześnie proponowałam mu udział w zajęciach teatralnych.

W szkole czy poza nią?

– W szkole. Prowadziłam wtedy grupę teatralną. Pomyślałam, że może warto spróbować wciągnąć go w to, co robię. Zaczął przychodzić do mnie na zajęcia. Bardzo chętnie brał w nich udział i nie pamiętam, żeby kiedykolwiek nie przyszedł, był zawsze. Na tych zajęciach pojawiło się coś, co jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu, że to, co się z nim dzieje, jest bardzo niepokojące, niebezpieczne i to może się źle skończyć. Każda scena improwizowana kończyła się śmiercią. Każda. Wystarczyło, że pozwoliłam na improwizację, i nie pamiętam sceny w jego wykonaniu, która miałaby inne zakończenie. Znowu poszłam do pedagoga, znowu dzwoniłam do mamy.

Trwało to chyba pół roku. Mama w pewnym momencie powiedziała, że już znalazła psychologa i Piotr idzie na wizytę. Potem zapytałam go, czy był, i powiedział, że tak. Natomiast wiem, że był tam tylko raz. Mama już nie zdecydowała się zaprowadzić go tam ponownie i zadbać o to, żeby coś się wydarzyło w tym kierunku. Ja nadal naciskałam i naciskałam. Mama natomiast ciągle mnie zwodziła. I w pewnym momencie postanowiła, że przeniesie Piotra do innej szkoły. Jeszcze próbowałam z nią rozmawiać, przekonać, że to może nie jest dobry pomysł, że czuję, że mam z nim relację, która być może mu pomaga. Piotr faktycznie sporo ze mną rozmawiał, dużo mówił i miałam poczucie, że po rozmowie ze mną jest mu lepiej. Często

przychodził do mnie podczas przerwy, tak po prostu wchodził, czasami tylko milczał. Ja mówiłam: „Chodź, Piotr, siadaj, pogadamy, jeśli potrzebujesz. Jak chcesz milczeć, to pomilczymy”. Kiedy mama powiedziała, że go zabiera, tłumaczyłyśmy jej razem z pedagogką, że to nie będzie dla niego dobre, i prosiłyśmy, żeby tego nie robiła. Naprawdę intuicyjnie czułam, że w jakiś sposób go trzymam, że ta relacja ze mną jest tym, co mu pomaga, bo ma kogoś, kto faktycznie jest nim zainteresowany.

Czemu mama chciała go przenieść do innej szkoły?

– Bo ja naciskałam na tego psychologa. Dlatego później miałam wyrzuty sumienia. Myślałam, że może gdybym tak nie naciskała, to ona by go zostawiła i być może wszystko skończyłoby się inaczej. Chociaż oczywiście tego nie wiem. I ona zabrała Piotra, zmieniła mu w ogóle szkołę. Wiem, że on bardzo chciał skończyć liceum, ale przeniosła go do szkoły zawodowej. Później bardzo długo to sobie wyrzucałam. Zastanawiałam się, czy ja powinnam tak na nią naciskać. Jak to mówię, to wciąż ściska mnie za gardło, bo może to nie był dobry pomysł, że ja ▶

► wtedy tak mocno prosiłam o wsparcie, o pomoc dla niego.

Wspomniała pani o szkolnej pedagogice. Czy ona się z nim spotykała, rozmawiała, czy nie było takiego wsparcia?

– To nie były jeszcze te czasy. Dopiero później pojawił się w ustawie o oświacie temat pomocy psychologiczno-pedagogicznej. Ona nie pracowała z nim w szkole, nie spotykała się z nim. Niestety, to był moment, kiedy wsparcia psychologiczno-pedagogicznego w szkołach nie było. Pedagog był bardziej od rozwiązywania problemów wychowawczych, bo uczniowie się pobili, bo ktoś nie chodzi do szkoły, bo ktoś uciekł i tak dalej. Natomiast nie było takiej pracy, jaka jest teraz, ponieważ dziś jest jednak obowiązek wynikający z ustawy. Ale też nie wszędzie to działa tak, jak powinno.

Czyli miał tylko panią?

– Tak, miał mnie. Później, kiedy zaczęłam o tym myśleć, doszłam do wniosku, że byłam w jakiś sposób dla niego ważna, że byłam tą osobą, która trzymała go trochę na powierzchni, trzymała go przy życiu. **Piotr otwierał się przed panią, mówił cokolwiek o swoich problemach?**

– Pamiętam, że mówił czasem, że nie bardzo wie, co się z nim dzieje, że czuje się dziwnie, ale on po prostu „tak ma”. Pewnego dnia powiedział,

że dużo grał w gry komputerowe, i jak zaczęłam go o to dopytywać, w pewnym momencie przyznał, że ma takie poczucie, że uzależnił się od tych gier. Dużo mówił, ale to były takie pojedyncze rzeczy, które dopiero po jakimś czasie składałam w całość, kiedy łączyłam te wszystkie kropki. Któregoś dnia powiedział, że w domu też jest tak... Nie dopowiedział, o co chodzi, ale wyczułam, że w domu dzieje się coś niedobrego.

Jego ojciec przychodził do szkoły?

– Nie, tylko mama się z nami kontaktowała. Tam był jakiś konflikt rodzinny, dość poważny, z tego, co wiem. To jest małe miasto, więc ludzie sporo wiedzą i pewne rzeczy do

może, gdyby ona miała więcej siły, pomogłaby też swojemu dziecku. Myślę, że ona w tym wszystkim była bardzo zagubiona. Jak sobie przypominam rozmowy z nią, widzę jej wystraszenie, zahukanie. (...) Myślę, że była w kryzysie i potrzebna była pomoc systemowa dla całej rodziny.

Mama zabrała Piotra ze szkoły jeszcze w pierwszej klasie?

– Tak, postanowiła go zabrać po półroczu. Nawet później, bo to chyba był kwiecień, więc niewiele mu zostało w tej pierwszej klasie, bo niecałe trzy miesiące. Wyrwała go z miejsca, w którym moim zdaniem było mu dobrze, w którym być może udałoby się nam mu pomóc.

Mówił czasem, że nie bardzo wie, co się z nim dzieje, że czuje się dziwnie, ale on po prostu „tak ma”.

nas docierały. Tam się działo dużo trudnych dla dzieciaków rzeczy. To nie był alkohol, ale przemoc taty, głównie werbalna, psychiczna, w stosunku do dzieci i do mamy. Mama była bardzo zagubiona, mocno stłamszona. To jest taki wątek, o którym pomyślałam, że powinnam była się nim wtedy zająć, chociaż może nie do końca było to moje zadanie. Uważam, że bardzo brakowało wsparcia dla mamy. Być

Wspomniała pani o trudnych relacjach z klasą. Czy one zmieniły się, zanim Piotr odszedł ze szkoły?

– Bardzo nad tym pracowałam i uczniowie na tyle, na ile mogli, też się starali. Miałam wrażenie, że oni też czują i widzą, że jemu jest potrzebna pomoc. Ich relacje może nie były idealne, natomiast na pewno nie były przemocowe. A nawet były trochę wspierające. Myślę, że one były bezpieczne. To jest chyba dobre słowo, że te relacje były dla niego bezpieczne. Na początku mówili, że on jest dziwny. Później przestał być dziwny, był kimś, kto taki jest i koniec. W pewnym momencie pojawiła się u nich duża uważność. Jeśli pojawiał się jakiś problem, jakiegokolwiek trudne sytuacje, to przychodzili do mnie i mówili: „Sorka pogada z Piotrem, bo to, bo tamto”. Czasem miał wybuchy złości i na przykład zanim mi o tym powiedział, to już od klasy wiedziałam, że coś się wydarzyło. Teraz mi się przypominało, jak przyniósł do szkoły nóż w plecaku. Oni mi o tym powiedzieli. Ściągnęłam go do siebie do pracowni i rozmawialiśmy, w rezultacie oddał mi ten nóż. Myślę, że było stabilnie w tej klasie. (...)

Pamięta pani ten dzień?

– Pamiętam. To były wakacje. Pojawilo się ogłoszenie, że go szukają.



Ja już wiedziałam, to był ten moment, kiedy już całą sobą wiedziałam, co się stało. Pamiętam, że wtedy się rozsy-
pałam. Szukali go tydzień i znaleź-
li. Naprawdę to był moment, kiedy
poczułam, że zawałam. Zawałam,
bo może nie powinnam naciskać.
Zacząłam wyrzucać sobie strasznie
dużo rzeczy, że może nie podjęłam
wszystkich działań, może powinnam
to gdzieś zgłosić i tak dalej.

Wciąż widzę jego twarz. Chyba naj-
trudniejsze dla mnie jest to, że widzę,
jak go znaleźli, mimo że mnie tam nie
było. To jest we mnie tak głębokie, że
jestem tym bardzo zaskoczona. Ktoś
może powiedzieć, że przecież to był
tylko mój uczeń. Mało tego, ja już go
wtedy nie ucyłam, już nie mieliśmy
kontaktu. Jednak to siedzi we mnie
bardzo mocno. To chyba też wynika
z tego, że we mnie pojawiło się duże
poczucie winy. Obwiniłam się o to,
co się stało, bo przecież wiedziałam,
czułam od samego początku, napraw-
dę całą sobą czułam, że Piotr zmierza
do samobójstwa. Dopiero niedawno
doszłam do tego, że zrobiłam wte-
dy wszystko, co mogłam i umiałam
zrobić. Jednak mimo wszystko jest to
we mnie. Tyle lat minęło, a ja to cały
czas wątkuję, cały czas o tym opowia-
dam. Niby wiem, że zrobiłam wszyst-
ko, a jednak mam poczucie, że może
mogłam więcej, że może gdybym nie
naciskała, to on by został w naszej
szkole. Może to by się inaczej ułożyło,
może znalazłabym sposób, żeby mu
pomóc.

Jaka była reakcja jego kolegów?

– To były wakacje. Oni się dowie-
dzieli, bo zrobiło się o tym głośno
w mieście. To był moment, kiedy
opisywano wszystko ze szczegółami,
że znaleziono, że się zabił i tak dalej.
Ja się z nimi spotkałam dopiero we
wrześniu. To jest kolejny element,
że te dzieciaki zostały z tym tema-
tem same. I to też była rzecz, o której
pomyślałam dopiero później. Moja
rozmowa z nimi trochę spóźniona. Myślę, że
była dla nich ważna, bo rozmawia-
ła z nimi osoba dorosła, natomiast
miałam poczucie, że oni to już mają
w jakiś sposób przepracowane. Nie
wiem, czy to w ogóle dobre słowo.
Ale oni już to w jakiś sposób oswoi-
li, ponieważ minęło trochę czasu.

Czy pani z kimś o tym rozmawiała?

– To jest istotny wątek. Zapomina-
my o tym, że śmiercią samobójczą
dotknięta jest nie tylko klasa, nie tyl-
ko dzieci. My, jako nauczyciele, rzuca-
my się z pomocą skierowaną przede
wszystkim do uczniów, zapominając,
że to dotyka wszystkich. Żeby nauczy-
ciel mógł skutecznie pomóc, musi
sam otrzymać pomoc. Dobry ratow-
nik to żywy ratownik, więc ważne jest,
żeby zadbać w tym kryzysie o nauczy-
cieli. Wtedy dopiero możemy oczeki-
wać, że będą dźwigać trudne rzeczy.
Mną nikt nigdy się nie zaopiekował.
Nikt nigdy nie zapytał, jak się z tym
czuję. Tak naprawdę zostałam sama.
I mimo upływu lat to we mnie wciąż
rezonuje, ciągle wraca. Kiedy szko-
łę nauczycieli i między innymi roz-
mawiamy o kryzysach, opowiadałam

– Wtedy robiłam wszystko, co
mogłam. Czy dzisiaj zrobiłabym coś
więcej? Myślę, że tak. Na pewno ina-
czej rozmawiałabym z mamą i robi-
łabym wszystko, żeby ona dostała
wsparcie, bo była pierwszym ogni-
wem dla swojego syna. Oczywiście
on jak najbardziej był w relacji ze
mną, natomiast należało przełożyć
trochę sił i energii na mamę, która
była osobą decydującą. To ona decy-
dowała o tym, co się wydarzy, o tym,
czy on dostanie pomoc psycholo-
giczną, czy nie. Wiedziała o jego pro-
blemach i mogła to zrobić. Dzisiaj są
inne możliwości odnośnie do terapii,
więc pewnie byłoby to dużo łatwiej-
sze. Myślę też, że dziś nie zawahała-
bym się zrobić jednej rzeczy, a wtedy
w ogóle nie miałam pojęcia, że mogę
to zrobić. Dzisiaj, gdybym zobaczyła

Osoby, które popełniają samobójstwo, nie robią tego dlatego, że chcą umrzeć, tylko dlatego, że nie mogą dalej żyć.

o tym i nie przypominam sobie sytu-
acji, żebym się nie rozplakała.

I za każdym razem jestem za-
skoczona, że to się znowu dzieje.
Tak samo jest dzisiaj, gdy rozmaw-
iam z panią. Wtedy bardzo mi za-
brakło wsparcia. Nawet nie chodzi
o profesjonalne wsparcie, ale o to,
żeby ktoś zapytał, jak się czuję, żeby
ktoś wtedy pozwolił mi opowiedzieć
o tym, co się u mnie dzieje. (...)

Dostała pani wsparcie od rodziny, przyjaciół?

– Nie. To jest temat, który wtedy
ludzie bali się poruszać, i wciąż się
boją. Myślę, że to wynika głównie
z tego, że nie wiedzą, co mają powie-
dzieć, jak reagować. Nie miałam więc
takiego wsparcia. Pamiętam tylko, że
rozmawiałam o tym ze swoją mamą.
Powiedziała jej, że to mnie bardzo
uderzyło, że to był mój uczeń, i opo-
wiedziałałam jej tę historię.

Można mówić o pani żało- bie po stracie ucznia?

– Tak, myślę, że tak. Ża-
łobę rozumiem jako stratę,
więc jak najbardziej. (...)

Myśli pani, że można było zrobić dla Piotra więcej?

**Dzisiaj zrobiłaby pani coś
inaczej?**

takie rysunki u mojego ucznia i gdy-
by on mówił cały czas o śmierci,
wezwałabym pogotowie. (...)

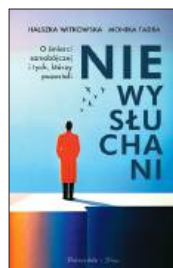
Zastanawiam się, czy inni przeżyli to równie mocno, dyrektor, peda- gożka? (...) Byli na pogrzebie?

– Nie. Nie był uczniem naszej
szkoły. Mało tego, był już wtedy
ucniem szkoły w innej miejsco-
wości. Nie był już więc w kręgu zain-
teresowań kadry mojej szkoły. Cały
czas mam poczucie, że gdyby został,
może udałoby się coś dla niego zo-
bić. Tym bardziej że on nie chciał się
przenosić. (...) To była decyzja ma-
my, żeby zabrać go do szkoły zawo-
dowej. Dlatego dzisiaj na pewno za-
opiekowałabym się bardziej mamą.

Miała pani z nią jeszcze kontakt?

– Spotkałam się z nią tylko raz,
w sklepie. To było już wiele miesięcy
po śmierci Piotra. (...) Spotkałyśmy się
wzrokiem. W pewnym momen-
cie ona podeszła i przywitałyśmy
się. Spojrzała na mnie i powie-
działa: „Pani wiedziała”. (...)

Fragmenty książki Halszki Witkowskiej
i Moniki Tadrzy *Niewysłuchani.*
O samobójczej śmierci i tych,
którzy pozostali, Prószyński i S-ka,
Warszawa 2024



Wojciech Mikołuszko

Panda wielka (*Ailuropoda melanoleuca*) należy do rodziny niedźwiedziowatych. Dawniej zaliczano ją, razem z pandą małą (*Ailurus fulgens*), do szopowatych, stąd ta sama nazwa. Po rozdzieleniu obu gatunków, m.in. na podstawie badań genetycznych, panda mała (bohaterka filmu familijnego „To nie wypanda”) trafiła do oddzielnej rodziny pandkowatych, przemianowana po polsku na pandkę rudą. Panda wielka (bohaterka filmu „Kung Fu Panda”) znalazła się zaś we wspomnianej grupie niedźwiedziowatych. Podobnie jak inne niedźwiedzie jest wszystkożerna. Lubi więc ryby, jajka, gryznie czy szczekuszki – ssaki z rzędu zajęczaków, przypominające duże myszy, jednak w przeciwieństwie do pobratymców przede wszystkim je pokarm roślinny, głównie bambusy. Od marca do listopada żywi się wyłącznie jego młodymi pędami i liśćmi. Niestety, przynależność do owej rodziny spowodowała, że nie jada tak dobrze jak inni roślinożercy. Ma bowiem krótki układ pokarmowy, typowy dla pożeracza mięsa, pozbawiony długich jelit, wielokomorowego żołądka czy szerokich wypustek. Nawet jej zęby są bardziej typowe dla drapieżnika.

Jeśli krowa trawi do 80% spożytego pożywienia, panda wielka tylko 25%. Z tego powodu żyje na granicy śmierci głodowej. Musi jeść bardzo dużo, nawet do 40 kg dziennie, średnio 12,5 kg (a sama waży ok. 90 kg). Spędza na jedzeniu do 16 godzin każdego dnia. To zaś prowadzi do częstego wypróżniania się, jakieś 100 razy dziennie. W trawieniu pomaga jej szczególnie rozbudowana flora jelitowa, czyli głównie bakterie. Ich zadaniem jest rozkładanie dużych cząstek pokarmu na mniejsze. Bez tych mikroorganizmów pandy wielkie nie mogłyby jeść. My również.

Zwierzę ma też na dłoniach szósty palec, na kształt naszego kciuka. Powstał on z ruchomej kości nadgarstka. Za jego pomocą panda przytrzymuje pokarm. Reszta palców jest umiejscowiona w jednej przestrzeni płaskiej.

Ginący gatunek

W berlińskim zoo narodziły się bliźnięta pandy wielkiej



Jedno z bliźniąt podczas prezentacji dla mediów, 15 października 2024 r.



Bliźniaki urodzone w berlińskim zoo, 30 sierpnia 2024 r.

Nazwę panda prawdopodobnie ukuł francuski jezuita i przyrodnik Jean Pierre Armand David, znany jako Père David (ojciec David). W 1869 r., podróżując po Syczuanie, usłyszał nepalską nazwę *nigalya ponya*, czyli zjadacz bambusa. Uprościł ją do wszędzie znanego dziś słowa.

A panda to jeden z najrzadszych gatunków na Ziemi. Jako dzikie

zwierzę zamieszkuje zimne i wilgotne lasy w łańcuchach górskich Chin, głównie w prowincji Syczuan, ale też w Gansu i Shaanxi. W szczycie (a może ściślej: w dołku) niskiej liczebności było ich tam około tysiąca.

W razie ataku najczęściej ucieka. Odpowiada agresją, tylko gdy nie ma wyjścia (opuszcza wtedy głowę, a doprowadzona do ostateczności powarkuje, wówczas zabija nawet



Xing Xing i Chen Chen w zoo w Chongqing, Chiny, 8 września 2024 r.

Yu Bei z Chongqing, podobnie jak inne pandy, spędza na jedzeniu do 16 godzin dziennie.



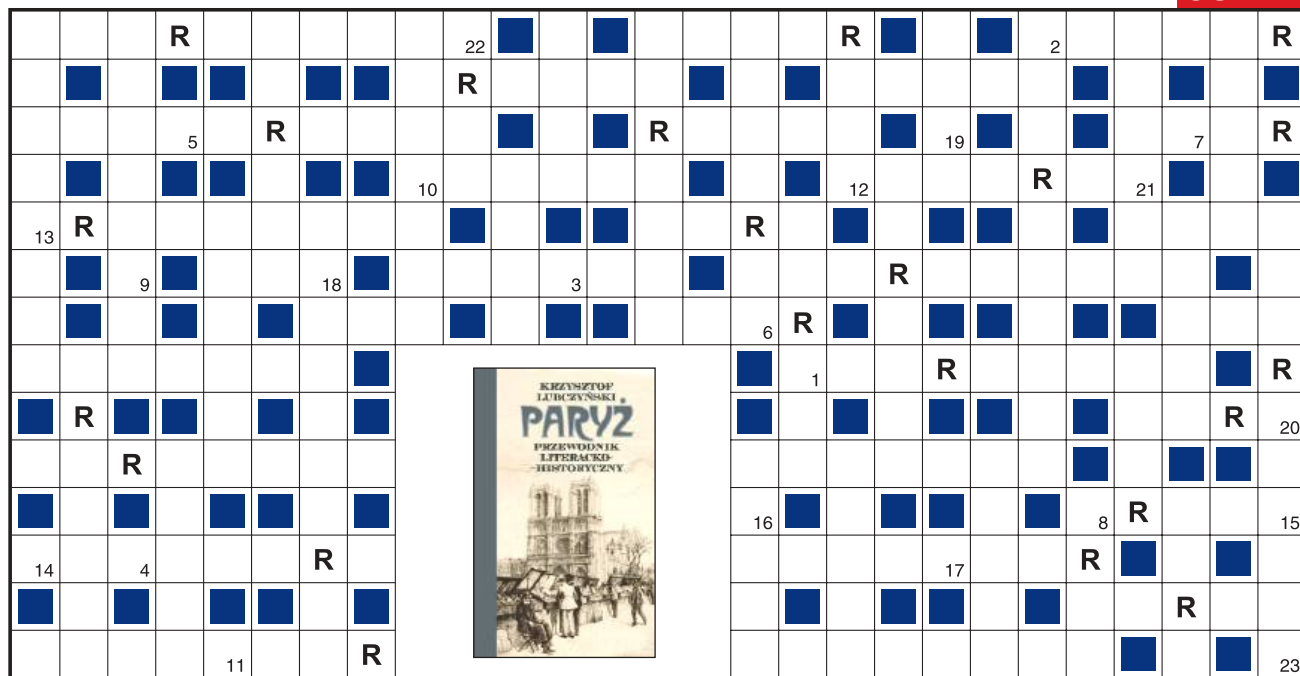
człowieka). Panda wielka stała się więc chińskim symbolem pokoju. Jeśli na polu bitwy ścierały się dwie armie, wystarczyło, aby jedna podniosła chorągiew z wizerunkiem tego zwierzęcia – odpowiednik białej flagi w Europie – a natychmiast następował pokój. Gdy Chiny chciały ocieplić swój wizerunek w USA, przekazały temu państwu parę pand wielkich.

Pandy wzięto pod ścisłą ochronę, są wręcz jej symbolem. Jednak zadbanie o utrzymanie populacji nie było łatwe, zwierzęta te bowiem nie są chętne do miłosnych igraszek. Ruja u samic przypada raz do roku i trwa od jednego do trzech tygodni (okres największej płodności ogranicza się wręcz do kilku dni). W tym czasie pandy, które zazwyczaj prowadzą samotny tryb życia,

muszą się odszukać, odbyć zaloty i się polubić, nawet bardzo. Po ciąży, która trwa pięć miesięcy, na świat przychodzi zazwyczaj jedno młode, ślepe i bez sierści. Waży od 75 do 150 g, tyle, ile zwykłe jabłko. Jeśli na świat przyjdzie dwoje młodych, matka zwykle wybiera silniejsze, drugie skazując na śmierć głodową. Naukowcy sądzą, że przyczyną takiego zachowania jest niemożność wykarmienia dwójki dzieci. Ale i to, że przez pierwsze trzy miesiące matka nosi młode w łapie, przyciskając je do klatki piersiowej. Druga łapa musi być cały czas wolna, bo to za jej pomocą panda zjada młode pędy. Do dziewiątego miesiąca młode żywi się mlekiem i bambusem. Jeśli w tym czasie matka straci nim zainteresowanie, szanse na jego wychowanie przez ludzi są marne.

Dzięki międzynarodowym wysiłkom utworzono kilkadziesiąt rezerwatów i wyraźnie zmniejszono kłusownictwo. Prof. Marcin Machalski, paleontolog z Instytutu Paleobiologii PAN w Warszawie, odkrył kiedyś wraz z duńskimi kolegami, że amonity, morskie głowonogi, przetrwały wielkie wymieranie na granicy kredy i paleogenu (dawniej trzeciorzędu), było ich jednak zbyt mało, aby wytworzyły żywotną populację, w niedługim czasie więc wymarły. To samo według niego może się stać z pandą wielką. Możemy się pocieszać jedynie faktem, że wtedy nie było ludzi, a to dzięki ich wysiłkom liczebność pandy wielkiej w stanie dzikim zwiększyła się do ponad 1,8 tys. osobników.

Jednocześnie to zwierzę stało się emblematem międzynarodowej organizacji ochrony przyrody WWF. Pandy posyłano do zoo na całym świecie. Ogrody zoologiczne zaś zmieniały w tym czasie funkcję – z „gabinetów osobliwości” stawały się centrami ochrony przyrody. Panda wielka bardzo się przydawała w tej przemianie. Każdy sukces ogłaszano wszem wobec. Szczególnie narodziny bliźniąt. Tak stało się w Berlinie – na świat przyszły dwie małe pandy wielkie. O czym z przyjemnością donoszę.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- świetlisty krąg jako symbol świętości
- częste psucie się
- stolica Azerbejdżanu
- bieży przed duchem pasterki Zosi
- pager, piszczące urządzenie
- zagrany, gdy widownia woła i klaszcze
- harcerska lub husarska koronna królewska
- porwał ją Doman w „Starej baśni”
- imię reżysera Kusturicy
- bzik, kręciek
- pacholek konny przed karetą
- pokonany za pomocą procy
- bohaterski brat Parysa i Kasandry
- nauka o ziemskich wodach
- myśl przewodnia, koncepcja
- Cembryńska lub Krefft
- imię kompozytora „Ognistego ptaka”
- mitra
- prezydentem był tam Ebrahim Raisi
- Pirs, nim został pilotem
- ogół księży i biskupów
- pojedyńkował się z Wołodyjowskim
- cos symbolem tej funkcji
- hemocyt
- imię policjanta Wallandera
- ...Shelley, autorka „Frankensteina”
- zwarty, jednolity obszar górski
- nadmuchiwany rozkładany pod budynkiem to skokochron
- naczynie na żołnierską grochówkę
- Westchnień w Wenecji
- strumień wody w środku rzeki
- północzochowe włókno syntetyczne
- okalająca linia zamknięta
- urodził się tam Emin Pasza
- wielka małpa z Sumatry i Borneo
- nimfa górska
- złota... – barwna odmiana jazia
- niszczycielska wichura w Europie
- owad o cienkiej talii
- zaliczano do nich skrzypy i widłaki
- broń palna lub natryskowy
- dom proboszcza
- Dynowskie – część Karpackiego
- gra owalną piłką
- remonty tam przed Rokiem Jubileuszowym
- zaszczyt, honor, świętość
- pracownica pokładowa w samolocie
- na sproszkowany tytoń
- chrzantu lub piekących oczu
- materiał, wyrób włókienniczy
- okres pobytu na wczasach
- na nim – na stronie, na osobności
- imię pogodynka Doleckiego
- wizytówka na stół weselny, bankietowy
- pomaga dozować lekarstwo do oczu
- polska jednostka monetarna
- na półkuli północnej – Raka
- kosi zboże na polu

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1193”. Do rozlosowania książki „Paryż. Przewodnik literacko-historyczny” ufundowane przez Wydawnictwo Iskry. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 3 listopada 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1190” z nr. 41: Nie ma czynu bez przyczyny. Nagrody otrzymują: Wojciech Lubomski z Krakowa, Stefan Szymiski z Rymanowa, Barbara Wanecka z Bielani Wrocławskich.

Emeryci wasi i nasi

Tydzień temu pisaliśmy o „szykanach”, które spotkały Jarosława Guzego, odwołanego przez Radosława Sikorskiego ze stanowiska ambasadora w Kijowie, o czym Guzy opowiada na lewo i prawo.

Dlaczego to robi? Nad tym zastanawiało się kilku starszych wiekiem, aczkolwiek młodszych od Guzego, urzędników ministerstwa, siedząc (wiadomo gdzie) nad szklanką herbaty.

Cóż... Guzy jest klasycznym przykładem człowieka, który karierę zawdzięcza jednej rzeczy – w roku 1981 został wybrany na szefa Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Potem był internowany i dalej poszło z górką. W III RP mógł funkcjonować jako zasłużony kombatan. Ponieważ związał się politycznie z Ruchem dla Rzeczypospolitej (to była partia Jana Olszewskiego), już tak płynął. Od firmy państwowej do firmy państwowej, jako osoba ważna. Zawsze byli jacyś znajomi, którzy coś zaproponowali. I tak dociągnął do emerytury.

W roku 2023 zaproponowano mu wyjazd w charakterze ambasadora na Ukrainę. Mimo wieku mocno emerytalnego propozycję przyjął. I jest to jakiś fenomen braku samokrytycyzmu. Oraz braku wyobraźni – bo jak można sobie wyobrazić pracę dyplomata? Jaki może być z tego pożytek dla kraju?

W tej fali ludzi niekompetentnych, za to pisowskich mamy obok Guzego np. Konstantego Radziwiłła (też emeryta), byłego wojewodę mazowieckiego, wcześniej ministra zdrowia, jeszcze wcześniej lekarza, wysłanego za zasługi i za nazwisko (autentycznie!) na Litwę. On też bardzo teraz narzeka, że musiał wrócić do kraju i straszny to dla niego despekt. Zwłaszcza że – jak mówił mediom – pokochali go miejscowi Polacy i pięknie mu śpiewali na pożegnanie. To dobrze, że go

pokochali, ale czy po to Polska go wysłała do Wilna? To było jego zadanie, innych nie miał?

Wszystko to jest śmieszne i smutne, bo przecież Rzeczpospolita tym dyletantom srogie pieniądze musiała płacić.

A teraz, żeby spojrzeć szerzej: nowa władza porządkuje MSZ, według różnych deklaracji do końca 2025 r. mają wrócić do kraju wszyscy pisowscy ambasadorowie. Możemy mieć tylko nadzieję, że tak będzie i że z listy tych, którzy mają wrócić, wykreśleni będą nieliczni zawodowi dyplomaci, bo i takich (czasami) wysyłano i tolerowano. Na przykład obecna wiceminister Henryka Mościcka-Dendys wyjechała na stanowisko ambasadora w Danii już po przegranych przez PO wyborach, nominację podpisywał jej 7 lipca, między pierwszą a drugą turą wyborów prezydenckich, Bronisław Komorowski. No i pięć lat spokojnie w Kopenhadze przeżyła.

Gorzej miał Tomasz Orłowski, wówczas ambasador w Rzymie, którego po dwóch latach, w roku 2017, odwołano do Warszawy. I oto teraz tenże Orłowski, już emeryt, młodszy od Guzego o parę miesięcy, jedzie na ambasadora do Maroka.

Oczywiście Orłowski to znakomity dyplomata, byłty wiceminister, ambasador we Francji, papiery ma świetne. Ale PESEL wskazuje, że raczej powinien być w kraju, wiedzę przekazywać młodszy, doradzać ministrom, a nie ambasadorować gdzieś daleko.

Panie ministrze, to z naszym korpusem urzędniczym jest tak źle, że muszą go ratować emeryci? Nie ma nikogo, w kogo warto byłoby zainwestować?

Attaché

NOTES

DYPLOMATYCZNY

BRICS bez B i S, czyli premier Indii Narendra Modi, prezydent Rosji Władimir Putin i prezydent Chin Xi Jinping na szczycie tej organizacji w Kazaniu, 23 października 2024 r.





PENETRACJE

TYGODNIK
ANGORA
PRACOWNIK
PRACOWNIK
PRACOWNIK

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Powszechnie obecne, można powiedzieć prawdziwie demokratyczne, jest w polskiej polityce ADHD – zespół nadpobudliwości ruchowej z deficytem uwagi i brakiem koncentracji. Przypatrując się choćby z daleka ponadnormatywnej aktywności posłów Nitrasy, Czarnka, Kowalskiego, Budy, Józefaciuka, Sterczewskiego czy Tarczyńskiego, bez żadnego trudu zidentyfikujemy symptomy tej klinicznej przypadłości: impulsywność, kłopot z kontrolą poziomu pobudzenia, trudności z podtrzymaniem uwagi i wysiłku. Owszem, bywa to widowiskowe, ale bezlitośnie obniża i tak niski poziom Izby. Zespół niedojrzałości osobowości też jest ponadpartyjny. Podręcznikowym przykładem chorego jest lewicowy poseł Zandberg, który mimo wieku i wzrostu nadal pozostaje pierwszorocznym studentem politologii realizującym się w pracach koła naukowego. Pozostaje gombrowiczowsko niedojrzały.

Press **KRZYSZTOF BOCZEK,**
REPORTER

Dostałem spis ponad 20 pracowników, którzy mieli w czasach PiS w istotny sposób współtworzyć propagandę i nadal pracują w TVP. Ci dobrozmiannowcy na stanowiskach generują konflikty. O spięciach na linii nowi dziennikarze i starzy wydawcy mówi mi kilkunastu pracowników i współpracowników TVP. W relacjach dziennikarzy TVP Info przewijają się głównie nazwiska czworga wydawców, a właściwie wydawczyń. (...) Zarzuty wszędzie są podobne: krzyki, awantury, wulgarny język. Reporter o jednej z głównych wydawczyń: – Do niektórych kobiet zwracała się per cipo. Pracownik TVP: – Co za kretyń, pojebany debil – to komentarz jednej z wydawczyń na cały newsroom po błędzie reportera na wizji.

wysokieobcasy **HELENA KULEJ,**
ŻONA BOKSERA JERZEGO KULEJA

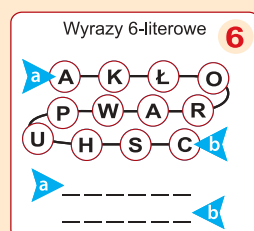
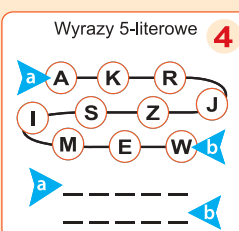
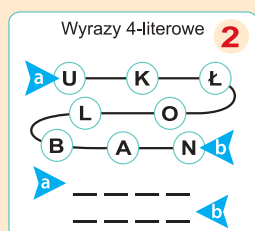
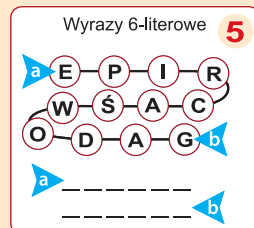
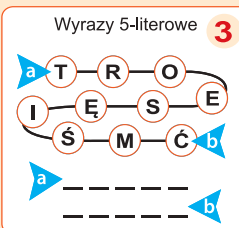
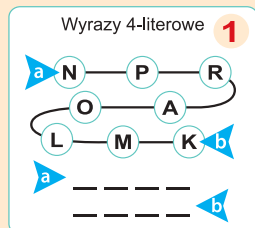
Jurkowi nie zależało na edukacji. Chodziło zawsze o jedno – o dobrą zabawę. Ale studia nie były takie złe – poznał tam m.in. Marylę Rodowicz. Szybko okazało się, że lubi „śpiewać”. Niedługo potem nakryłam jego schadzke z Violetką Villas. Umówił się z nią na ulicy Kredytowej, była tam świetna restauracja żydowska – po schodkach w dół. Słyszałam ich rozmowę przez telefon, ale nie dałam tego po sobie poznać. Oczywiście wiedziałam, kim jest Villas, na mieście nie miała najlepszej opinii, więc szybko zaczęłam działać. Przyszłam do knajpy, stanęłam przed nimi i mówię: „Jurek, do domu”. Ona oczy w słup. Nie wiedziała, o co chodzi. Powtórzyłam: „Do domu! Zmienię zamki, jak nie wrócisz!”. Był nawalony, ledwo trzymał się na nogach, ale posłusznie jak dziecko wrócił ze mną za rękę. I tak skończył się romans z Violetką. To też był koszmar. Byłam zmęczona tak zdradami, jak i pilnowaniem tego, żeby mnie nie zdradzał. To było życie w wiecznym napięciu.

zwierciadło **DANUTA STENKA,**
AKTORKA

Pamiętam taką sytuację sprzed lat, kiedy, kompletnie przez kogoś emocjonalnie zmiądzona, postanowiłam ukryć swoje prawdziwe uczucia i wywołać w sobie dobry nastrój. Po chwili zorientowałam się, że to działa – nie tylko na innych, ale przede wszystkim na mnie samą. Jakby mój mózg, moje centrum dowodzenia odczytało sygnały i uznało ten stan za autentyczny. I to się nagle okazało jakimś niesamowitym źródłem siły. Ja mam te narzędzia na podorzędu, bo używam ich w pracy, na co dzień, ale one są dostępne nie tylko dla aktora.

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.



ROZWIĄZANIA: PROM, KLAN, JEAN, BŁOK, TREŚĆ, MIĘSO, KRZEW, MISJA, PRAWDA, GOŚCIE, KORPUS, CHWAŁA



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji:

Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz,
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek,
Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,
Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła,
Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,
Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,
Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak,
Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Aby język giętki...

PROF. MAREK BELKA O PRZEDSIĘBIORCACH

Bardziej roszczeniowa grupa niż przedsiębiorcy to chyba tylko rolnicy. Jak Miller z Hausnerem przed przedsiębiorcami rozkładali czerwone dywany, to i tak byli ustawicznie krytykowani.

OLAF LUBASZENKO O GRANIU RÓL POLITYKÓW

To nieunikniony kontakt z cynizmem. Trzeba robić wszystko, by go unikać. Cynizm i tak sobie świetnie poradzi, nawet bez naszego wsparcia.

PABLOPAVO (PAWEŁ SOŁTYS) O BANKACH

Banku bym nie mógł reklamować, bo z mojej perspektywy banki nabijają ludzi w butelkę.

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ O WŁODZIMIERZU CZARZASTYM

Tacy ludzie na lewicy, ludzie zamożni, dobrze prosperujący, nie mogą dobrze pełnić swojej roli, bo nie są w stanie zrozumieć ludzi biednych.

LECH JANERKA O PRAWIE JAZDY

Tuż przed sześćdziesiątką kupiłem zielonego coopera i zdałem za pierwszym razem.

KUBA WOJEWÓDZKI O RAFALE BRZOSZOWSKIM

Jeśli kiedyś będą dni otwarte telewizyjnego obciachu, to on powinien je poprowadzić.

PATRYCJA PIEKUTOWSKA O KARIERZE SKRZYPACZKI

Jestem w najbardziej luksusowym momencie. Zaczynam życie od nowa i chcę szaleć na scenie.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



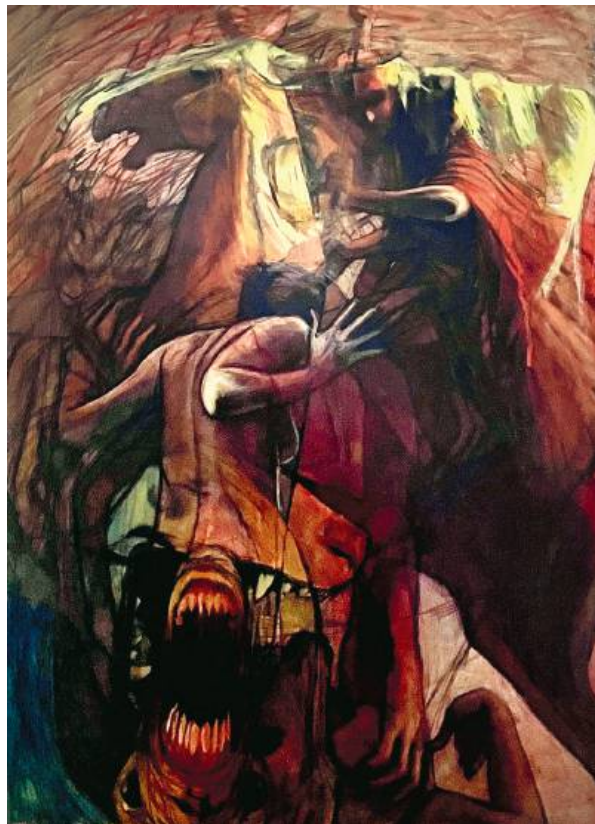
Ottó Szabó KOMENTARZE. MALARSTWO



Ottó Szabó (ur. w 1965 r. w Rožňavie na Słowacji) zajmuje się m.in. malarstwem sakralnym i monumentalnym, rzeźbą, projektowaniem wnętrz i przestrzeni zewnętrznej, grafiką klasyczną i komputerową, ilustracją książkową, typografią, a także prowadzi działalność dydaktyczną. Obecnie uczy w Liceum Sztuk Stosowanych w Koszycach. W 2014 r. założył grupę artystyczną Rovás i Niezależną Akademię Löffler. Grupa artystyczna zajmuje się organizacją warsztatów, obozów artystycznych, różnorodnych kursów rozwoju talentów, sympozjów, festiwali, teatru alternatywnego i eksperymentalnego. Obrazy artysty nie mają tytułów, są „reakcjami i przypominieniami, notatkami, komentarzami i refleksjami” na temat wydarzeń wokół. Ottó Szabó reaguje na okropności wojny, na ludzkie losy, szuka odpowiedzi na istotne w naszym życiu pytania.

**Galeria Sztuki MOK
w Dębicy
ul. Akademicka 8**

do 2 listopada



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



74

Internationale
Filmfestspiele
Berlin

Panorama

Nagrada Publicznosci

GŁOŚNY, SZCZERY I PEŁEN EMOCJI
KOBIECY KRZYK
WYMIERZONY W PATRIARCHAT

Wspomnienia płonącego ciała

reżyseria ANTONELLA SUDASASSI FURNISS

W KINACH OD 25 PAŹDZIERNIKA

AURORA

epiassa.pl 3073421689

KULT

TRASA 2024



15, 16 LISTOPADA

**KLUB STODOŁA
WARSZAWA**

BILETY: [TICKETCLUB.PL](https://ticketclub.pl)